3 1761 08822290 6

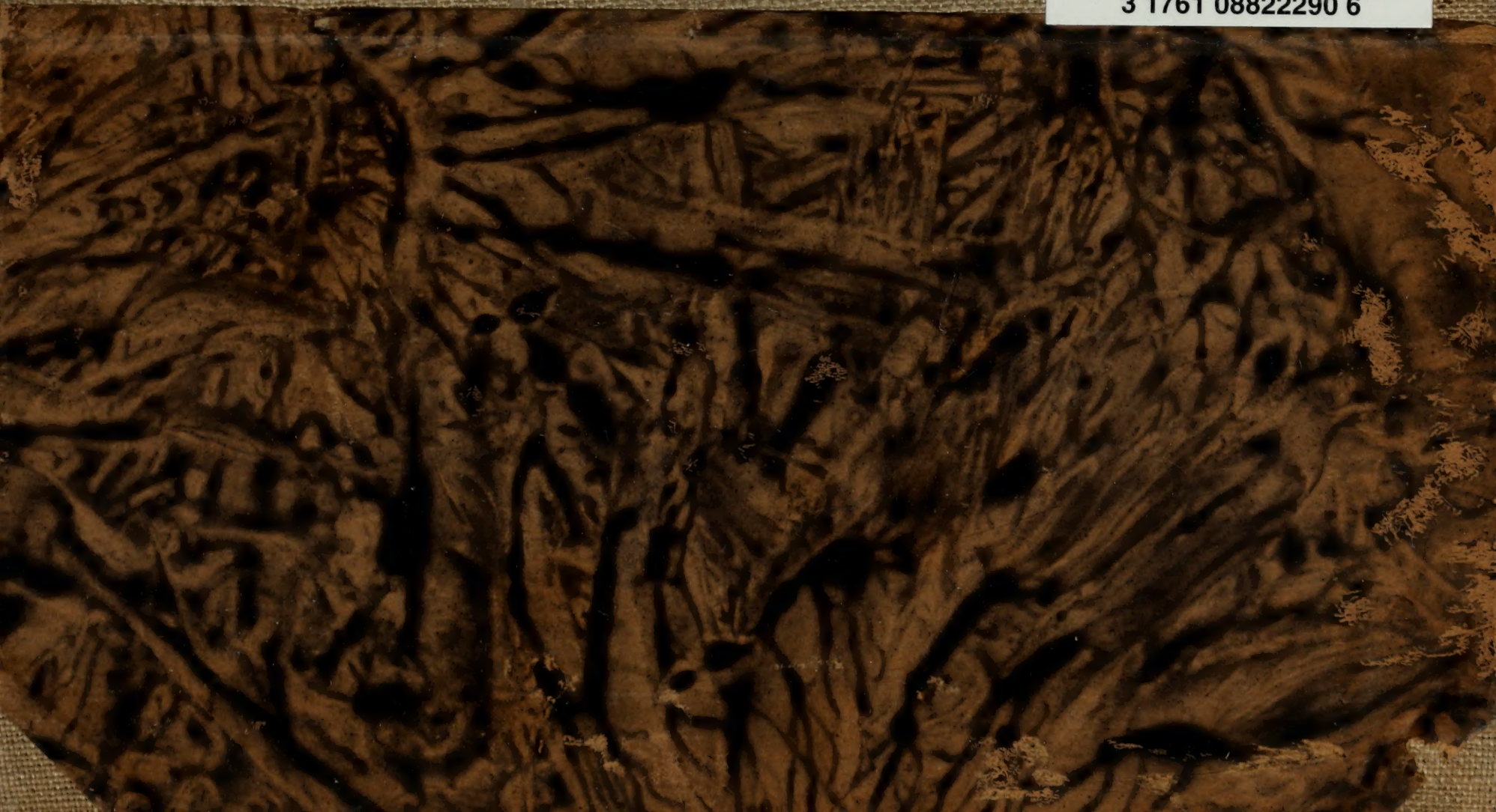

MÓJ PAMIĘTNIK

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	K h
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	5.20
Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego, 2 tomy	8.40
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Serya VII.: Zbrodnia kamieniecka; Beatrice; Zakładnicy lwowscy; Fatyma; Babka; Spuścizna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich	6.40
— Nowe opowiadania historyczne; Pod krzyżem; Losy kresowego miasteczka; Wartabieł; Zemsta Kozacza; Porwanie króla; Niedoszłe legiony	6.—
— Ks. St. Chołoniewski: Opis podróży kijowskiej w 1840 r. odbytej	3.20
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński	1.20
— Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta	4.—
Hajota. Śni mi się. Nowele	3.60
Koźmian Ant. Ed. Listy od r. 1829 do r. 1854, 4 tomy	28.80
Koźmian St. Lysistrata, czyli wojna o pokój, komedya w 4-ech aktach podług Aristofanesa	3.60
Krasiński Zygmunt. Listy, 3 tomy. I. Listy do Konstantego Gaszyńskiego II. Listy do Adama Sołtana. III. Listy do J. Słowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana, Andrzeja i Stanisława Koźmianów, B. Trentowskiego. Każdy tom	6.40
— Pisma. Wydanie z przedmową St. hr. Tarnowskiego, 4 tomy	14.40
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński, 2 tomy	15.—
Lenartowicz T. Pisma pośmiertne, 4 części, wydanie Dra W. Bruchnalskiego, 2 tomy	7.20
Lityński M. Rys dziejów sztuki starożytnej, z rycinami	3.—
— 4 tygodnie we Włoszech, przewodnik podróży z planami opraw.	5.—
Łoś W. Intrygantka, powieść	4.—
Łoziński Wład. Nowe opowiadania J. M. C. Pana Wita Narwoja	6.40
Małecki A. Dr. Grochowy wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem	2.60
— Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła, wydanie 3, powiększone przez Dra B. Gubrynowicza, 3 tomy	13.—
Mickiewicz A. Pisma, pierwsze wydanie zupełne i poprawne, 1898	13.—
W oprawie płóciennej	14.40
Ostatnia wojewodzina Wileńska (Ks. Radziwiłłowa)	8.40
Pamiętniki Jana Ch. Paska. Wyd. przez Dra Br. Gubrynowicza	5.—
Pepłowski-Schnür St. Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa, 2 t.	9.20
— Polacy i Węgrzy, opowieść r. 1848	5.—
Rojan K. Szczęście, powieść, 2 tomy	5.60
— Dusze artystyczne, powieść	3.60
Rolle M. Z przeszłości. Okręg Rawski. Starostwo Barskie do r. 1779	5.20
— Ateny Wołyńskie, szkice z dziejów oświaty w Polsce	8.40
Romanowski M. Pisma, 4 tomy	14.40
Sapieha X. P. Podróż na Wschód Azyi, z rycinami	10.—
Wilczyński Alb. Nowe fotografie społeczne, 2 tomy	7.20
— Wycieczka na Krzyżne	4.20
Wybicki J. Pamiętniki	3.60
Wspomnienia Wołyniaka	6.80
Zaleski D. Korespondencya J. Bohdana Zaleskiego, t. III. i IV., po	4.—
— Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego, tom V.	6.—
Zwilkoński. Pieprz. Humoreski, monologi i dyalogi	2.40

LP
K1149mo

ZYGMUNT KACZKOWSKI

MÓJ PAMIĘTNIK

Z LAT

1833—1843.

2. wyd.

WYDANIE DRUGIE.

499219
28.10.49

LWÓW.
NAKŁADEM (KSIĘGARNI) GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1907.

Z Drukarni Słowa Polskiego we Lwowie, pod zarządem J. Ziembińskiego

WSTĘP.

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/mjpamitnikzlat1800kacz

Dla nas, którzyśmy się porodzili w trzecim dziesiątku bieżącego stulecia, zaczyna późno się robić.

Wypadki, które nam, w naszym wieku dziecięcym, opowiadali naoczni świadkowie, na które później, jako wyrostki, patrzaliśmy własnemi oczyma, a nawet i te, w których nareszcie, wyrósłszy w młodzieńców, sami braliśmy udział, usunęły się w głąb, a rysy ich zacierają się coraz bardziej w mroku przeszłości. Bohaterowie tych zdarzeń, jedni poginęli na szubienicach, drudzy zgnili w kopalniach albo w więzieniach, a inni, rozprószywszy się po świecie szerokim, pomarli w ciszy i w zapomnieniu. Dziś ledwie jeszcze gdzieniegdzie błąkają się ostatnie ich szczątki.

Czasy te jeszcze się nie stały historyą — a przecież dzisiejsze pokolenia dzieli od nich duchowo daleko większa odległość, niżeli ta, która nas dzieliła od ostatnich chwil istnienia niepodległej Rzeczypospolitej polskiej.

W ostatnich trzydziestu leciech, po najsroższym pogromie, jakiegośmy kiedykolwiek doznali, nastąpił powolny, ale tak głęboki przełom w uczuciach i przekonaniach, że nie możemy nic podobnego wykazać w całej naszej dziesięciowiekowej historyi, chociaż w niej wielkie narodowe nieszczęścia, bardzo gęsto

następowały po sobie. Ze wszystkich tych nieszczęść, jakiekolwiek były chwilowe ich skutki, potrafiliśmy się zawsze obaczyć — a nawet jeszcze z rozbiorów wynieśliśmy naszego narodowego ducha w niespożytem zdrowiu, a naszą narodową ideę w nierozerwanej całości. Owszem jeszcze i po rozbiorach, przez całe trzy ćwierci wieku, żyliśmy życiem jednolitem i pełnem, od Odry do Dźwiny, a od Bałtyku po Czarne morze — a życie to nietylko się wyrażało od czasu do czasu w bardzo rozgłośnych czynach, ale dawało ciągle i bezustannie świadectwo o sobie w całej naszej literaturze i we wszystkich objawach publicznego sumienia.

Od czasu ostatniego przełomu, przedewszystkiem innem nasz duch narodowy popadł w rozpaczliwe omdlenie — a to, co zostało z naszej dawnej narodowej idei, zacieśniło się geograficznie w granice niemal jeszcze skromniejsze, niżeli obszar dawnej Polski Piastowskiej. Nasza narodowa idea, o ile jeszcze dziś żyje, nie jest już tą samą ideą jaką była aż do czasu ostatniego pogromu. Prócz tego jeszcze i tę resztę naszej dawnej idei, żyjącą na zacieśnionym obszarze, rozparły dwa nowe prądy, z których jeden, gubiący się w słowiańskich albo ogólno-ludzkich programach, zasadniczo jest odśrodkowym — a drugi, w głębi swej duszy, być może że jest dośrodkowym, ale zostawiając wszelkie dalsze widoki wyrokom Opatrzności, na teraz pozostaje przy dążeniu do jakiegokolwiek istnienia w obcym nam organizmie państwowym. To życie, którem myśmy jeszcze żyli przez cały przeciąg naszych lat młodszych, nietylko zupełnie zniknęło z powierzchni ziemi, tak pod względem ducha jak formy, ale nawet jego pamięć już

się zatarła i nie widać zrozumienia dla niego nawet w takich literackich utworach, które bez uprzedzenia usiłują malować te czasy. Czytałem przecież niedawno u jednego z młodszych krytyków literatury, zdolniejszego, trafniejszych i szerszych poglądów, niż wielu innych, że dzisiejsze pokolenie nie umie sobie wyobrazić jak wyglądała Galicya przed zniesieniem poddaństwa. A jednak ta Galicya odegrała w latach 1832—1848 nietylko ważną, ale przeważną rolę we wszystkiem, z czego się składało ówczesne życie naszego narodu.

Galicya nie wydała prawdziwie wielkich ludzi w tym czasie, ale wydała wielu, którzy w jednej części zdolnościami i pracą, a w drugiej, daleko większej, tęgością charakteru, wzniosłością uczuć i poświęceniem, przeszli o wiele miarę zwyczajnego człowieka. Z tych prac i poświęceń, pod koniec tej epoki. kraj zebrał krwią zaprawione owoce, ale przyniosły one także nie mało strawy pożywnej i pożytecznej, która do dziś dnia, wśród krzyżujących się z sobą dążności, potępienia wszystkiego co zawód przyniosło, z jednej — a idealizowania nawet obłędów patryotyzmu z drugiej strony, nie zostało ocenione słusznie i sprawiedliwie. Lecz gdyby nawet i wszystko, co wówczas się działo, było złe i szkodliwe, to i wtedy jeszcze nie powinno być zapomnianem, bo było to swoje, bo nie jedno złe wyniknęło z jak najlepszych zamiarów, bo wreszcie i przypomnienie błędów i grzechów zniewala do rozmyślania i prowadzi za sobą dobrą naukę na przyszłość.

O tej epoce ogłoszono w ostatnich czasach cokolwiek pamiętników, szczegółowych notatek, a nawet i opracowań, Bardzo cenne to rzeczy. Zachowano

w nich wiele szczegółów z owoczesnych robót podziemnych, a zarazem nazwiska i rysy wielu osób podówczas czynnych, które bez tego byłaby może wieczna niepamięć pokryła. Spodziewać się należy, że takie prace jeszcze i dalej pojawiać się będą. Jednak czego w tych pracach mniej albo więcej brakuje, to głębszego i dokładnego skreślenia ówczesnych uczuć, ówczesnego toku myśli i w ogólności całego ducha, jaki w tym kraju panował, co stąd pochodzi, że ludzie, którzy te rzeczy pisali i piszą, albo jako współczynni sami się obracali tylko w ciasnych granicach swych własnych kółek, albo też idą za przewodem ustnych tradycyj, które zawsze surowej krytyki wymagają, a które w takich wypadkach, gdzie przynoszą podania o robotach podziemnych, często wcale się skontrolować nie dają.

Z tego powodu wiele faktów z tej niezmiernie ruchliwej epoki przepadnie na zawsze — a zarazem już dziś nie można się tego wcale spodziewać, ażeby ktoś z współczesnych tej epoce dał jej obraz zupełny, bo naprzód bardzo niewielu z nich jest jeszcze dzisiaj przy życiu, a potem były to czasy, w których nikt nie mógł wiedzieć wszystkiego. Jak kiedyś dostateczne materyały się nagromadzą, to bezwątpienia znajdzie się pisarz, należący do któregoś z pokoleń następnych, który z nich stworzy pełny obraz całości — a obraz ten będzie zapewne także miał więcej wartości dla historyi, bo wtedy po wygaśnięciu stronniczych uprzedzeń i osobistych sympatyi lub antypatyi, jego twórcy będzie daleko łatwiej o zapatrywanie bezstronne i sąd sprawiedliwy. Dziś zatem o to tylko iść może, ażeby takiemu historykowi jak najwięcej materyału dostarczyć.

Ktokolwiek żyje długo a w biegu swojego życia wiele widział i słyszał, chociażby sam zdziałał nie wiele, ten nieraz jest wiedzion na pokuszenie napisania swych pamiętników.

Jednak wielkie pamiętniki tylko wtedy zajmujące, jeżeli je napisał ktoś taki, kto w swojem społeczeństwie zajmował jakieś stanowisko wybitne i wywierał pewien wpływ na swoich współczesnych. Ja nie należąc do tych szczęśliwych, umiałem zawsze odepchnąć od siebie to pokuszenie.

Jednak czytając sam wszystkie zapiski, odnoszące się do tej epoki, z bardzo żywem zajęciem, nie mogłem się odjąć temu uczuciu, że i ja, jako naoczny świadek tych czasów, a później, chociaż na szarym końcu, wszelako czynny współpracownik ówczesnych wypadków, mógłbym także dorzucić niejeden szczegół do tego tworzącego się zwolna obrazu, może nieraz i szczegół taki, na który inni nie zwrócili uwagi, albo na który tylko pod jakimś wyłącznym kątem patrzali. Zastanawiając się nad tem, w jakiej formie mógłbym to zrobić, przyszedłem do przekonania, że może najlepiej będzie, jeżeli te szczegóły, które mi się zdają godne przekazania pamięci przyszłych pokoleń, zgrupuję około takiej osobistości, która pod owe czasy zajmowała w naszem społeczeństwie stanowisko wybitne, która wywierała swe wpływy nietylko na jedną warstwę społeczną ale na umysły i serca całego kraju, a którą ja znałem, co najmniej, równie zbliska jak wszyscy ci, których zajmowały sprawy publiczne. Owóż taką osobistością, przez te lat kilkanaście, przed wszystkimi innymi, był Pol.

I.

Ein Schauer fasst mich, Thräne folgt den Thränen,
Das strenge Herz, es füllt sich mild und weich:
Was ich besitze, seh' ich wie im Weiten
Und was verschwand, wird mir zu Wirklichkeiten.

Goethe.

Pol należy do tych postaci, które jeszcze na moją dziecięcą wyobraźnię silne sprawiły wrażenie i potem na zawsze się zachowały w mojej pamięci.

Było to w sierpniu roku 1833. Miałem wówczas rok ósmy. Był to jakiś dzień świąteczny albo niedzielny. W domu moich rodziców, który obyczajem ówczesnym, jak starożytna świątynia, stał dla wszystkich otworem, było cokolwiek gości.

Był Jerzy Bułharyn, major siódmego pułku ułanów, wówczas emigrant, człowiek trzydziestoletni, blondyn z niebieskiemi oczyma, miernego wzrostu, sztywnej żołnierskiej postaci z krótko ostrzyżonymi wąsami, który wtedy był jednym z głównych inicyatorów owoczesnych sprzysiężeń, w r. 1846 naszem sanockiem powstaniem dowodził, a później był generałem w rewolucyi węgierskiej.

Był Sylwery Brześcijański, z legii nadwiślańskiej, który później był komisarzem cywilnym powstania przy Bułharynie, a wtedy żeniąc się z Ło-

siówną, jechał oglądać dobra, leżące obok nas pod Bieszczadami, które miał wziąć za żoną.

Był Tadeusz Strzelecki, szlachcic z sąsiedztwa, który w randze wachmistrza był z Dembińskim na Litwie, na swoim siwym ogierze do powstania pojechał i na tym samy ogierze powrócił. Człowiek młody, wysoki, kościsty, herkulesowej siły, ale dziwnie łagodnego wyrazu twarzy, a oczu piwnych tak głęboko melancholijnych, że niemi wszystkich przywiązywał do siebie. Mało ukształcony, gorącym był patryotą; siedział cicho na swej wiosce i nie należał do żadnych sprzysiężeń, ale natomiast zajmował się przeprawianiem emigrantów przez węgierską granicę i robił to z zamiłowaniem i z namaszczeniem, a zarazem z nadzwyczajną zręcznością. Mój ojciec powiadał o nim, że jak orzeł tatrzański, przelatuje nocą przez Bieszczad, a zawsze ma jakiegoś emisaryusza pod skrzydłem.

Obok innych domowników, był także stary Kwiatunio, rachmistrz skarbowy a niegdyś rachmistrz pułkowy za czasów Kościuszki. Człek nizki i gruby, w szaraczkowym fraku, takichże pludrach i butach węgierskich, z twarzą ogoloną, z dużym nosem miedzianym i brodawką przy nosie, zawsze pijany. Kiedy czasem sobie dolał, że oczy zachodziły mu białkiem, a ojciec mu to wytknął pół-żartem, bo zresztą dla jego wielkiej zacności i zasług wszyscy mu przebaczali tę wadę, to odpowiadał zazwyczaj:

— Ej, panie dobrodzieju, kiedy Polskę dyabli wzięli, to niechże wszystko wezmą od razu.

O starym Kwiatuniu istniała pewna legenda. Przed Kościuszkowskiem powstaniem był rządcą wsi biskupiej albo klasztornej w Krakowskiem, w powsta-

niu miał furgony pod swoją komendą, pod Maciejowicami dostał się do niewoli; Moskale jego ludzi pomordowali, a jego dlatego zachowali przy życiu, aby im wydał, czyli i gdzie ma zachowane pieniądze. Ale Kwiatunio miał na furgonach starkę i kosy: starką spił Moskali, a kiedy posnęli, okrutnie pomiędzy nimi pogospodarował kosami, naturalnie „*pro publico bono*“. Jednak i sam z tego skorzystał, bo jak się kopnął z pod Maciejowic, tak się nie oparł, aż tutaj pod Bieszczadami, w tem państwie zapadłem w lasach, a należącem do masy Fredrowskiej, gdzie został wdzięcznie przyjęty. Wszelako i tutaj jeszcze miał taki respekt przed Kozakami, że nigdy przez całe życie nie wychylił nosa po za kopce graniczne. Wiedziałem i ja coś o tej legendzie i nieraz żartując z nim, powiadałem mu, że niepotrzebnie się boi, bo tu niemasz Kozaków, tu przecież Austrya, nie Moskwa. A on odpowiadał mi na to: — Paniczyk nie znasz Kozaków; Kozak jest jako chwast, zawsze tam rośnie, gdzie go nie posieją. Komu Pan Bóg da zdrowie, ten jeszcze ich i w tych górach obaczy. I rzeczywiście w 1849 r. zjawili się Kozacy nawet w tych górach, ale stary Kwiatunio wtedy już nie żył.

Było to około godziny piątej. Siedzieliśmy wszyscy w wielkiej sali jadalnej około długiego stołu przy podwieczorku: pito kawę, herbatę, wino i jedzono owoce, któreśmy w tych górach, chociaż tam ani nawet dobre jabłko nigdy nie dojrzeje, miewali z Węgier w wielkiej obfitości i w najwyborniejszych gatunkach. Wtem wbiegł chłopak od kredensu i zapowiedział, że jacyś panowie jadą na koniach i już się zbliżają do bramy.

Moja babka, która dzieckiem zapamiętała jeszcze ostatnie lata konfederacyi barskiej, rzekła na to: Pewnie konfederaci. U niej wszyscy emigranci, którzy bardzo gęsto przesuwali się przez dom moich rodziców, nazywali się konfederatami.

Mój ojciec, wysoki, chudy, z dużym nosem, z ogoloną twarzą, w granatowym fraku ze stalowymi guzikami, w wysokim halsztuku i butach węgierskich, (tak jeszcze wówczas ubierali się starsi), wstał od stołu i wyszedł na ganek. Ja, zawsze wszystkiego ciekawy, wysunąłem się za nim.

Dom nasz, obejmujący niewiele, ale bardzo duże pokoje, stał na wysokiem podmurowaniu. Od północnego wschodu był duży ganek, wklęsły w zabudowanie, którego posadzka była wyścielona żelaznemi płytami, a z którego sprowadzały cztery wysokie schody, także żelazną blachą pokryte. Przed gankiem rozścielał się bardzo obszerny dziedziniec, a dalej szły ocienione drzewami ogrody, jak daleko sięgała płaszczyzna, wszystko ogrodzone dostatnimi sztachetami, pomalowanymi na biało i zielono. Tak dom jak i bardzo wiele innych budynków, znajdujących się po lewej stronie i za nim, otaczały z daleka wysokie góry, okryte czarnymi, jodłowymi lasami. Po skwarnym dniu słońce już zaszło za góry, jeszcze było jasno w tej szerokiej kotlinie, ale powietrze skutkiem gry kolorów błękitnego nieba i czarnych lasów, było fioletowe, przez które się przebijały blaski jasno-zielone, czego nigdy nie widzimy w równinach.

Kiedyśmy stali w ganku, właśnie wjechało w bramę dwóch jeźdźców na dobrych koniach, niewielkiej miary, ale silnej budowy. Jeden z nich

miał krymską burkę na sobie i czerwoną konfederatkę na głowie, drugi był w kaszkiecie i w płaszczu: pierwszym z nich był Pol, a drugim Seweryn Goszczyński.

Mój ojciec znał Pola już dawniej; zszedł z dwóch schodów i witał go poufale. Pol rzekł:

— Panie Ignacy, przywożę panu gościa, za którego będziesz mi wdzięcznym.

Poczem wymówił jego nazwisko.

Za chwilę staliśmy wszyscy w ganku, a goście, rozmawiając z ojcem, rozglądali się po tej kotlinie i otaczających ją górach.

Niebawem wszakże uderzył ich widok, który dla nich był nowym, ale i dla nas zawsze był zajmującym. Cokolwiek dalej ku wschodowi widać było wysoką górę, która się nazywała Łopiennik. Nie jest ona tak wysoką, jak grzbiety Karpat; za nią ku południowi są połoniny, których płaskie szczyty są wyższe, ale tutaj, na wiele mil naokoło, jest najwyższą, a widok jej jest dlatego imponującym, że tak wygląda, jak gdyby na grzbietach gór ktoś nową górę wystawił. Jej szczyt ma formę pochylonej głowy cukru, której cały grzbiet jest czarnym lasem okryty, ale naczółek jest łysy i w dnie pogodne świeci barwą jasno zieloną. W tej chwili u spodu tej głowy cukru rozścieliły się mgły, białe jak mleko, a łysinę oświecały jasne promienie słońca, tak, że przy zapadającym zmroku wyglądała jak gdyby jakieś błyszczące ciało niebieskie, zawieszone w powietrzu.

Goszczyński był zachwycony tym widokiem i mówił, że w Tatrach można widzieć jeszcze piękniejsze cuda natury, ale ta góra jest dlatego nie-

zwykłą osobliwością, że stoi odosobniona i nad wielką przestrzenią kraju bez żadnej przeszkody panuje.

— Gdyby się kto na szczyt jej wydrapał, tenby zapewne zażył bardzo rozległego widoku. Pol opowiadał, że ten jej szczyt widać z Leśnego zamku jak na dłoni i są powieści pomiędzy ludem, że stamtąd można objąć okiem całą Polskę aż do Bałtyku.

Mój ojciec zrobił uwagę, że na jej szczyt wydrapać się bardzo łatwo, bo u jej podnóża są pastwiska, a pasterze wypędzają owce i kozy aż na samą łysinę.

— Jeżeli wam nie pilno, to moglibyśmy zrobić tę wyprawę, czas pogodny i pora jak najlepsza po temu, ale moglibyśmy się tam wybrać dopiero pojutrze z północy, bo trzeba naprzód tabor wyprawić z jedzeniem.

Radzono nad tem, ale zauważono, że trzebaby tak się wyprawić, ażeby ze szczytu wschód słońca obaczyć, zaczem postanowiono wysłać tabor nazajutrz wczas rano, a wyjechać zaraz z południa i tam przenocować. Potem szliśmy do gości.

Goszczyński żył z Bułharynem w blizkich stosunkach, może być nawet, że się z nim naprzód umówił, aby się tutaj z nim zjechać, bo zaraz po zaznajomieniu się z domownikami i z gośćmi, siadł obok niego do stołu i tylko nim był zajęty. Pol wszakże daleko więcej światowy od niego, rozmawiał po kolei, z wszystkimi, a nawet ze starym Kwiatuniem, który widocznie go bawił.

Pol miał wtenczas lat dwadzieścia sześć, był smukły, miał maniery szlachecko-żołnierskie, cerę twarzy białą i świeżą, wąs ciemny bardzo ozdobny,

oczy piwne łagodnego, ale bardzo świetnego blasku, był już wtedy nadzwyczajnie wymowny, ale bez żadnej przesady, miał głos niezmiernie dźwięczny i sympatyczny, idący prosto do serca, litery *r* nie domawiał z francuska; w jego wymowie dodawało to pewnego uroku i nadzwyczajnie podobało się kobietom.

Goszczyński był prawie tego samego wzrostu, ale więcej barczysty, cokolwiek starszy od niego, jasny blondyn, wówczas z ogolonymi wąsami, cerę miał chropowatą, oczy siwe bez blasku, ale z pewnym surowym połyskiem, był równie wymowny, ale tylko poważnymi myślami zajęty, zgoła widać w nim było tego zagorzałego konspiratora, którego nic innego nie zajmowało oprócz tej Polski, dla której, według swego przekonania, poważnie, sumiennie i z całem poświęceniem pracował. Z tego punktu widzenia był on zupełnie podobnym do Bułharyna, z tą jednak wielką różnicą, że podczas kiedy Bułharyn był niezmiernie spokojny, roztropny a często nawet melancholijny, on parł naprzód, jak burza, wciąż w jednym i tym samym kierunku; ruchy miał twarde i sztywne, wymowę zimną, ale gwałtowną, którą chciał każdego, nie rozgrzać, ale przekonać i porwać, i którą często sam się unosił. Nie zmienił się kiedym go we 20-cia lat potem odwiedzał w Paryżu na rue de Seine, w hotelu Montblanc, na szóstem piętrze, w maleńkiej izdebce, wyłożonej cegłami — a on ubrany w niebieską bluzę i grube trzewiki nabijane gwoździami, siedząc na nizkiem żelaznem łóżku, bo jedyne krzesło mnie podał, opowiadał mi swoje wspomnienia z tych czasów.

Niebawem dano kolacyę. Przy jedzeniu rozmawiano o pieśniach obozowych i o drukach emigracyjnych, których skład się znajdował u mego ojca, a które stamtąd wysyłano do Ludwika Jabłonowskiego do Lubienia. Po kolacyi mój ojciec wyszedł z kobietami i z Polem do przyleglego bawialnego pokoju i usiadłszy do fortepianu, grał nuty do pieśni Pola „Grzmią pod Stoczkiem armaty“ i „Leci liście z drzewa“, które wtedy już znano, ale grano je tylko z pamięci, bo jeszcze drukowane nie były. Mężczyźni zostali w sali jadalnej, do której ojciec mój powrócił z Polem, a wtedy zasiedli wszyscy do rozmowy, która trwała długo w noc. Śród tej rozmowy słyszałem tylko słowa: Grochów, Wawer, Iganie, Ostrołęka, okopy Warszawy. Wszystkie konwersacye ówczesne i jeszcze przez dziesięć lat potem obracały się wyłącznie około tych bitew, pełnych znaczenia dla ich uczestników, a dla nas pełne czarującego uroku. Wytykano błędy popełnione przez wodzów, opowiadano sobie, jak łatwo Skrzynecki mógł odnieść stanowcze pod Ostrołęką zwycięstwo, gdyby był sam nie osłabił swej armii, i jak mógł gwardye okrążyć i zniszczyć; robiono cierpkie wyrzuty tym, którzy korpus Romarina odciągnęli od Warszawy i przez to uniemożebnili skuteczną obronę stolicy: skarżono się jękiem głęboko boleśnym, że można było zwyciężyć, ale nie podobało się Bogu!

Skargi te, a przy nich wspomnienia tak świetnych zwycięstw, wywoływały powszechne uczucie, że klęska ta nie jest stanowczą, że jest siła w narodzie, a w niej możność zwycięstwa, tylko trzeba tę siłę ożywić, pomnożyć, wzmocnić i ująć w lepszą organizacyę. Uczucie to było złudzeniem, ale było

ono tak powszechną własnością wszystkich, że nawet starsi, którzy dzięki swym doświadczeniom zapatrywali się chłodniej na rzeczy, nie umieli mu się obronić. Z tem uczuciem łączył się ów niewysłowiony urok, dzisiaj nie łatwy do zrozumienia, jaki miała nasza emigracya, natenczas — urok, polegający nietylko na tem istotnem, a tak niezwykłem stanowisku, jakie w Europie zachodniej zajęła, ale także na jej niezmordowanej ruchliwości, o której wprawdzie przesadzone, ale niełatwo dające się sprawdzić, a przeto tem więcej upajające wieści wciąż dochodziły do kraju. Te dwie okoliczności tłumaczą nam dostatecznie, jakim sposobem wówczas utworzył się w kraju tak łatwo i tak szeroki grunt do patryotycznych sprzysiężeń i propagandy rewolucyjnej i dlaczego te sprzysiężenia przyciągały ku sobie nietylko młodzież, ale nawet i ludzi dojrzałych i takich, po których należało się spodziewać więcej kalkulującego rozumu i więcej trzeźwości w postanowieniach. Dzisiaj te sprzysiężenia potępia się bezwarunkowo i nielitościwie — i zapewne, że z pewnego punktu widzenia, to jest o tyle, o ile dążyły do zbrojnego powstania, nawet bezstronna historya musi je potępić: ale historya zbada także przyczyny i znajdzie, że były one koniecznym i naturalnym wynikiem listopadowego powstania i zakończenia go emigracyą — a mojem zdaniem, znajdzie także, iż jako środek rozbudzenia patryotyzmu, który aż do owego czasu spał snem bardzo głębokim u szlachty, a którego całkiem nie było po miastach, przyniosły one niezaprzeczony pożytek. Ta austryacka, licho po polsku, a dużo po rusku i niemiecku mówiąca Galicya, jak ją pa-

miętamy z czasów przed rokiem 1830 — a ta polska Galicya, którą zbudziło ze snu Listopadowe Powstanie, która się wyrobiła w czasie sprzysiężeń, a potem wstała na własne nogi z potoków krwi wylanej w r. 1846: to są dwie prowincye tak bardzo niepodobne do siebie, jak dzisiejsze Podole rosyjskie i Kongresowe Królestwo.

Nazajutrz po rannem śniadaniu, wyprawiliśmy się na Łopiennik. Było nas siedmiu czy ośmu, wszyscy na koniach, ja na moim kucu huculskim, na którym wszędzie jeździłem przy ojcu, wytrzymując już wtenczas nawet kilkogodzinne przejażdżki. Dobre jest takie wychowanie dzieci, bo chroni od chorób w późniejszym wieku, a z dziecka zahartowane siły wytrzymują zazwyczaj do późnej starości. O zachodzie słońca przyjechaliśmy do samego podnóża tej góry i tam rozłożyliśmy się obozem. Wieczorem nałożono ogromny ogień z drzew szpilkowych i jałowcowych gałęzi, których ożywiający zapach jeszcze dziś mi się przypomina. Noc przepędziliśmy w szałasach, których nam odstąpili owczarze. Nazajutrz, na dobrą godzinę przed świtem, wstaliśmy, a owczarze poprowadzili nas dalszymi, lecz za to nie bardzo stromymi ścieżkami na sam szczyt Łopiennika.

Kiedyśmy stanęli na szczycie, dopiero trochę szarzyć zaczęło. Na wschodzie po naszej prawej już gwiazdy pogasły, na dalekim zachodzie jeszcze te ciałka niebieskie tu i ówdzie świeciły. W tej chwili czuliśmy się, jak gdyby zawieszeni w powietrzu, bo mgły okrywały wszystkie góry koło nas, ziemi nie widać nie było, tylko niebo i szarzejące powietrze, przez które po naszej lewej przebijały się gromady gasnących gwiazdeczek. Mieliśmy wszyscy to złudze-

nie, że jesteśmy jak ludzkie dusze, które opuściły swe ciała i wyleciały nad ziemię: nikt z nas nie czuł tęsknoty za tym padołem płaczu — i tośmy sobie mówili. Ktoś ze starszych dodał do tego: Jak z oczu, tak z myśli.

Wszakże niebawem ostatni kres widnokręgu na wschodzie zaczął się rozjaśniać, obciągając się światłem białawo-różowem. To światło szybko się rozjaśniało, podnosząc się coraz wyżej i wyżej, bledsze u góry, jaśniejsze u kresu. Jużeśmy dobrze widzieli kres ziemi na wschodzie, najeżony górami, mgły znikać zaczęły — a wtedy zdawało nam się, jak gdyby światło z poza ostatecznego kresu wybuchało falami.

Było to tylko złudzenie oka, którego wzrok chwilami na kilka sekund omdlewał. Potem mogliśmy już rozróżniać drzewa na grzbietach gór wschodnich, które się na biało-żółtawem dnie rysowały, potem roztoczył się jakoby wachlarz ogromny na wschodzie, z jasnego światła utkany, aż wreszcie słońce się wytoczyło z za gór w całej swej wspaniałości i tym blasku olśniewającym, przed którym oko tak samo się korzy, jak umysł ludzki przed Bogiem, i wolno mu tylko jego dzieła podziwiać na ziemi, ale w twarz jemu zajrzeć nie może. Za światłem słońca, z szarego świata duchów, w którym nasza wyobraźnia nas trzymała przez chwilę, przenieśliśmy się znowu na ziemię, która teraz się rozłożyła przed nami w całej wspaniałości.

Ta wspaniałość jest także olśniewającą, jeżeli ją weźmiemy na oko z wyniosłego miejsca i w rozległej przestrzeni. Patrzyliśmy przed siebie na północ, bo w tym kierunku widać było najlepiej. Tu opadały garby gór jeden za drugim i widać było tu i ówdzie

białe punkciki, to miasta, i niebiesko błyszczące wstążki, to rzeki, tylko cokolwiek na prawo góry i lasy Chwaniowskie zasłaniały widok miasteczek i zamków, w tej stronie leżących.

Mój ojciec miał dobrą perspektywę ze sobą, przez którą po kolei patrzaliśmy w tę kotlinę, otoczoną wieńcem gór, a którą dawnemi czasy nazywano Ziemią Sanocką — i dawał nam wyjaśnienia. Zamek Leński widzieliśmy jak na dłoni, obok niego kawałek Sanu, dalej Sanok, a jeszcze dalej jakieś inne gniazdeczko, może Brzozów albo też Dynów. Góry Chwianowskie zakrywały Przemyśl zupełnie, wszelako cokolwiek więcej ku wschodowi widać było ruinę Dobromilskiego zamku a jeszcze niżej jakiś punkt biały, zapewne Laszki murowane, dawną siedzibę Mniszchów. Co widać było jeszcze dalej, to już tylko szarzało, ale można było dobrze rozróżnić ziemię uciekającą dalej w tę stronę, gdzie się szkli morze Bałtyckie. Ku północnemu wschodowi, gdzie leży Litwa, ziemia zdawała się być ciemniejszą, Podole i Ukraina leżały w słońcu, a cała część zachodnio-północna była nakryta jak gdyby mgłą niebiesko-zielonawego koloru, w której wszakże tu i ówdzie coś majaczyło. Powietrze było tylko miejscami zupełnie jasne, gdzieindziej jak gdyby górą przesłonione; tam wyobraźnia mogła sobie tworzyć wszelkie widoki, do której jej własna pamięć dostarczała przedmiotów. Mówiono długo o rozmaitych rzekach i miastach i zamkach, bo każdemu się zdawało, że coś lepiej obaczył i rozróżnił od innych, potem Pol zabrał głos i wskazywał nam i opowiadał, gdzie leżą i jak wyglądają wszystkie ziemie Rzeczypospolitej polskiej. Słów nie pamiętam: pomnę tylko, że kiedy

nam pokazywał, gdzie leży Kraków, zdawało mi się, że słyszę hejnał, roznoszący się po całej Polsce z wieży Maryackiej. Pomnę także, iż nam opisywał dokładnie, gdzie leży Kruszwica i Gopło, i katedra Gnieźnieńska, gdzie Warmija, jego ziemia rodzinna, gdzie się rozlega piaszczyste Mazowsze i jak o Pomorze uderzają fale morza bursztynnego, gdzie Litwa drzemie w lasach odwiecznych, gdzie Pińsk się topi w moczarach i kędy Kudak strzegł swego czasu kresów naszej Ojczyzny. Były to pierwsze nuty do „Pieśni o Ziemi naszej“, z którą Pol już się nosił od roku. Pieśń ta jest jednym z najpiękniejszych utworów Pola, ale sprawiała ona daleko głębsze i rzewniejsze wrażenie, kiedy ją opowiadał choć prozą, ale żywem słowem i w obec tej całej ziemi, która się rozścielała przed nami. Wszyscy byli do głębi wzruszeni: Strzelecki płakał, jak dziecko, Bulharyn stał nieruchomy i patrzał wytężonymi oczyma gdzieś w dal, zapewne w Augustowskie, gdzie była niegdyś jego siedziba, Goszczyński był obrócony ku słońcu z zaciśniętą pięścią i rozwartymi nozdrzami, zapewne dochodziła go stamtąd woń ukraińskich burzanów, — mnie pozostało wspomnienie, jedno z najwięcej uroczych, jakie mi pamięć przynosi z lat moich dziecinnych.

Jak mi później opowiadał mój ojciec, który nie łatwo dawał się unosić, Pol nigdy nie mówił tak pięknie i tak porywająco, jak wtedy. Widać było po nim, że zna tę starą Polskę, czuje ją w sobie i cały w niej żyje. Po nim Goszczyński rzekł z gniewem:

— Tyle ziemi mieliśmy jeszcze za naszych ojców! I to wszystko zatraciła, zaprzepaściła, zaprze-

dała ta szlachta niesforna, której jeszcze i na takiej przestrzeni było za ciasno...

Z tego wywiązał się spór o to, z czyjej winy Polska upadła, spór, którym kończyły się wówczas wszystkie rozmowy; jednak Bułharyn sprzeczne zdania pogodził, mówiąc:

— Rekryminacye na nic się nam nie przydadzą. Myślmy raczej o tem, aby tę Polskę znowu wyzwolić — a nie będzie to trudno, jeżeli sobie wszyscy do tej pracy podamy ręce.

Pod owe czasy nie było między nami nikogo, któryby w przyszłość Polski nie wierzył.

Po południu wróciliśmy spokojnie do domu, pokrzepieni na sercu i podniesieni na duchu. Pola mój ojciec jeszcze tego samego dnia odesłał wózkiem do Leśka.

Goszczyński przez cały wieczór naradzał się z Bułharynem — a nazajutrz rano odjechał, gdzieś w dalsze góry z Strzeleckim, z którym ścisłą przyjaźń nawiązał.

Bułharyn jeszcze parę dni bawił u mego ojca i naradzał się z nim, tak o wzięcie jakiejś wioski w dzierżawę po stronie węgierskiej, jak o sprowadzenie swej żony i dzieci z Augustowskiego. Wioskę tę wziął wtedy istotnie w dzierżawę i mieszkał w niej z całą swoją rodziną, aż do rewolucyi węgierskiej. Jego żona, Jordanówna z domu, słuszna brunetka o bladej twarzy, kobieta imponującej piękności i nadzwyczajnej wymowy, żyła po wszystkie te lata z moją matką w bardzo tkliwej przyjaźni. Była to jedna z tych kobiet, które swoją nieprzepartą energią i niezwyciężonym zapałem, podtrzymują mężczyzn, kiedy mężczyźni zaczynają upadać na duchu. Wybie-

gała co roku z Węgier i jeździła w Augustowskie, skąd przywoziła fundusze do życia; natenczas zazwyczaj swoje dzieci zostawiała u mojej matki; nieraz po parę miesięcy bawiła w Królestwie, raz ją aresztowano na granicy, drugi raz przez kilka tygodni trzymano na śledztwie; ale zawsze się wydobyła i zawsze wracała, dopiąwszy swojego celu i niezwalczona w swojej energii. Nie wiem, co się po roku 1846 stało z nią i jej dziećmi, bośmy się wtedy wszyscy rozlecieli na wszystkie strony, jak stado ptaków po strzale. Bulharyn sam, po rozwiązaniu Stowarzyszenia Węglarzy polskich, które mało co przedtem założył był we Lwowie z Karolem Kaczkowskim, a które później pod przewodnictwem Napoleona Nowickiego przekształciło się w Związek Karbonaryuszów polskich, o ile wiem, nie należał już do dalszych sprzesiężeń, ale utrzymywał ciągle stosunki z krajem, przesiadując to u nas, to u Brześciańskiego w Kalnicy. Po kampanii węgierskiej tułał się przez wiele lat za granicą, dopiero później zamieszkał na wyspie Jersey, gdzie zmarł przed kilku laty starcem przeszło ośmdziesięcioletnim w ciszy i zapomnieniu.

II.

W ostatnich czasach ogłoszono cokolwiek materyałów do tej epoki, o której tutaj jest mowa, bądź w dziennikach, bądź w osobnych broszurach. Znajdują się tam niektóre fakty, a obok nich czasem ogólne poglądy. Fakty będą jeszcze potrzebowały sprawdzenia, o ile to będzie możebnem, zaś na ogólne poglądy może jest jeszcze zawcześnie, mianowicie dla tych, którzy je muszą opierać na pisemnych przekazach, bo żywe tradycye do nich nie doszły. Mnie tylko tutaj idzie o rzucenie cokolwiek światła na to, co tam powiedziano o germanizacyi Galicyi i o ucisku ze strony rządu, bo to niezupełnie zgodne jest z prawdą. Rząd austryacki, zabrawszy te ziemie po pierwszym rozbiorze, usiłował je wprawdzie zgermanizować, ale się wziął do tego niezręcznie, a oprócz tego nie miał nawet dość siły moralnej po temu. W Polsce stała wówczas oświata na niskim stopniu, ale i Wiedeń był wtedy, a nawet aż do roku 1848, najciemniejszą gwiazdą na firmamencie niemieckim: pamiętnym jest przecież ów magnat węgierski, który cesarzowej Maryi Teresie, kiedy mu wyrzuciła, że w Węgrzech jest tak mało cywilizacyi, odpowiedział otwarcie: *Majestät! oben Oesterreich, unten Türkei, woher Civilisation?* Nie był to dowcip, tylko trafne streszczenie dziejowej prawdy. W czasie rozbiorów

zresztą jeszcze całe Niemcy leżały w grubej ciemnocie i dopiero wtedy nad Renem zaczęły się zwolna rozwijać poezya, literatura i krytyka. Wiedeń zamykał się jak najszczelniej przed tym, przez rząd zasadniczo potępionym napływem światła i samodzielnie myślącego rozumu. W Galicyi zaprowadzono administracyę niemiecką, ale że wtedy nikt w kraju po niemiecku nie umiał, a nawet i po miastach jeszcze niemieckich osadników nie było, więc ta administracya musiała się posługiwać Polakami, ażeby się mogła porozumieć z ludnością. Pierwszy dziennik niejako urzędowy, nie chcąc go ogłaszać po polsku, musiano wydawać w języku francuskim, bo w niemieckim niktby go był nie rozumiał. Gdyby Polacy byli się wtenczas zgarnęli do służby publicznej, byliby łatwo zaludnili sobą całą administracyę i byłoby się stąd wyrobiło położenie mniej więcej takie, jakie jest dzisiaj, ale nie patryotyzm, który wówczas żył cały wyłącznie w języku i obyczajach, tylko nasze wrodzone lenistwo stanęło temu na przeszkodzie — a tak do urzędów sprowadzano Czechów, a Niemcy, którzy byli już w kraju, musieli się na gwałt uczyć po polsku. Skutkiem takiego zachowania się z naszej strony, zniemczyły się miasta: ale szlachty, dzierżawców, oficyalistów prywatnych i ludu, a nawet i pomniejszych miasteczek, germanizacya ta nie dotknęła, tam zachował się wszędzie język polski i ruski, a obyczaje także żadnej zmianie nie ulegały skutkiem napływu Niemców. Późniejsze pokolenia warstw ukształceńszych, mianowicie od początku bieżącego wieku, umiały już po niemiecku, ale z wyjątkiem tych, którzy uniwersytet kończyli w celu wejścia do służby publicznej, jeszcze bardzo niedostatecznie —

a to, co czytam w jednej z wyżej wspomnianych broszur, jakoby wyższa szlachta Galicyi wschodniej nawet pomiędzy sobą mówiła po niemiecku, jest poprostu wymysłem, niezgodnym z prawdą. Może tu i ówdzie cytowano jakieś niemieckie frazesy, ale chyba tylko na to, aby drwić z Niemców. Na gubernatorskich i arcyksiążęcych salonach we Lwowie mówiono po francusku — a jeszcze pomiędzy latami 1800 a 1830 było dużo szlachty, którzy z wyższymi urzędnikami rozmawiali po łacinie, albo też przez tłómacza. W towarzystwie wyższem rozmawiano pół po polsku a pół po francusku, po dworach wszędzie tylko po polsku, nawet ruscy księża, którzy zresztą wtenczas w konfederatkach chodzili, mówili tylko po polsku; w epoce wyż wymienionej już żadnego Niemca nie było, któryby krajowego języka nie umiał — a w epoce następnej już było bardzo wielu potomków rodzin niemieckich, którzy się na wskróś polskim patryotyzmem przejęli i za Polskę cierpieli, a nawet za nią ginęli.

Germanizacya zatem w Galicyi Niemcom się nie udała, owszem przeciwnie, nasz język i nasz obyczaj jeszcze ich samych pochłonął: ale pomiędzy samymi Polakami przez długie czasy właściwego, świadomego siebie patryotyzmu nie było. Pierwszy rozbiór nastąpił po pięcioletniej konfederacyi Barskiej, która kraj cały do ostatniego oddechu zmęczyła i niezmiernie go wycieńczyła. Były rodziny i było ich wiele, które wówczas cały swój majątek straciły. Innym pozostały się tylko resztki fortuny, w sukcesyach, hipotekach i wianach, nie łatwych do zlikwidowania. Takie rodziny musiały osiadać po miastach i żyć w niedostatku, albo stać się cięża-

rem swym krewnym, dopóki zapomocą procesów, sądów polubownych, lub rad familijnych, nie przyszły znowu do jakiegoś posiadania. Biedy, nędzy i skarg na nieopatrzne rządy polskie, które konfederacyi Barskiej pozwoliły przez pięć lat grasować po wszystkich prowincyach polskich, było wtedy bardzo wiele po całym kraju i we wszystkich warstwach społecznych. Z okupacyą austryacką przedewszystkiem wojny ustały, zaczem cały kraj odetchnął swobodniej, bo mógł się zająć przynajmniej swoim chlebem codziennym. Całe pokolenie, następujące bezpośrednio po pierwszym rozbiorze, wychowało się w przekonaniu, że Rzeczpospolita polska dalej istnieć nie mogła, bo w niej żadnego rządu nie było. Pozostała reszta Polski pod panowaniem Stanisława Augusta nie wywierała przez następnych lat kilkanaście na Galicyę żadnego wpływu, nikt tutaj ponownego połączenia się z nią nie pragnął, bo w niej jeszcze zawsze ładu nie było, nawet komunikacye z nią w politycznem znaczeniu się całkiem przerwały, — a utrzymały się tylko familijne stosunki pomiędzy zamożniejszymi rodzinami, które tu i tam posiadały majątki, albo też miały tam krewnych i jakieś sukcesye do windykowania. Patryotyczne usiłowania, czynione przez zamożniejszych obywateli w Wiedniu, podczas czteroletniego Sejmu, miały na celu tylko uzyskanie odrębnej i do pewnego stopnia unarodowionej administracyi dla Galicyi, jako austryackiej prowincyi, ale o całej Polsce w przedrozbiorowych granicach nikt tutaj wówczas nie myślał. Odtąd zaczęły się nawet w masie szlachty gubić jej tradycye, po miastach, a i to tylko po mniejszych miasteczkach, do których jeszcze nie dotarła

germanizacya, żyła tylko jakaś ciemna legenda, że ten kraj niegdyś polski, zaś w masie wiejskiego ludu nawet i takich legend nie było, a chyba tylko jakieś bajki chodziły, że tutaj niegdyś panowie polscy się bijali pomiędzy sobą, a chłopom wtedy włosy trzeszczały. Ostatni rozbiór, po którym, zapewne nie wypowiedziany, ale powszechnie uczuty głos: *finis Poloniae* po całej Europie się rozległ, nie sprawił w tym kraju prawie żadnego wrażenia. Opinia publiczna, o ile takowa pomiędzy starszą szlachtą istniała, była na to oddawna przygotowaną, ten i ów westchnął boleśnie, machnął ręką, poskarżył się Bogu, albo z sąsiadem o tem pogadał — i na tem się cała żałoba skończyła. W kilku zachodnich obwodach, bliskich Krakowa, z których więcej szlachty i sług dworskich w Kościuszkowskiem powstaniu służyło, uczuto ten cios cokolwiek głębiej, ale w właściwej Galicyi, zkąd ledwie kilkunastu szlachty służyło w szeregach tej insurrekcyi, tylko po wielkich dworach, które miały majątki w Królestwie, a czasem i bliskich krewnych, częstokroć na wysokich urzędach, umiano doniosłość tego dziejowego wypadku tak z politycznego, jak i z narodowego stanowiska, należycie ocenić. Ogół szlachty, bo miasta i lud sprawami publicznymi się wcale nie zajmowały, przyjął go z rezygnacyą, — a Pol ten ówczesny stan umysłów bardzo trafnie ocenia, opisując nam szlachcica, który rzuciwszy wtedy swoją szablę do skrzyni z słowami:

I ja wdowiec i ty wdowa,

na końcu woła:

Gdy cię Pan Bóg w pochwę schował,
Snać już będzie sam wojował.

Zdanie się na wolę Bożą, to było wówczas myślą przewodnią nawet tych, którzy jeszcze coś wiedzieli o Polsce i nad jej upadkiem boleli.

O legionach polskich, tworzących się we Włoszech, zrazu w Galicyi mało co wiedziano. Gazet zagranicznych nie czytano, krajowe o nich nie wspominały, chodziły tylko głuche wieści od dworu do dworu, że Polacy tam kędyś się biją, i że może się coś z tego wywiązać dla Polski. Byli wprawdzie i w kraju ludzie wtajemniczeni, którzy utrzymywali stosunki z Wołoszczyzną, z Konstantynopolem, z Wenecyą i Paryżem, gdzie bawili częścią po ostatniej wojnie porozpraszani, a częścią za jakąś własną myślą idący Polacy, ale rzeczy te się nie roznosiły po kraju, bo z konieczności trzymano je w tajemnicy, a z galicyjskiej szlachty mało kto służył w legionach włoskich. W tych legionach było wielu chłopów ruskich, którzy z austryackich pułków zostali wzięci w niewolę i do nich wcieleni; w niektórych batalionach bywało ich nawet czasem więcej, niżeli właściwych Polaków; Chłopicki opowiadał mi wiele o ich zadziwiającej wytrwałości na głód i trudy wojenne, ale mnie się nie zdarzyło ani jednego chłopa znaleść w Galicyi, któryby służył w legionach. Być może, że za mojej młodości już wszyscy wymarli, ale że po nich nie zostały się żadne powieści o legionach pomiędzy ludem, to pewna, bo byłbym o nich coś słyszał.

Wojny napoleońskie, zwłaszcza od czasu, kiedy w nich coraz więcej zaczęli się odznaczać Polacy, zwróciły już daleko żywszą uwagę na siebie, chociaż także tylko pomiędzy szlachtą, bo w miastach uczuć polskich wcale nie było. Wkrótce te wojny zaczęły

obudzać pewne patryotyczne nadzieje i młodzież szlachecka zaczęła się za granicę wymykać i zaciągać pod francuskie sztandary. Ci, którzy byli w szkołach wojskowych w Wiedniu, prawie wszyscy poszli do Francyi. Jednak dopiero rok 1809 obudził patryotyczne uczucia w całym kraju. Było wtedy cokolwiek wesela nawet we wschodniej Galicyi, sztandary polskie wszędzie z zapałem witano, tu i ówdzie powybuchały drobne powstania. Niemcy nie stawili im prawie żadnego oporu: jednak trwało to krótko — a potem cała młodzież, żądna bądź służby około lepszej przyszłości kraju, bądź sławy, przewaliła się do Królestwa. Sieniawa stała się wówczas punktem centralnym uczuć patryotycznych i przez nią przechodzili wszyscy, którzy z własnej ochoty szli do Królestwa a raczej do Księstwa. Po odwrocie Napoleona z pod Moskwy nie wszyscy wrócili, wielu zginęło a inni dotrwali do Waterlo, a potem przeszli do armii polskiej, oddanej pod dowództwo w. księcia Konstantego.

Utworzenie Kongresowego Królestwa nie wywarło takiego wrażenia w Galicyi, jakiego logicznie należało się spodziewać i jakie podobny wypadek wywarłby dzisiaj w tym kraju. Dla patryotów, którzy ciepłem sercem i szerszym umysłem śledzili bieg owoczesnych wypadków, kreacya ta przyniosła rozczarowanie: kawałek Polski, z administracyą polską, ale pod rządem moskiewskim, było to coś, co wcale nie odpowiadało nadziejom tych, którzy z takiem heroicznem zaparciem się siebie przez lat kilkanaście pod sztandarami Napoleona się bili za Polskę i według swego przekonania, sumiennie na coś lepszego zasłużyli. Oprócz nowo-kreowanych senatorów i re-

ferendarzy i tych generałów, którzy długoletnimi wojnami zmęczeni a uwielbieniem dla despotycznych rządów przejęci, pragnęli wygodnego spoczynku, nikt tej nowej Polski z zadowoleniem nie przyjął, entuzyazmu dla niej nigdzie nie było, owszem przeciwnie uważano ją powszechnie za owoc zdrady i niewdzięczności Napoleona, za wytwór intryg wiedeńskiego kongresu, za jakiś niedonoszony płód ironii losu, który nie ma w sobie warunków życia. Jeżeli dzisiaj są publicyści, co gorżkie łzy wylewają nad tą lekkomyślnością, z jaką nasi ojcowie to królestwo ówczesne wystawili na kartę i stracili, to ich sąd się nie utrzyma w obec historyi: bo wówczas jeszcze nikt sobie nie umiał wyobrazić innej Polski, jak w przedrozbiorowych granicach; nikt nie miał zaufania do Rosyi i nikt w to nie wierzył, że Rosya prędzej lub później nie zdusi tej czysto przypadkowej kreacyi, która wcale nie licowała z jej organizmem państwowym i do której utworzenia była tylko okolicznościami zmuszona — a przeto postawienie jej na kartę było koniecznością dziejową. W Galicyi koroniarzom nawet nikt nie zazdrościł ich położenia. Niebawem zaczęły przychodzić wieści o ograniczeniach praw Sejmu i gwałtach w. księcia — wkrótce zaczęli wracać do domu ci Galicyanie, którzy w konstantynowskiem wojsku służyli.

Znałem ich wielu; byli to ludzie natury jędrnej i pełni żołnierskiego humoru, opowiadali wesoło to, co tam widzieli i czego sami dożyli, ale ich opowiadania tylko utwierdzały wszystkich w tem przekonaniu, że tam nie masz żadnej przyszłości dla Polski.

Tymczasem tutaj po wojnach napoleońskich, ułożyły się stosunki w ten sposób, że życie stało się co najmniej znośnem. Dzisiaj często jest mowa o uciskach i prześladowaniach ze strony rządu w tym czasie. Od roku 1815 do 1830 żadnych prześladowań nie było: zdarzyło się tylko kilka aresztowań w tym czasie, które wszakże się skończyły na niczem. O ile zaś biurokratyczna administracya była uciążliwą dla kraju, o tem także dziś bardzo jednostronne czyta się podania.

Administracya ta była tak w zasadzie, jak w swoich dążnościach haniebnie zła: uważano kraj jako podbity, zamierzono zniweczyć go zupełnie, zaprowadzono cenzurę, która nie dopuszczała książek, służących rzeczywistemu rozwojowi oświaty, subwencyonowano pisemka niemieckie, nie wspomagano wcale ani rolnictwa, ani handlu, ani krajowego przemysłu, sprowadzano Niemców do kraju, których wszelkimi środkami protegowano — a ci Niemcy nas nienawidzili i robili, co mogli, aby kraj opanować i na niemiecką prowincyę przekształcić. To wszystko prawda. Mimo to wszakże właściwego, a mianowicie takiego ucisku, jakiegośmy później we wszystkich prowincyach polskich dożyli, tutaj wtedy nie było. Przez lat przeszło pięćdziesiąt kraj się bronił inercyą. Własnej oświaty nie rozwijał, bo nie miał środków po temu i nie starał się o nie, ale niemieckiej kultury nie przyjmował, bo była mu wstrętną. Niemiec, chociażby ukształcony, jakich jednakże było bardzo mało, był w ówczesnej opinii publicznej stworzeniem niższem od Polaka, a oprócz tego figurą śmieszną, z której się wszyscy naigrawali. Szlachta po wsiach wyprawiała im zbytki, nie-

raz pełne najzabawniejszych konceptów, które ja jeszcze pamiętam, i nigdy za to żadnej kary nie było, bo zawsze je potem załagodzono jakimś darunkiem. Czasem nawet którego z nich przetrzepano i przepłoszono, dlatego trzymali się w miastach, pomiędzy wsie, zwłaszcza odległe, zapuszczali się tylko w razie nieodbitej potrzeby a i wtedy jeszcze zajeżdżali do takich dworów, gdzie się spodziewali być jakokolwiek bezpieczni. Niemiec galicyjski był zresztą ubogi, co mu u szlachty nie dodawało powagi, był uważany za tchórza, co go robiło komicznym, źle mówił po polsku, z czego już głośno się śmiano — a tak nawet to, co w nim było dobrego, nie mogło u nas się przyjąć. Znudzony taką niepoczesną pozycyą, przybyły do kraju Niemiec, już w kilka lat przestawał myśleć o germanizacyi — a jego syn stawał się zazwyczaj Polakiem. Pod względem ekonomicznym, przez te lat kilkadziesiąt, kraj wcale się nie podnosił, ale na warunki materyalnego życia nie mógł się skarżyć. Gospodarstwo rolne było w ogóle staroświeckie, ale po większych majątkach można było widzieć bardzo często administracye wzorowe. Od czasu pierwszego rozbioru powstało tu wiele rodzin na nogi, z których jedne, choć starożytne, lecz podupadłe, wtedy znowu się podźwignęły, a drugie, wyszłe z gminu, rozumem, skrzętnością i przedsiębierczością, dorobiły się znacznych majątków i wyszukawszy sobie gdzieś jakichś przodków, weszły w skład krajowej arystokracyi. I jednym i drugim nikt w tem nie przeszkadzał. Aż do zaprowadzenia Towarzystwa kredytowego majątki w ogóle nie były obdłużone, nie przechodziły też wcale w ręce obce, kto musiał majątek sprzedać, ten znalazł zawsze kupca Polaka,

kto potrzebował pieniędzy, znalazł je u sąsiada i zazwyczaj potem oddawał. Gotowych pieniędzy było mało w obiegu, ale życie było tak tanie, że dzisiejsze pokolenia nie mogą sobie zrobić o niem dokładnego pojęcia. Cen nie pamiętam, ale to pomnę, com słyszał od starszych, a potem sam widział, że chleba i mięsa, drobiu i ryb, korzeni i wszelkich bakalii, wódki, miodu i wina, nikomu wtedy nie brakło. Zdarzało się nieraz, nawet jeszcze za moich czasów, że kiedy żyd zakupił zbyteczne cielęta we dworze, to skórki pozdejmował a mięso zostawił parobkom. Po dworach nawet najmniejszych, wszyscy byli okryci i syci.

U mego ojca, chociaż miał tylko trzecią część dochodów z masy Fredrowskiej i tylko jedną wieś własną, bo nasze sukcesye na Wołyniu jeszcze wtedy nie były zlikwidowane, było wszystkiego w bród, w bród dla siebie i dla gości — a Bóg wie tylko, ile tych gości przeszło przez dom moich rodziców. Rzadki to był dzień, w którym kilkanaście osób nie zasiadło do stołu, zawsze kilku gości nocowało po oficynach, zawsze jeden lub dwóch emigrantów stale u nas mieszkało, sług trzymano mnóstwo, koni więcej niż trzeba — i na wszystko starczyło bez żadnego uszczerbku dla mienia, bo w domu były zawsze zapasy gotówki, na gorsze czasy i na usługi sąsiadom. Tak było mniej więcej wszędzie, szlachta bawiła się, wyprawiała imieniny, wesela i bale, często nawet i zbytki, bo dobry humor tryskał ze wszystkich kątów; mimo to ziemia trzymała się szlachty i rzadki to był wypadek, kiedy coś zasłyszano o jakimś paniczu, który stracił majątek — a i ten stracił go za granicą, nie w kraju.

Dobrobyt ten, chociaż mu wiele dopomagały czasy trwałego pokoju, opierał się na pańszczyźnie, to prawda, ale i chłopom wtedy nieźle się działo a przynajmniej nie tak źle, jak to później, w czasie propagandy ludowej, usiłowano w nas wmówić. Obchodzenie się szlachty z gromadami było w ogólności dobre i ludzkie, na opatrzenie owoczesnego gospodarstwa pańszczyzna prawie wszędzie wystarczała, a gdzieniegdzie było jej nawet zanadto, szlachta nie przeciążała chłopów robotą, każdy opatrzny szlachcic dbał owszem o to, ażeby chłop był okryty i syty a oprócz spichrzów gromadzkich, jego spichrz własny stał dla głodnych otworem, zaś w razie nieszczęścia wspomagał go także pieniędzmi i bydłem. Zdarzały się bez wątpienia wyjątki: bywali dorobkiewicze, dzierżawcy i ekonomowie, którzy przez chciwość popełniali nadużycia, za co ich opinia publiczna karała złą reputacyą a sąsiedzi nimi gardzili, ale rodowa szlachta strzegła się takich nadużyć, a jeżeli je jej zarzucano w rozmaitych agitacyjnych pisemkach, to było to prostem oszczerstwem.

Chcąc zresztą całą prawdę powiedzieć, muszę tu dodać, że jeżeli tu i ówdzie zdarzył się jaki szlachcic pomniejszy, źle wychowany, obyczajów brutalnych, chciwiec, gracz albo hulaka, który usiłował to odbić na swoich chłopach, co stracił gdzieindziej, to za to nie słyszałem nigdy o żadnym większym majątku, należącym do szlachty wyższego rodu, w którym by nie przestrzegano jak najpilniej, ażeby się chłopom żadne krzywdy nie działy. Do takich dworów przypływała oświata z wolnomyślnej Francyi, gdzie poddaństwo już dawno ustało a tak tam, oprócz dobrych tradycyj, jeszcze i nowożytne idee dobro-

czynne działały. Toż to głównie z tych sfer wychodziły podówczas ciągłe projekty zniesienia poddaństwa, niestety, zawsze bez skutku. Na szlachcie wogóle cięży wina innego rodzaju — a ta wina w tem leży, że jak w wiekach dawniejszych, tak samo i po rozbiorach, nie dbała o rozszerzenie oświaty pomiędzy ludem i nie starała się w nim rozbudzić narodowego poczucia i przywiązania, nietylko do swego kawałka ziemi, ale do całej wielkiej ojczyzny. Na ten objaw, niestety, tylko u nas istniejący, że nasz chłop nie miał i jeszcze dziś nie ma swego narodowego poczucia i przywiązania, złożyły się bez wątpienia jeszcze i inne okoliczności; zbadanie przyczyn tego objawu powinno się stać zadaniem dziejopisarzy i ekonomistów. Idąc ślepo za chwilowymi prądami literatury zagranicznej, dzisiejsi pisarze nasi zajmują się żywo i skrzętnie psychologią człowieka, a o wiele nam potrzebniejszej psychologii narodu nikt z nich nie myśli: ale na takie studya u nas może i dziś jeszcze zawcześnie. Patryotyzm podówczas aż do roku 1830 żył prawie wyłącznie tylko w szlachcie, ale i u niej był to patryotyzm tylko bierny — a przeto bezmyślny, bezczynny, bezpłodny. Byliśmy Polakami, bośmy czem innem być nie mogli, i na tem się wszystko skończyło. Młodzież szlachecka chodziła do szkół po miastach powiatowych, gdzie były gimnazya i licea, zapisywała się potem zazwyczaj na uniwersytet lwowski, ale go nie kończyła, tylko wcześnie wracała do domu; ci, którzy uniwersyteckie studya kończyli, nauczyli się dobrze po łacinie i trochę po grecku, ale zresztą brali w siebie kulturę niemiecką, historyi i literatury polskiej nie znali, a nawet nie umieli ortograficznie pisać po polsku. Język polski piśmien-

ny chował się tylko po zamożniejszych dworach, gdzie ojciec i matka a najczęściej oboje mieli pewne ukształcenie i książki miewali, pielęgnowano go zresztą po administracyach wielkich majątków, gdzie książkowość i korespondencye prowadzono po polsku i pilnie dbano o to, aby to było dobrze zrobione. Te wielkie administracye były wówczas, w braku innych, jedynemi narodowemi szkołami, w których zubożała młodzież szlachecka i nieszlachecka uczyła się narodowego języka, zachwytywała choć cokolwiek dawnych tradycyi polskich i chroniła się od zniemczenia.

Około roku 1824 sprzysiężenia, zawiązywane jedne po drugich w Królestwie, zaczęły znajdować cokolwiek odgłosu w Galicyi. Towarzystwo patryotyczne miało i tutaj kilkunastu adeptów: z moich późniejszych znajomych należeli do niego Wincenty Rogaliński, Nereusz Hoszowski, Ignacy Komorowski zwany Kutasem, Adam Chołoniewski i kilku innych. Pierwszy z nich, mimo równie gorącego temperamentu, skutkiem którego miał przeszło pięćdziesiąt pojedynków w swem życiu, był najpoważniejszym i on to utrzymywał patryotyczne stosunki pomiędzy Królestwem a Wołyniem z jednej, a Galicyą z drugiej strony; trzej ostatni temi konspiracyami się raczej bawili. Ci trzej ostatni w spółce z kilkoma innymi prowadzili nawet wojnę z Rosyą na własną rękę: wyprawiali się konno na granicę rosyjską i brali objeszczyków w niewolę — schwytany objeszczyk szedł do pługa a koń jego do brony — i była z tego wielka pociecha. Długo się to udawało, bo Moskale rozumieli, że objeszczycy sami znikają, ale kiedy się dowiedzieli, jaka to w tem jest robota,

wyznaczyli na schwytanie Komorowskiego kilkaset rubli nagrody, rozesławszy nawet po swoich komendach jego rysunek, który zresztą nie trudny był do zrobienia, bo Komorowski był bardzo małego wzrostu, mocno nabity i nosił gęstą i długą bródkę hiszpańską. Dawny bursz z uniwersytetów niemieckich, potem żołnierz konstantynowski, był on niesłychanie odważny a do tego równie przebiegły, ale raz Moskale go przecież schwytali i Kutas sam dostał się do niewoli. Siedział w ciupie w Kijowie przez sześć miesięcy i już bardzo krucho z nim było, ale jego krewni, równie bogaci, jak on, zawinęli się za nim w Wiedniu i wydobyli go z tej niewoli drogą dyplomatyczną. Przed samym wybuchem Listopadowego Powstania zaręczył się skutkiem obopólnej i bardzo romantycznej miłości, o której wtedy wiele mówiono, z panną znakomitego rodu; mimo to poszedł na wojnę. Kiedy z wojny powrócił, zastał pannę zamężną za oficerem od austryackich dragonów, co mu się bardzo dziwnem wydało i czem, oprócz niego, cały kraj mocno się bawił, ale na wojnie bił się bardzo walecznie, należał do najszaleńszych oficerów konnicy i został ozdobiony złotym krzyżem zasługi. Potem należał do wszystkich spisków i był wszędzie na przedzie, gdzie trzeba było osobistej odwagi, a robił swoje rzeczy tak sprytnie, że przez cały ten czas nic mu się nie stało, ale w roku 1846 powrósło znów mu się urwało i przesiedział się na Spielbergu dwa lata. Wspominam tu szczegółowo o Komorowskim dlatego, że był to typ owoczesnej młodzieży, jakich było bardzo wielu; grała w nich gorąca i niczem nie przeparta fantazya, fantazya ta była

bezwątpienia patryotyzmem ale miała na sobie zarazem charakter cokolwiek awanturniczy.

Było także już wówczas w Galicyi cokolwiek emigrantów z Królestwa i z Litwy. Byli to czasem młodziutkie chłopcy, którzy się tutaj chronili z obawy przed uwięzieniem za spiski, ale najczęściej konstantynowscy żołnierze, którzy się uchylali przed gwałtami w. księcia, a niektórzy z nich wymykali się z drogi, kiedy ich do Zamościa więziono. Nie było ich wielu, lecz od nich rozchodziły się wieści po kraju o nieznośnych prześladowaniach, a nawet i barbarzyńskich katuszach, na jakie są wystawieni Polacy pod zaborem rosyjskim. Wobec tych wieści, stan rzeczy w Galicyi, gdzie wtedy żadnych prześladowań nie było, wydawał się jeszcze o wiele znośniejszym, ale zarazem wytwarzało się przekonanie, że rewolucya w Królestwie tem więcej jest uprawnioną, a nawet konieczną i że prędzej lub później, ale niezawodnie wybuchnie.

Mimo to wszakże sam wybuch zastał Galicyę zupełnie nieprzygotowaną do wzięcia udziału w tej wojnie. Wybuch ten nie sprawił nawet na razie ani tak powszechnego, ani tak głębokiego wrażenia, jak się to dzisiaj może komuś wydawać. Z aktów naszego owoczesnego ministerstwa wojny wynika, że Galicya dostarczyła tej insurrekcyi około dwadzieścia cztery tysiące ludzi. Cyfra ta jest zapewne prawdziwą, ale ci ludzie nie poszli do Królestwa odrazu. W grudniu tylko tu i ówdzie jakiś żołnierz napoleoński się zerwał i poszedł, wziąwszy ze sobą kilku z sąsiedzkiej młodzieży. Ze Lwowa poszło w tym czasie także nie wielu. Opowiadano sobie naówczas, że to jest tylko żołnierski bunt przeciwko

w. księciu, który się niebawem załatwi, — a to wielu powstrzymywało. Później rozsiano wieść, że generał Sierawski ma wkroczyć w 6.000 ludzi do Galicyi, aby i tu wywołać powstanie, inni więc znowu na Sierawskiego czekali. Tymczasem we Lwowie troszeczkę kipiało i były małe burdy uliczne, ale bito się daleko waleczniej z powodu właśnie podówczas świeżo zaprowadzonej akcyzy, niżeli skutkiem patryotycznego zapału. Dopiero w parę miesięcy po wybuchu powstania, a mianowicie po rozgłośnej bitwie pod Stoczkiem duch się rozbudził, a wtedy poszło dużo akademików i rzemieślniczej młodzieży. Toż także dopiero wtenczas młodzież szlachecka ze wsi zaczęła ciec coraz gęściej za kordon, zabierając za sobą młodszych oficyalistów, a tu i ówdzdzie wiejskich parobków. Jednak największa ich część przyszła zapóźno. Jakoż najliczniej służyli w pułkach nowo-uformowanych, w jeździe poznańskiej, w legii nadwiślańskiej, a zresztą pod Karolem Różyckim, w ogólności zaś Galicya zachodnia daleko żywszy udział wzięła w tem powstaniu, niżeli środkowa i wschodnia.

Natomiast już podczas powstania kraj zaczął się napełniać emigrantami — a w końcu tegoż roku i w pierwszej połowie roku 1832 było w Galicyi daleko więcej polskich żołnierzy, niżeli z niej wyszło. Ruch wtedy w kraju był ogromny, nie było tak odległego kąta w całej Galicyi, gdzieby polskich żołnierzy nie było, z których wielu nawet jeszcze mundury nosiło. Smutku z powodu upadku powstania tu ani śladu nie było, owszem bawiono się bardzo wesoło, po wszystkich dworach wyprawiano biesiady, muzyki, śpiewy, tańce i bale — a niejedna wierność

małżeńska i cnota panieńska padła wtenczas ofiarą patryotycznego zapału. Niektóry szlachcic żonaty, co gotów był wszystko dla Polski poświęcić i zrazu był tem uszczęśliwiony, że się raz przecie duch narodowy obudził, bardzo był tem zdziwiony, że ta rewolucya na wety po swoich godach wymaga jeszcze i takich przysmaków. Wszelako te hulanki ówczesne nie miały na sobie wcale charakteru wesołości z rozpaczy: owszem przeciwnie, zdawało się wszystkim, że Polska dopiero teraz wstała na nogi — a kiedy zaczęły przychodzić wieści z Niemiec i Francyi, z jakim szalonym zapałem tam przyjmowano Polaków i z jakim tryumfem ich fetowano po miastach, to wtedy już ogólnemu szałowi w Galicyi końca ni miary nie było. Jednakże wtedy rząd zaczął pomału szał ten ochładzać, zmuszając emigrantów mniej albo więcej surowymi środkami do opuszczenia kraju. Wyprawiono wtedy wielu przez Tryest do Anglii i do Ameryki, innych zaś drogą lądową do Niemiec i Francyi. Były aresztowania, były także prześladowania, co zaczęło obudzać gniew i nienawiść przeciwko Austryi, których w tym stopniu dotychczas nie było. Pod koniec tegoż roku tylko ci emigranci w kraju zostali, którzy się mogli własnymi środkami do życia albo poręką jakiegoś poważnego obywatela wykazać, a obok nich ci, którzy się kryli. Tych ostatnich zostało wielu — i oni to stali się niejako rozsadnikami tego mniej albo więcej rewolucyjnego, lecz zawsze szerokiego patryotyzmu, który dążył do odtworzenia całej Polski w dawnych granicach, a którego przez lat pięćdziesiąt, mianowicie w środkowej i wschodniej Galicyi, prawie całkiem nie było.

Pomiędzy tymi emigrantami znajdowały się typy niezmiernie oryginalne; fechtmistrze, gracze, facyendarze, jarmarkowicze, intryganci i awanturnicy najrozmaitszego rodzaju. Szkoda, że ktoś z współczesnych nie odrysował tych figur, byłaby to galerya niesłychanie ciekawa i zajmująca: ale nie stało to się dlatego, że wówczas wyrobiła się taka opinia publiczna, iż emigrant był uważany za jakiegoś bożka, o którym nic wolno było nic ujemnego powiedzieć i trzeba mu było wszystko przebaczyć. Emigrant w domu stawał się nawet wobec tej opinii tarczą i pokrywką na wszystko; niektóry szlachcic zaczął sobie robić złą reputacyę i na nią istotnie zasłużył, ale miał emigranta u siebie, więc już patrzono przez szpary na inne jego uczynki. Dopiero po jakich latach dziesięciu zaczęto się względem tych emigrantów trochę otrzeźwiać. Pomnę, że około roku 1842 jeden z tego rodzaju emigrantów, noszący przybrane nazwisko Płocki, jakiejś okrutnej jajecznicy nawarzył w Sanockiem. Połowa szlachty się przeciw niemu zburzyła, ale druga połowa stanęła za nim. Ze trzydziestu szlachty powyzywało się na pojedynek za niego. Potem zwołano zjazd do Leśka, na który się ze trzystu szlachty zjechało: ale Pol także przyjechał i jakoś tę sprawę tak załagodził, że Płocki pozostał w kraju i pojedynków nie było. Ten Płocki później przyjeżdżał także i do mnie i bawił czasem tydzień lub więcej. Wysoki, chudy, blondyn z długimi włosami i niebieskimi mdlejącymi oczyma, był niby uczony i istotnie bardzo wymowny. Wieczorami wykładał mi ekonomię polityczną ze stanowiska socyalistycznego, mówił jak woda, co ciągle płynie spokojnie, a czasem głośniej zaszumi, ale z jego słów nie można było nigdy wy-

dobyć zdrowego sensu. Moja babka mówiła o nim: Ten człowiek wywija językiem jak cepem i niby ciągle coś młóci, ale tem ziarnem, co on namłóci, ani wróbel by się nie pożywił. Jednak przyznać należy, bo to jest prawda, że bez porównania większa część emigrantów byli to ludzie uczciwi, skromni i do pewnego stopnia ukształceni. W każdym razie swem ukształceniem przewyższali uderzająco szlachtę przeciętną, która była pogrążona w ciemności. Umieli dobrze historyę polską, znali narodową literaturę i mieli także najczęściej znajomość obcych języków. Przez nich dopiero rozniosła się romantyczna poezya po całym kraju i dotarła po wsiach do najuboższych dworków, a po miastach do warsztatów i na poddasza.

Niebawem po tych orgiach porewolucyjnych, bo już z końcem roku 1832, zaczęli z Paryża emisaryusze przypływać do kraju. Gdzie emigrant był w domu, tam emisaryusz za jego pomocą znajdował pewne schronienie, a zarazem i poparcie w swoich robotach, bo ci żołnierze z listopadowego powstania trzymali z sobą jak wolnomularze. Ogólnym ich celem była propaganda uczuć patryotycznych — i ta propaganda im się doskonale udała, bo dopiero wtedy i skutkiem ich pracy Galicya została napowrót zdobytą dla idei Polski całej, wolnej i niepodległej, która przez lat kilkadziesiąt prawie całkiem się w niej zatarła.

Jednak jak dawniej, tak jeszcze i teraz i to przez cały dziesiątek lat, aż póki się nowe pokolenie w tej idei nie wychowało, głównymi ogniskami tego szerokiego patryotyzmu były większe dwory szlacheckie, gdzie dawniejsze dziejowe tradycye się nieprzerwanie chowały. W owym czasie zaczęto już

wprawdzie knuć spiski, mające wywołanie partyzanckiej wojny na celu, ale te spiski, zresztą wówczas jeszcze nie bardzo rozgałęzione, musiały z konieczności kryć się niejako pod ziemią, podczas kiedy we dworach mówiono o lepszej przyszłości Polski głośno i jawnie.

Takich dworów, w których żył zawsze obyczaj polski, ale teraz się zbudził duch nowy, pełen zapału i lepszych nadziei dla Polski, było dużo po całym kraju, ale podówczas prym trzymał pomiędzy nimi niezmiernie ruchliwy a zarazem bardzo oryginalny dwór p. Ksawerego Krasickiego, instalowany na Leskiej Posadzie, bo stary zamek kmitowski, spalony przez Szwedów, nie był jeszcze wówczas zrestaurowany.

O panu Ksawerym Pol przyniósł niektóre podania w przypiskach do „Mohorta“ i innych swoich utworów, obiecał dać więcej, ale — o ile wiem — nie dał. Ja go w tem zastąpić nie mogę, bo byłem wówczas dzieckiem, a później ledwie wyrostkiem, ale dodam to, com sam widział i co mi w żywej pamięci zostało.

Pan Ksawery był wówczas starcem przeszło siedmdziesięcioletnim, był niewielkiego wzrostu, z małymi, białymi, w górę podkręconymi wąsami, ale był czerstwy i żywy, jak młodzian, miał oko pełne żywego blasku i ognia i głos dźwięczny, donośny, którego nie można było nie słyszeć. Jego dwór był uważany za pański, bo był hrabią św. państwa rzymskiego, miał wiele ilustracyj w swym rodzie i posiadał duży, od wieków pański majątek, a przecież był to dwór jak najzupełniej szlachecki, a przytem z pewnym obozowym odcieniem, wyglądał prawie jak

ukraińska stanmica. Sług wyższego rzędu, przyjaciół domu i rezydentów, było zawsze dużo około niego; ale dopiero po dziedzińcach roiło się, jak w ulu, bo trzymał czterdziestu czy pięćdziesięciu Kozaków, którzy pilnowali koni, psów gończych i wszelakich przyrządów do polowania. Dzień trawił zwykle na konnych przejażdżkach, ale rankami i wieczorami, a zresztą w dnie słotne kazał sobie nowe książki czytywać i miewał wszystko, co wówczas wychodziło. Pamięć miał niesłychaną, co zresztą było zaletą wszystkich Krasickich, o wszystkiem miał sąd swój własny, najczęściej niezmiernie trafny, patrzał na rzeczy z wyższego, ale zawsze patryotycznego punktu widzenia, historyę polską umiał jak nikt, ale ją znał z kronik, a zresztą z ustnej tradycyi, a nie z opracowań późniejszych, w których, jego zdaniem, było dużo tendencyi, a ducha nie było. Pomnę, że w jakie ośm lub dziewięć lat później słyszałem go mówiącego o odsieczy wiedeńskiej i pamiętam to dobrze, bo każde jego słowo połykałem z chciwością, że wyliczał wszystkie chorągwie, które były na tej wyprawie i opisywał ich uzbrojenie z taką dokładnością, jak gdyby je był widział własnymi oczyma, a tego z pewnością nie wyczytał z książek. Umiał także określić ducha wszystkich politycznych czynności od czasu elekcyi Stanisława Augusta, znał dokładnie wszystkie ówczesne kabały i prawdziwe dążności intrygujących wówczas domów oligarchicznych, wiedział dokładnie, co tam było na wierzchu, a co było pod spodem i wyjaśniał niejeden taki wypadek z łatwością, który później, dla historyków, czerpiących wyłącznie z książek, był już zagadką.

Pol, ilekroć mówi o nauce historyi, przywiązuje bez wątpienia zanadto wiele wagi do ustnych tradycyi; żywe słowo, przechodząc z ust do ust, zmienia łatwo swoje pierwotne znaczenie, dlatego też nie powinno mieć wagi źródłowej: ale zupełna pogarda dla ustnych tradycyi także się nie da usprawiedliwić. A przecież i najnowsza krytyka historyczna ceni starych kronikarzy tylko o tyle, o ile spisali to, co sami widzieli, albo z pierwszej ręki słyszeli: a czyż to jest czem innem, jak ustną tradycyą? Co przyjęto jako trafną zasadę względem czasów dawniejszych, powinno być także zasadą dla epok późniejszych. Zdania tych ustnych, albo za świeża spisanych tradycyi o wypadkach publicznych historyk powinien zbadać krytycznie, to nie ulega wątpieniu, ale historyk błądzi, jeżeli o tych wypadkach wyrokuje z dzisiejszego punktu widzenia — a jak je swojego czasu sądzono, o tem się może dowiedzieć tylko z podań współczesnych. Do jakiego stopnia takie sądy ze stanowiska zapatrywań się dzisiejszych są mylne, to widzimy my starzy w pisanych dzisiaj rozprawach o naszych tamtoczesnych powstaniach i spiskach. Według nich, ponieważ to i owo się nie udało, a z tego wszystkiego nic wypłynęła Polska w dawnych granicach, więc wszystko było niedorzeczne i głupie, a może nawet i nieuczciwe, bo i to czasem się słyszy — ale w rzeczywistości tak to nie było. Jakoż i z tej książki czytelnik się dowie, że niejeden z ówczesnych wypadków wtedy wyglądał całkiem inaczej, niżeli wydaje się dziś, kiedy już zapomniano, z jakich powodów się stał i w jakich okolicznościach.

Pan Ksawery do konspiracyi sam nie należał, ale polityką ówczesną żywo się zajmował i na wzór dawnych naszych magnatów, za pośrednictwem swoich własnych emisaryuszów, utrzymywał ciągłe stosunki w Konstantynopolu, na półwyspie bałkańskim, na Węgrzech i w Paryżu. O jego dwór ocierały się wszystkie znakomitości całego kraju, o niego opierali się wszyscy znamienitsi emisaryusze, zwłaszcza ze stronnictwa Hotelu Lambert, tam wszystko wiedziano, co się działo w sprawie polskiej we wszystkich trzech zaborach i na emigracyi, tam żył wówczas w całej pełni ten rozbudzony na nowo duch polski, który nie chciał nic wiedzieć o żadnych transakcyach i wierzył, że prędzej lub później naszymi własnymi szablami się wybijemy na wolność. A co do temperatury tak jego własnego, jak i tego patryotyzmu, który on chciał widzieć u wszystkich, to pamiętne są jego słowa, które często powtarzał: „Co tam wasz patryotyzm! mybyśmy byli dali sobie żyłki pruć dla Ojczyzny!“ Z tego można wziąć miarę, co wówczas rozumieli pod patryotyzmem nawet ci starsi, którzy nie byli bezwzględnymi wielbicielami każdego powstania.

W kilka tygodni po bytności Pola i Goszczyńskiego w domu moich rodziców, było to zapewne we wrześniu, ojciec mój, wziąwszy księdza Pawła Żegestowskiego, naszego proboszcza *ritus graeci*, a mego nauczyciela ze sobą, zawiózł mnie do Sanoka dla złożenia egzaminu z trzeciej klasy normalnej. Wracaliśmy stamtąd czterokonną bryką, okrutnie wyładowaną bakaliami i sprawunkami dla mojej matki, przeprawiliśmy się szczęśliwie przez San pod Postołowem, ale wjechawszy w równinę, czy konie się czc-

goś wzdrachnęły, czy furman przysnął, dość że nas ze wszystkiem wywalił w fosę z wysokiego gościńca. Było to już blisko Posady Leśkiej. Kozacy p. Ksawerego przybiegli, aby nas ratować i bryka się potrzaskała, konie się poplątały, zmrok już zapadał, nam nic się nie stało, ale że ks. Żegostowski się potłukł cokolwiek, bo był zażywny, więc poszliśmy na Posadę.

Zastaliśmy tam kilkanaście osób. Był także Pol. Pan Ksawery się śmiał do rozpuku, z kapeluszów i czepków, które ks. Żegestowski „wyharatał“ swoją ciężką figurą, i chciał go koniecznie po staropolsku kazać wysmarować oliwą. Niebawem dano do obiadu, mówiono o świeżo zaszłych aresztowaniach i bardzo cierpko się skarżono na Niemców, którzy zaczynają głowę podnosić, ale nie pomnę, aby Pol lub ktokolwiek inny ganił tych Polaków, którzy podówczas zamierzali wojnę partyzancką wywołać. Wszelki ruch narodowy uważano podówczas, jako uprawniony i naturalny wynik ucisku.

Po obiedzie p. Ksawery zasiadł z moim ojcem w kącie pokoju do dłuższej rozmowy, chodziło tam podobno o urządzenie jakiegoś wielkiego polowania w Bieszczadach na niedźwiedzie i dziki. Inni grali w wista. Pol mnie wziął z sobą na sofę i egzaminował mnie z niemieckiego języka. Potem deklamowałem mu kilka strof z jego własnych utworów, które umiałem na pamięć. Pol cieszył się tem, że jego wierszy nawet dzieci się uczą i darował mi egzemplarz świeżo-co wyszłych „Pieśni Janusza“, który ze czcią chowam do dziś dnia.

Ponieważ już nie wrócę do tego przedmiotu, więc dodam tu jeszcze o nim słów kilka. Krasicki

umarł w kwietniu roku 1844. Mieszkałem wtedy w Bereźnicy, którą mi ojciec już wówczas darował i gdzie mnie osadził pod opieką mojej babki. Posłańcy z tą wieścią żałobną latali od dworu do dworu po całych górach Sanockich. Na jego pogrzeb zjechała się taka ćma szlachty, że obydwa rynki miasteczka Leśka były nabite wozami i końmi a niektórym już i tam miejsca nie stało. Szliśmy piechotą na Posadę, gdzie czcigodny starzec leżał w trumnie otwartej, w czarnym kontuszu z perłowymi guzami. Żal był głęboki i szczery u wszystkich, widziałem starców, którzy rzewnymi łzami płakali; wszyscy to czuli, że duch wyższego lotu, co mieszkał pomiędzy nami, uleciał z ziemi i pokolenia żyjące zostawił w sieroctwie. Pol miał przyjechać i powiedzieć mowę pożegnalną nad jego trumną i wszyscy łaknęli jego przybycia, jak promienia słońca po burzy, bo się spodziewali, że jego słowo przyniesie im pociechę w ich ciężkim żalu i ulży ich niewymownej boleści. Ale Pol, mieszkający już wówczas w Jasielskiem, nie mógł przebrnąć wód, które wtedy wezbrały, i nie przyjechał. Wieść, że Pol nie przyjedzie, napełniła wszystkich żalem, równającym się prawie rozpaczy, bo wówczas uczucia serca górowały nad wszystkiem i objawiały się w sposób, nie znający żadnego umiarkowania. Powszechnie czczonego patryarchę Ziemi Sanockiej pochowano w ciszy i niemym żalu na odległym cmentarzu miasteczka. W kilkanaście dni później odbył się w Leśku wspaniały obrzęd pogrzebowy, na którym Pol wypowiedział świetną mowę żałobną, która głębokie sprawiła na obecnych wrażenie, a potem obiegała w odpisach, ale ja wyjecha-

łem był wówczas w jakąś dalszą podróż i na tym obrzędzie nie byłem.

Pomiędzy tą szlachtą, która tak licznie zjechała się na pogrzeb p. Ksawerego do Leśka, można było widzieć niezmienione jeszcze do owego czasu typy z wieku XVIII., bo nowoczesna kultura docierała tutaj tylko wyjątkowo do niektórych rodzin a ogół szlachty wychowywał się jeszcze według dawnych tradycyi i obyczajów. Takie same jędrne i zamaszyste postacie, bardzo wielu ludzi ogromnych wzrostem i z szerokimi barkami, nieprzeparci siłacze i zawołani jeźdźcy na koniach, miny buńczuczne, głosy stentorowe, swada ogromna, strusie żołądki, nieugaszone pragnienie, tylko dawny strój polski zastępowali czamarą, chociaż było jeszcze wielu w starodawnych kontuszach. Było tam dużo drobniejszej szlachty, w krótkich kapotach, z sakwami na koniach, ale także wiele czterokonnych ciężkich powozów, konie duże, ubrane w koce z posrebrzanemi herbami, liberya staroświecka w kapeluszach z lakierowanej skóry. Była jeszcze wówczas szlachta, siedząca na jednej wsi, która chowała takie zabytki i jeszcze ją stać było na ich utrzymanie. Wogóle wszyscy ci ludzie byli dobrze żywieni, twarze rumiane, humor nieprzebrany, dostatek w ubiorach, konie wierzchowe dobre, zaprzęgi conajmniej dostatnie, zgoła powszechny dobrobyt, bo wtedy jeszcze wszyscy na swoich wioskach siedzieli, żyli skromnie i hipotecznych długów nie mieli. Ale były to już ostatnie chwile tego starego świata, który się jeszcze do owych czasów dociągnął. Już w kilka lat potem, po dwóch rewolucyach, a mianowicie po zniesieniu pańszczyzny, ten stary świat zaczął się bardzo

szybko, jak gdyby w ziemię, zapadać, wioski, wsie i majątki, wychodziły jedne po drugich z rąk szlachty — a dzisiaj niemal całe te góry, które aż do owego czasu, jak ul, roiły się jednym żywiołem polskim, znajdują się w ręku Niemców i Żydów.

III.

Według ówczesnych ustaw szkolnych, których celem było ograniczenie rozszerzania się oświaty w kraju, potrzeba było mieć lat dziesięć skończonych, aby być przyjętym do szkół gimnazyalnych. W roku 1835 brakowało mi do tego wieku jeszcze kilka miesięcy, ale znalazła się jakaś metryka, która wypełniła tę lukę, a może to zrobiono jakoś inaczej; ja tylko tyle pamiętam, że tej jesieni ojciec mnie zawiózł do Lwowa i umieścił w konwikcie, który się znajdował w tylnej części pałacu Ponińskich, dawniej Sobieskiego, z frontem wychodzącym na ulicę Ruską. W tym konwikcie miałem wszakże osobnego nauczyciela, który się nazywał Różycki. Będąc już z domu przygotowanym do pierwszych klas gimnazyalnych, miałem wiele wolnego czasu; ten czas starano się zapełnić lekcyami rysunków, muzyki i obcych języków, bo wtedy w domach szlacheckich trzymano się tej zasady, że młody człowiek powinien się uczyć wszystkiego. Jednak pomimo tych lekcyi zostawało mi jeszcze dość czasu do czytania i przepisywania zakazanych poezyi polskich, które wówczas w nieprzebranej ilości obiegały pomiędzy młodzieżą i daleko więcej ją zajmowały, niżeli wykładane przez Niemców, zresztą niezmiernie chude przedmioty szkolne. Podobno tam w tym konwikcie trochę zanadto

się zajmowano poezyą, bo ojciec już po pierwszym roku wziął mnie stamtąd i przeniósł do innego konwiktu, który się znajdował przy klasztorze Dominikanów z wchodem od ulicy Ormiańskiej, gdzie był pewien rygor i daleko większy porządek. Ażeby mi podać sposobność poznania rodzin, w których było cokolwiek więcej oświaty, a przy tem dobre i gładkie chowały się obyczaje, ojciec wprowadził mnie do kilku domów, z którymi go dawne wiązały stosunki i gdziebym mógł bywać we czwartki, w niedziele i święta. Z takich domów, w których wówczas bywałem, przypominam sobie dom jakichś starych państwa Łosiów, którzy mieszkali przy głównym Rynku, okrutnie wysoką karetą i anglezowanymi końmi jeździli po mieście, ubierali się po staroświecku, mieli jakiegoś starego kamerdynera, co głowę sobie pudrował i wszystkiem rządził w ich domu, sami dzieci nie mieli, tylko ładne pieski chowali, ale w niedziele urządzali podwieczorki dla dzieci swoich przyjaciół; dom drugi Zygmunta Łosia przy placu Bernardyńskim, gdzie były dwie małe dziewczynki i także dla dzieci podwieczorki dawano; dom Ignacego Brześciańskiego, napoleońskiego żołnierza, który miał dwóch synów, mnie prawie rówieśnych; inne domy mi wyszły z pamięci — ale to pomnę, że we wszystkich tych domach starego kroju panował duch niby polski, ale mocno naleciały francuzczyzną i ideami z czasów napoleońskich. Było to już w kilka lat po Listopadowem powstaniu i całkiem inna era zaczęła się dla Polski i dla Galicyi, ale tam jeszcze zawsze więcej mówiono o bitwach pod Jeną, pod Raszynem i Lipskiem, niżeli o Grochowie, Ostrołęce i szturmie Warszawy.

Jednak przed wszystkimi innymi wprowadził mnie ojciec do domu p. Aleksandra Fredry, który wówczas mieszkał przy ulicy Sykstuskiej i gdzie się chował jego syn Oleś, głośny później jako Jan Aleksander w naszej literaturze dramatycznej, tylko o półtora roku młodszy odemnie, a który w domu uczył się mniej więcej tych samych przedmiotów szkolnych. Oleś jako dziecko, był śliczny, jasny blondynek z niebieskimi ciągle uśmiechniętymi oczyma, był przytem pełen chłopięcej pustoty, miał pokój osobny, przepełniony zabawkami najrozmaitszego rodzaju, gdzie jednak znajdował się także pult, przy którym jego ojciec stojąc pisywał, bo pomieszkanie to nie było bardzo obszerne: w tym pokoju Bóg nie wie jakie kozły wywracaliśmy z sobą co czwartek a czasem w niedzielę lub święta, czem oboje rodzice się zawsze niezmiernie bawili.

Fredrowie, bracia Aleksandra, — a było ich sześciu i tylko najstarszy z nich Maksymilian mieszkał w Warszawie, — w czasach swojej młodości a mianowicie między latami 1815 a 1825 zajmowali wybitne stanowisko we Lwowie i z kilką innymi synami zamożniejszych rodzin szlacheckich nadawali niejako ton owoczesnej młodzieży warstw wyższych. Pewna starsza matrona, opisując mi później te czasy, pełne tryskającego humoru w tych sferach, powiada mi: — „Wtenczas tu Fredry chodzili na głowach i nie można było się nigdzie obrócić, aby się nie natknąć na Fredrę. Trzeba się było chować przed nimi, bo i z ołtarza byliby zdjęli, a do tego jeszcze i takie wiersze pisali, że nawet starszym uszy od nich trzeszczały“... Poważniejsi ojcowie familii, mianowicie ze starożytnych bez przerwy w pierwszym

rzędzie stojących rodów mocno na nich za to nosem kręcili, a przytem puszczali w obieg złośliwe wieści, że nawet niewiedzieć, skąd się ci Fredrowie wzięli na świecie. Ale wieści te były tylko złośliwe. Pan Jacek, ich ojciec, nie pochodził od Andrzeja Maksymiljana, wojewody podolskiego, bo wojewoda zostawił wprawdzie dwóch synów, ale jeden z nich umarł bezpotomnie, a drugi miał tylko dwie córki. Jednak wojewoda miał braci rodzonych i stryjecznych, którzy nawet dość dużo zostawili męzkich potomków. Prawie przez cały wiek XVIII. w historyi nic nie słychać o Fredrach, ale mimo to byli, tylko zubożeli podówczas, co się i wielu innym, nawet bardzo świetnym rodom zdarzało. Ktokolwiek studyował historyę rodzin polskich — a powinien ją każdy studyować, bo u nas to jest historya narodu, — ten musiał spostrzedz, że w Polsce bardzo często jeden człowiek gubił rodzinę, a potem znowu ją jeden podnosił. Tym, który podniósł zapomnianą na chwilę rodzinę Fredrów, był pan Jacek, człowiek nie posiadający wiele książkowej nauki, bo pomimo francuzkiej powierzchowności, mówił tylko po polsku, ale bardzo rozumny, pogodnego umysłu, bardzo zacnego charakteru, pracowity, przedsiębiorczy a nadewszystko płodny pod każdym względem. Za młodu trzymywał dzierżawy od Czartoryskich, nad dolnym Sanem i był bardzo lubiany w Sieniawie, bo był przystojny, dowcipny, grał na gitarze i pięknie tańcował; w przedostatnim dziesiątku XVIII. wieku ożenił się z panną Dembińską, trochę ułomną, ale mającą dwadzieścia tysięcy dukatów posagu, poczem zrobił duży majątek i oprócz trzech córek, sześciu synów zostawił, którzy wszyscy odznaczali się zacnie, a niektó-

rzy z nich świetnie na polu zasług obywatelskich. Pan Jacek odziedziczył albo też odkupił wkrótce po ożenieniu dwa rodzinne majątki w Sanockiem po Piusie Fredrze, którego tytułowano podstolim pomorskim, Hoczew, którą sprzedał Rylskim i dwa klucze pod Bieszczadami, Ciśmiański i Rabski, obejmujące, jeśli dobrze pamiętam, około ośmnaście tysięcy morgów.

Utrzymywałem z Fredrami jak najlepsze stosunki. Kiedym siedział w więzieniu, oni najczęściej mnie odwiedzali — a kiedym po roku 1866 mieszkał przez kilka lat w Wiedniu i Henryk Fredro przebywał w Hetzendorf pod Wiedniem, tośmy się wciąż widywali, bądź u niego, bądź u mnie, bądź u Lanckorońskich, jego przyjaciół. Pomnę, że wtedy jednego dnia on, ja i jego dwaj siostrzeńcy, Władysław Rozwadowski i Ludwik Skrzyński, daliśmy sobie obiad w Hitzing u Dommayera — a po obiedzie Henryk Fredro czytał nam w parku Schönbruńskim napisaną przez siebie komedyę. Nie wiem, czy ta komedya się zachowała i czy może być graną, ale nie pamiętam, żebym się kiedy w życiu śmiał tak serdecznie, jak wtedy, bo Rozwadowski i Skrzyński byli także bardzo dowcipni i ciągle robili uwagi swoje nad nią, był to zatem *un seul éclat de rire*, który trwał kilka godzin.

W owej epoce, od r. 1815 do 1830, Fredrowie, Stanisław Skarbek, obydwa Batowscy, Nereusz Hoszowski, Kutas Komorowski, Adam Chołoniewski i kilku innych synów zamożniejszych rodzin, wszyscy pełni dowcipu i nieprzebranego humoru, trzymali się razem i byli duszą owoczesnego towarzystwa lwowskiego, które za ich przewodem bawiło się nadzwy-

czajnie wesoło. Były to czasy niczem nie zamąconego spokoju po Kongresie wiedeńskim; podczas wojen napoleońskich każdy dopełnił swych obowiązków, było cokolwiek sławy, sumienia były czyste, materyalnie wszystkim jakokolwiek się działo, więc się bawiono. Było tam dużo pustoty, a zarazem i trochę swawoli, do której Lwów po wszystkie wieki był skłonny; były także i wiersze swawolne, których nie możnaby nigdzie drukować, i było ich dużo, bo na każdy najdrobniejszy skandal składano epigramata albo go opowiadano rymami w kształcie bajek. Wszakże pomimo tej swawoli, duch, który żył w tej młodzieży, był poczciwy, zacny i honorowy, odbijały się w nim echa humanitarnych idei wielkiej Rewolucyi francuskiej a zarazem wszystkie wzniosłe uczucia nowożytnego rycerstwa z czasów napoleońskich, ale uczucia te były polskie i pełne tej świadomości na nowo odrodzonego narodu, który po rozbiorach wstał z martwych z krwi własnej i z pełnym chwały orężem w ręku dał świadectwo o sobie od Alp i Pireneów do Moskwy i Berezyny. Około roku 1825 ta młodzież zaczęła się uspokajać, wielu z nich się pożeniło, a wszyscy się mniej więcej ustatkowali i zajęli się administracyą swoich majątków, w czem okazali się ludźmi porządku, ładu, a nawet takiej zręczności, jakiej się po nich nie można było spodziewać. Typem tej ówczesnej młodzieży, z pewnego punktu widzenia, był Stanisław Skarbek, który bardzo obszerne swe dobra wtedy do tego stopnia obdłużył, że gdyby około roku 1820 był zlikwidował swe długi, to byłby mu się ani jeden zagon nie został, ale w parę lat potem, nietylko wszystkie swe długi pospłacał, ale jeszcze zebrał bardzo znaczne kapitały. Później cały

ten swój majątek poświęcił na utworzenie zakładów publicznych w celach humanitarnych i patryotycznych, które są tak rozumnie ufundowone, że wieki przetrwają — a przeto, pomimo swojej hulaszczej młodości, stał się jednym z najznamienitszych wzorów na polu zasług obywatelskich. Ale ówczesna opinia publiczna nie uczciła jego pracy i poświęcenia, według ich słusznej wartości.

Skarbek był właśnie w czasie urządzenia swoich zakładów najbardziej niepopularnym, jego pogrzebowi towarzyszyło ledwie paręset osób — a kiedy postanowiono przenieść jego zwłoki z Łyczakowskiego cmentarza, to długo nie można było jego grobu odszukać, bo nagrobka nie było.

Przykładów takiej niewdzięczności w tym właśnie zakątku kraju mógłbym z czasów późniejszych jeszcze więcej wyliczyć; dam temu pokój, bo jeszcze zapewne są w świeżej pamięci, godzi się wszakże powiedzieć, że znamieniem społeczeństw żywotnych jest właśnie wdzięczność za oddane krajowi usługi i zachowanie ich w żywej i wiecznej pamięci, bo im więcej takich wspomnień społeczeństwo uzbiera, tem więcej ma świadomości tego, czem było, czem jest i czem na przyszłość być powinno. We wschodniej Galicyi, jakiekolwiek ten kraj przechodził koleje losu od czasu rozbioru aż po dni dzisiejsze, nigdy znamienitych ludzi nie brakło, ale był tam zawsze ten obyczaj, że jak tylko kto wysterknął nad ogół, na tego się zaraz rzucano, a im wyżej się potem podnosił, tem więcej miał nieprzyjaciół; dlatego ten kraj nie ma takiej historyi, jakąby mógł mieć, gdyby tego brzydkiego obyczaju nie było, a zawsze miał i jeszcze teraz ma ludzi, którzy zaczęli kłaść około

dobra publicznego zasługi, ale zniechęceni napaściami, doświadczanemi od swych przeciwników, zatrzymali się w pół drogi i woleli się ze sceny publicznej usunąć, niżeli dalej pracować na to, ażeby za ich pracę, nie szukającą zazwyczaj żadnej materyalnej nagrody, jeszcze obrzucano ich błotem. Do takich znamienitych pracowników na polu zasług obywatelskich, którzy się zatrzymali wpół drogi, należał Aleksander Fredro. Literaci ówcześni opowiadali sobie i jeszcze dzisiaj to piszą, że Fredro się cofnął przed jednym tylko artykułem krytycznym, wymierzonym przeciwko niemu w roku 1834 przez Goszczyńskiego, a przeto, że nie powinien był brać sobie tego ataku tak bardzo do serca. Był to na razie tylko jeden artykuł, to prawda, ale miał on całkiem inne znaczenie, które ja mogę z niewątpliwego źródła wyjaśnić, bo później nieraz o tem z samym p. Aleksandrem mówiłem. Owo więc naprzód, artykuł ten nie był wcale, że tak powiem, indywidualną krytyką Goszczyńskiego, tylko zbiorowym objawem ówczesnej propagandy demokratycznej, która wtedy już bardzo szeroko się rozsiadła po kraju.

Kto był w te roboty wtajemniczony, ten wiedział, o czem później zapomniano, że był to strzał, wymierzony nietylko przeciwko Fredrze, ale przeciwko wyższej szlachcie wogóle, a to w celach agitacyjnych, wymierzony zaś był przeciwko niemu dlatego, że już stał wysoko i że tylko jego można było dosięgnąć na polu literatury, to jest na tem jedynie polu, na którem demokracya podówczas mogła się głośno odezwać. A potem, artykuł ten obwiniał Fredrę nietylko o nieudolność jego utworów, ale

przedewszytkiem o brak polskości, to znaczy o brak patryotyzmu — a takiego oskarżenia człowiek taki, który niedawno co jako żołnierz polski całą Europę własnemi stopami przebrodził, a jako obywatel był gotów wszystko dla Polski poświęcić, nie mógł znieść tak obojętnie, jak się znosi krytyki literackie. Jakoż Fredro pojął to uderzenie całkiem inaczej, niżeli je dziś pojmują historycy literatury — i pamiętam to dobrze, że późniejszymi czasy raz sam mi o tem mówił te słowa: — „Wiesz, tobie powiem, chociaż o tem mówić nie lubię, że oni mnie wtenczas wzięli jako *point de mire*, aby do mnie strzelać, a trafić innych, uważałem zatem za mój obowiązek sumienia usunąć im tę tarczę z przed oczu, przez którą mogli strzelać do całej warstwy społecznej!... Chcąc słusznie osądzić czyjeś pobudki wewnętrzne, że powiem to z Mickiewiczem: „trzeba być we mnie, nie ze mną". Zresztą i to podanie jest mylne, że to był tylko jeden artykuł, bo po artykule Goszczyńskiego nastąpiły inne, nawet w pismach emigracyjnych, a ten zarzut o brak polskości tak się z czasem rozszerzył, że jeszcze w czterdzieści lat potem przeszedł prawie do wszystkich encyklopedyi polskich.

A tymczasem zarzut nawet z literackiego stanowiska był niesprawiedliwym. Patryotyzm ma w każdej epoce swoje odrębne cechy: w gruncie rzeczy jest to zawsze jedno i to samo uczucie, ale w różnych czasach objawia się różnie, bo wedle danych okoliczności różnymi środkami dąży do swoich celów. Często, wedle tychże okoliczności, nawet i cele ma różne. Ten patryotyzm, który się podczas wojen napoleońskich, zresztą tylko pomiędzy młodzieżą jednej

warstwy społecznej, obudził w Galicyi, był nawskróś przejęty ówczesnym duchem europejskim — a ten duch składał się głównie z wolnomyślnych idei wielkiej Rewolucyi francuskiej, ujętych przez Napoleona w formy monarchicznego militaryzmu. Cały świat wtedy się na tę modłę przekształcił — i temu wpływowi uległa także Galicya, a to tem łatwiej, ile że dotąd, jak to już powiedziałem powyżej, żadnej sobie właściwej duchowej cechy nie miała.

Fredrowie, tak jak i wszyscy im współcześni, prawie żadnych polskich tradycyj nie mieli; te tradycye już się w ich ojcach bardzo mocno zatarły, a Rewolucya francuska i wojny napoleońskie wymiotły je do reszty, zwłaszcza w tych warstwach społecznych, które po wierzchu pływały. Odżyły one dopiero później, po roku 1831, za przewodem literatury romantycznej, która wygrzebała je z gruzów i powróciła do życia. Fredro był, odnośnie do swego czasu, nawskróś nowożytnym człowiekiem. Malował ludzi tak, jak ich widział koło siebie: lekkomyślnych, bawiących się, ukształtowanych na modę francuską, niemiecką, albo angielską. We wszystkich jego komedyach jest tylko jedna staropolska figura, to Raptusiewicz, którego zapewne dopatrzył gdzieś w jakimś wiejskim zakątku, bo Rejent, nie mówiąc już o Papkinie, są to figury z czasów, od Raptusiewicza późniejszych. Tego patryotyzmu, o jakim późniejsza krytyka myślała, Fredro, choćby był chciał, niewiele byłby mógł włożyć w swoje komedye, bo przecież od tego była cenzura — a patryotyzmu demokratycznego już wcale nie mógł odbić w swych dziełach, bo demokracyi jeszcze wtedy nie było. Natomiast wszakże przez wszystkie jego komedye wieje

duch liberalny, ten liberalizm w całej swej pełni, jak go pojmowano naówczas: jakoż Fredro miał się pod koniec życia za bardzo liberalnego i nieraz, kiedyśmy o owych krytykach ze sobą mówili, słyszałem z jego ust słowa: „I to się zdarzyło mnie, który zawsze byłem tak liberalnym!“ — Później, kiedy demokracya już cały kraj opanowała, a dziennikarstwo szeroko się po nim rozległo, nie mógł już czasu tego zrozumieć i — jak to widać także z niektórych jego wierszów ulotnych — tak o jednej, jak i o drugim mówił prawie ze wstrętem: ale to jest kolej życia każdego człowieka, który na własnych stał nogach i o wszystkiem własne miał zdanie.

Nikt, oprócz hipokrytów i ludzi bezwłasnowolnych, nie może być człowiekiem dwóch epok odrębnych. Zrobienie z siebie łódki, z każdą wodą płynącej, może być zaletą bardzo praktyczną, ale nie jest znamieniem ludzi, mających swój własny charakter, a Fredro był tem, co Niemcy nazywają „ganz ist der Mensch“ i był sobą samym przez całe życie. Fredro wywierał wpływ wielki na swe otoczenie, a to nietylko przez teatr, który prawie tylko nim żył aż do roku 1848 i wtedy był jednem z głównych ognisk polskiego ducha we Lwowie, ale także i po za obrębem teatru, bo im głośniejsza się stawała jego sława autorska, tem więcej uwaga publiczna się zwracała na niego. Przez wiele lat a mianowicie pomiędzy latami 1825 a 1848 był on dla szlachty, krzątającej się około sprawy publicznej, prawie wyrocznią — a w każdym razie, czy to na owoczesnym Sejmie, czy po za Sejmem, nie zrobiono nic, o czemby nie zasięgnięto przedtem jego opinii. Słyszałem od wielu z jego współczesnych, że w ka-

żdym wypadku miał swoje zdanie i umiał je wyrazić dobitnie, a często bardzo dowcipnie. Szkoda, że ktoś tych zdań jego nie spisał, bo byłyby one stanowiły bardzo ciekawy przyczynek do owoczesnej historyi Galicyi. Do mnie doszły o tem, chociaż często od niego samego, już tylko ogólnikowe podania, którym brakuje właściwej im treści, dlatego te rzeczy tutaj pomijam. Wspomnę jednak o takich, których piśmienne ślady mogłyby się jeszcze odszukać.

Tak słyszałem to od niego samego, że po roku 1831, kiedy po zamianowaniu arcyksięcia Ferdynanda d'Este gubernatorem Galicyi i po rozpoczęciu prześladowań przeciwko Polakom, chodziło o to, jakie stanowisko szlachta ma zająć wobec rządu austryackiego, on stanął w liberalnej i patryotycznej opozycyi przeciwko pewnej frakcyi ówczesnej arystokracyi, która się oświadczyła za zupełnem i bezwarunkowem poddaniem się wpływom rządowym. Z tej opozycyi wywiązała się korespondencya pomiędzy nim a p. Alfredem Potockim, ojcem, jego kolegą z wojen napoleońskich, korespondencya ta była prowadzoną w języku francuskim, a że się składała z całego szeregu obszernych listów, mogłaby się jeszcze dzisiaj odszukać. P. Alfred po bitwie pod Lipskiem pogodził się z Austryą, Fredro nigdy się z nią nie mógł pogodzić, zatem o te to rzeczy w tej korespondencyi pomiędzy nimi chodziło, a ponieważ obydwa się liczyli do konserwatystów, więc byłoby rzeczą o tyle ciekawą, czytać dziś te odcienie opinii, które ich od siebie dzieliły. Jako ciekawy szczegół do tego, to dodać należy, że po roku 1848 obydwa ulegli prześladowaniom ze strony austryackiego rządu, tylko p. Alfreda, który piastował rozmaite

austryackie godności, a oprócz tego aż do owego czasu nie miał legalnie przyznanego tytułu hrabi, te prześladowania rzeczywiście dotknęły, Fredrę zaś, który nie miał żadnego dworskiego urzędu, a tytuł miał dawniej przyznany, dotknąć nie mogły, bo na to, ażeby się aż wziąć do jego osoby, przecież nie miano odwagi.

W postulatowych Sejmach, których stałym był członkiem, a kilkakrotnie i deputatem, był zawsze czynnym, o ile w tych Sejmach można było być czynnym, jednakże w każdym razie należał do tych, którzy już wtedy usiłowali przeprowadzić zniesienie poddaństwa, niestety, napróżno. W roku 1861 wybrano go posłem do konstytucyjnego Sejmu, jednakże wkrótce sam złożył mandat. Kiedym go w roku 1862 pytał o to, dlaczego się z Sejmu usunął, odpowiedział mi te słowa: „Wiesz, kiedy mnie wybrano, miałem w tem satysfakcyę, bo wiedziałem, że przecież mnie jeszcze nie zapomniano, ubrałem się w kontusz i miałem szczerą chęć wspólnie z wszystkimi pracować: ale kiedym się między moimi kolegami rozpatrzył, spostrzegłem, że ja, napoleończyk, jestem pomiędzy nimi, jak pies na kręgielni, zamiast więc czekać, aż mi kto kulą nogi podetnie, ukłoniłem się im, dopókim był cały i podziękowałem za łaskę".

Henryk Rzewuski opowiadał mi w r. 1853 w Krakowie, że kiedy około roku 1829, jadąc do Włoch, bawił czas jakiś we Lwowie, dużo obcował z Fredrą, którego znał dawniej i chwalił bardzo jego humor i dowcip, którym w całej Polsce ówczesnej nie znał równych. Powiedział mi także, że Fredro wówczas napisał do niego bardzo dowcipny wiersz, który się zaczynał od słów:

Cóż warte, Rzewuski, nasze antenaty,
Gdy w takiej cenie Kutasińskich dukaty...

Rzewuski umiał cały ten utwór na pamięć, ja spamiętałem sobie tylko powyższe dwa wiersze.

W roku 1847 utworzyła się była grupa ludzi we Lwowie, do której należeli Ludwik Skrzyński i Pol, a która zaczęła się zajmować ekonomicznymi kwestyami i powzięła była zamiar, albo wydawać dziennik ekonomiczny, albo też traktować ekonomią polityczną w istniejących dziennikach. Z wybuchem Rewolucyi roku 1848 Ludwik Skrzyński i Leon Rzewuski zaczęli ogłaszać swoje zapatrywania się na kwestye ekonomiczne na kartkach osobnych — a niebawem potem założono istotnie dziennik p. t. „Postęp“, który miał się zajmować wyłącznie ekonomicznymi kwestyami, a do którego, oprócz dwóch wyż wymienionych, pisało wiele innej młodzieży. Ale w r. 1847 chodziło o to, że w języku polskim nie było wyrazów technicznych na określenie nowszych pojęć ekonomicznych i trzeba je było dopiero utworzyć.

W tej ważnej sprawie odbywały się wtedy formalne konferencye u Fredry — i nie mało tam tych nowych wyrazów ukuto. Pol, Skrzyński i Henryk Fredro, przynosili mi te rzeczy do więzienia i nieraz serdeczniśmy się z tych konceptów naśmiali. Miałem je wówczas spisane, ale później mi się to gdzieś zawieruszyło: jednak pamiętam, że Aleksander Fredro napisał był wówczas bardzo dowcipny wiersz, tak o tych nowych wyrazach, jak o stanie ekonomicznym całego kraju, którego to wiersza wszakże nie znajduję także w kompletnem wydaniu dzieł jego. We Francyi, która jest niby tak ra-

dykalnie demokratyczną, żadna drobnostka znakomitego pisarza nie ginie, każdy świstek się zbiera, objaśnia i odkłada ze czcią do narodowej skarbnicy, która dzięki tej miłościwej skrzętności jest wiecznie płonącym Zniczem patryotyzmu: my mamy całe dzieła znamienitych autorów, których dziś nikt już nie czyta, a których pamięć żyje już tylko na półkach bibliotek.

Fredro, od czasu ożenienia się z Jabłonowską, rozwiedzioną ze Skarbkiem, damą nie codziennej piękności, złotego serca i bardzo świetnego ukształcenia, prowadził życie skromne, spokojne i bez tej wystawności, na którą inni tracili dużo pieniędzy; bywał w towarzystwie tylko o tyle, o ile konieczność tego wymagała do utrzymania stosunków, a przyjmował u siebie tylko takich ludzi, dla których umysłu i serca miał szczerą sympatyę. Pomiędzy latami 1835 a 1838, o których tu mówię, odbywały się u niego co czwartek literackie obiady, do których i nas przypuszczano. P. Aleksander sadzał nas zawsze obok siebie, Olesia po jednej a mnie po drugiej stronie, i dawał nam objaśnienia o tem, o czem właśnie mówiono, a czasem te i owe nauki, bo wychowanie syna po swojej myśli leżało mu przedewszystkiem na sercu. Nie widziałem w życiu lepszego męża i troskliwszego ojca, od niego. Na tych obiadach, które się odbywały o godzinie drugiej, nie bywało nigdy więcej nad dziesięć do dwunastu osób. Bywali na nich, o ile sobie mogę przypomnieć, Adam Zamojski w granatowym kontuszu, który sam także wiersze pisywał, Tadeusz Wasilewski, konsyliarz gubernialny a często i komisarz sejmowy, ale także w kontuszu, książę Henryk Lubomirski, kurator za-

kładu Ossolińskich, Sagatyński, paź Stanisława Augusta, który pamiętniczek po sobie zostawił, Aleksander Batowski, Jan Nepomucen Kamiński w długim granatowym surducie, Adam Rościszewski, Gwalbert Pawlikowski, Nereusz Hoszowski, który Heinego tłómaczył, Kutas Komorowski, który także coś pisał, Ludwik Jabłonowski, Henryk i Edward Fredrowie a czasem także i aktorowie, ale tylko Nowakowski, Smochowski i Benza. Bywał także i Pol, ale był to jedyny z młodszej generacyi pisarzy, którego tam widywałem. Pol, chociaż młody, był bardzo poważny, a kiedy mówił, wszyscy go z wielką attencyą słuchali, bo już wtedy otaczał go pewien urok, któremu wszyscy ulegali, a który on umiał utrzymać. Mówiono zwykle o literaturze, która wszakże wtedy w Galicyi była jeszcze bardzo ubogą, dlatego kończono zwykle na Mickiewiczu, którego utwory dopiero wtedy zaczęły się upowszechniać w szerokich kołach i około których kręciły się wszystkie rozmowy.

Dzisiaj Mickiewicz stał się przedmiotem powszechnego kultu, a nawet krytyka, z bardzo nielicznymi wyjątkami, znajduje, że wszystko, co wyszło z pod jego pióra, jest doskonałem i bez żadnego zarzutu. Dziś uważanoby to prawie za świętokradztwo, gdyby się ktoś poważył coś któremu z jego utworów zarzucić — a są krytyczni autorowie, często nawet bardzo zabawni, co w jego utworach znajdują nawet takie rzeczy, których najbystrzejszy rozum innego człowieka nie może się w nich doszukać. Niektórzy z nich zestawiają nawet całe systemy o kolorach i tonach, które przypisują Mickiewiczowi. Kto go znał, ten jest pewnym, że on sam nie po-

małoby się temu zadziwił, gdyby to czytał. Wtenczas zapatrywano się na jego utwory inaczej: ceniono bardzo wysoko i szczerze jego niektóre wiersze ulotne, Sonety krymskie, Wallenroda i Dziady i poddawano się ogólnemu wrażeniu, jakie te poemata wywierały na wszystkich, czuto ich ducha, piękność ich formy i dźwięk jego wiersza: ale takiego bezmyślnego, choć niby wyrozumowanego kultu nie było. Zaś „Pan Tadeusz“, który właśnie wtedy się upowszechnił, nie był uważanym za takie arcydzieło bez skazy, jak dzisiaj, owszem, ulegał wielorakiej krytyce. Zarzucano mu nijakość głównego bohatera i uważano z nieukontentowaniem, że Mickiewicz w nim nawet przeciętny poziom ówczesnej młodzieży obniżył, bo przecież Polska wydawała wówczas bardzo wielu ludzi, którzy byli czemś więcej, aniżeli *de la chair à canon*, jakim jest jego Tadeusz; zarzucano brak kobiet, bo przecież w Polsce bywają inne kobiety, niżeli głupiutka Zosia i Telimena, wzdychająca do petersburgskich salonów; uważano, że Jacek Soplica mógł był jaką polityczną zbrodnię popełnić, a nie koniecznie proste morderstwo, które w Polsce bywało rzadkiem, a którego nigdy się nie przebacza; uważano, że zaściankowa szlachta jest skarykaturowaną, podnoszono z przekąsem, że chłopom w tym poemacie tylko z łaski pańskiej dzieje się dobrze, a nie masz wspomnienia o tej sytuacyi społecznej, jaka im się z prawa należy, w końcu nawet i wierszowi robiono te i owe zarzuty, a Indykowi-Czównę uważano za lekceważenie czytającego ogółu. Wielbiciele klasycyzmu byli zdania, że ten poemat ściąga poezyę epicką na poziom tak niski, że na tem cierpi jej godność — a

demokraci uważali, że jest on apoteozą szlachetczyzny i społecznego zastoju, z uszczerbkiem wolnomyślnych idei. „Wallenrod“ stał wtedy daleko wyżej w opinii publicznej, niż „Pan Tadeusz“. Nie orzekam tutaj, czy to było dobrze, czy źle, opowiadam tylko, jak było.

Te krytyki wszakże wcale nie uszczuplały tej głębokiej czci i miłości, jaką miano dla Mickiewicza, ani ujmowały tego nadzwyczajnego uroku, jaki miały podówczas zresztą wszystkie druki, które przychodziły z Paryża. Pomnę, że w owym czasie mój ojciec, do którego wszystkie publikacyę emigracyjne przychodziły z Węgier, przysłał mi był przez jakąś dobrą okazyę jeden egzemplarz „Pana Tadeusza“, jeden „Dziadów“ i jakieś paryskie gazety i kazał mi to zanieść pod płaszczem do p. Aleksandra Fredry. Mój nauczyciel Różycki, który był bardzo dobrym Polakiem, ale miał dekret na profesora, kiedy ten pakiet obaczył, zaokrąglił oczy jak gałki, zaparł oddech w piersiach i otarł chustką pot z czoła. Mnie się z niego śmiać chciało, zresztą jak zawsze, pytam go więc ze śmiejącemi oczyma: co mu takiego? A on mi na to: — Jakto co? gdzież takie rzeczy!... za to idzie się do Kufstejnu. A potem, chociaż prócz nas dwóch nikogo w pokoju nie było, nakrył „te rzeczy“ chustką od nosa. Tego dnia odprowadził mnie o godzinę wcześniej do Fredrów — i jestem przekonany, iż gdyby mnie był jaki policyant w drodze zaczepił, to mój Różycki byłby dał takiego drapaka, że byłby się pewnie nie oparł aż w Węgrzech. Różni ludzi mieli różne uczucia natenczas: jemu na samo wspomnienie Kufstajnu zimny pot występował na czoło — a mnieby się było tak

chciało choć z parę tygodni przesiedzieć w kozie, bo to było podówczas najwyższym ideałem całej szkolnej młodzieży. W dziesięć lat potem miałem tej kozy więcej niż trzeba, bo i lochów prawie podziemnych a nawet i kajdan nie brakło i wtedy jeszcze słodziły ją ideały; ale we dwadzieścia kilka lat potem, kiedy mi się znowu z nią spotkać zdarzyło, już ideałów nie było, a natomiast były bardzo cierpkie rozczarowania.

Kiedym przyszedł do pana Aleksandra Fredry z temi zakazanemi książkami, już było trochę gości u niego. Wszyscy się zaraz około nich gromadzić poczęli, porozkładali je na stole i patrzali na nie z taką ciekawością i namaszczeniem, jak się patrzy na święte relikwie za ołtarzem w kościele. Aleksander Batowski, gorący patryota, jak inni, ale przytem zapalony bibliograf, najwięcej dreptał koło nich, chociaż najsłabsze miał nogi. „Pana Tadeusza“ i „Dziady“ miał już zapewne, to też tylko emigracyjne dzienniki przeglądał. Potem mnie wypytywał na stronie, skąd i jakiemi drogami przychodzą te rzeczy i czy nie mógłby i on je dostawać, mianowicie dzienniki. Miałem już wtedy rozgarnienie, napisałem do ojca i potem mu je przysyłano, jakoż odtąd miałem już w nim przyjaciela a późniejszemi czasy nawet bardzo cennego przewodnika, bo dawał mi informacye, daleko dokładniejsze niż wszyscy inni, o rękopismach, odnoszących się do XVIII wieku a znajdujących się w Bibliotece Ossolińskich.

Te czwartkowe obiady u Fredry przeciągały się zwykle aż do wieczora — a kiedy już ze stołu zebrano, dopiero wtedy zaczynały się poważniejsze rozmowy. Wtedy niejednokrotnie czytano głośno ja-

kieś utwory i dyskutowano ich zalety i niedostatki. Wówczas już i we Lwowie zaczęła się zwolna rozbudzać romantyczna literatura i w przeciwieństwie do dotychczasowych utworów Kamińskich, Chłędowskich, Jaszowskich i Kretowiczów, rozszerzać smak inny i całkiem inne estetyczne pojęcia. Wyszła już wtedy „Ziewonia“, a w niej czytano poetyckie prace obydwóch Borkowskich, Bielowskiego, Magnuszewskiego i innych, w których wiał duch nowy, swobodny i ciepły i zwiastujący nową epokę w naszej literaturze, która już na dziesięć lat przedtem zaczęła się w Wilnie, teraz rozwijała się w całej pełni na emigracyi i w Księstwie Poznańskiem, ale tutaj dopiero pierwsze jaśniejsze promienie jej dobiegały. Niektóre jej tutejsze utwory były już bardzo piękne i pozostaną na zawsze w literaturze, inne ścieliły tylko drogę dalszemu rozwojowi, rozprawy krytyczne i estetyczne posełano stąd do dzienników poznańskich, bo tutaj ich nie można było drukować, ale stamtąd wracały i stawały się przedmiotem bardzo żywych dyskusyi, bo wtedy wszystkiem, co było polskie, niezmiernie żywo się zajmowano. My, mali chłopcy, z tych dyskusyj niewieleśmy rozumieli, na tak młode umysły tylko to sprawia wrażenie, co działa na zmysły, a przez nie na wyobraźnię, ale przecie może coś z tego zostało.

IV.

W owym czasie na którym stoję w tej chwili, 1835—1838, ten duch a raczej bezduch, którym Galicya była przejęta aż do wybuchu Listopadowego powstania, już się zmienił do niepoznania — a zmianę tę było widać przedewszystkiem na szkolnej młodzieży. Gdzie dawniej uczniowie nawet klas wyższych prawie nic nie wiedzieli o Polsce, uczyli się tylko łaciny i niemiecczyzny, a zresztą tylko bąki zbijali, zaś ukształceńsi tylko po niemiecku pisali, polskiej literatury całkiem nie znali i po polsku nawet ortograficznie pisać nie umieli, co zresztą widać na owoczesnych listach nawet samego Pola: myśmy się wtedy także łaciny i niemiecczyzny uczyli, ale uważaliśmy te nauki jako nam narzucone, od których się nie można było uchylić — a kazaliśmy się przedewszystkiem uczyć po polsku i ukształcenie polskie pomiędzy sobą rozszerzać.

Zadanie to nie było łatwem natenczas, bo naprzód w szkołach publicznych, nietylko że nie uczono po polsku, ale było nawet *signum linguae* za mówienie tym językiem; były tam wprawdzie jakieś wykłady gramatyki i literatury polskiej, ale tylko dla formy, to też prawie nikt na nie nie chodził. Natomiast zaś rząd, chcąc młodzież czem innem zatrudnić poza godzinami szkolnemi, zaprowadził był naukę ry-

sunków, francuskiego języka, tańców, szermierstwa, a nawet jezdżenie konne, które dawano każdemu za darmo, kto chciał je pobierać. Stary Reitzenheim, gubernialny konsyliarz, ojciec tak powszechnie na emigracyi lubionego Józefa, temi lekcyami rozporządzał i dawał każdemu pozwolenie na piśmie, kto się o to zgłosił do niego. Widzę jeszcze dzisiaj przed sobą tę typową figurę: wysoki, brunet, o bardzo pięknej, starannie ogolonej twarzy, z dużemi czarnemi oczyma, w długim migdałowym surducie, bardzo poważny, ale zarazem bardzo łagodny, jak mi dawał nauki, do jakiego stopnia powinniśmy być wdzięczni za te lekcye naszemu ojcowskiemu rządowi. Ale i na te lekcye mało kto chodził, bo nie wiele się można było na nich nauczyć, tylko z lekcyi rysunków, które wykładał Maszkowski, można było cokolwiek skorzystać.

Dalsza trudność uczenia się języka i literatury polskiej leżała w tem, że nawet nauczycieli nie było, którzyby umieli te przedmioty wykładać. Ci nauczyciele, których nam dodawali rodzice, albo którzy pilnowali studentów po pensyach i konwiktach prywatnych, mieli sami tylko ukształcenie niemieckie, a najczęściej nawet tak haniebnie mówili po polsku, że my kilkunastoletni chłopcy, którzyśmy byli wprawdzie także z Rusi Czerwonej, ale z jej obwodów zachodnich, gdzie bardzo dobrze mówiono po polsku a nawet lepiej, niż na Mazurach, jak wówczas nazywano niegdyś małopolskie obwody Galicyi, musieliśmy ich poprawiać. Zaś oprócz tego wszystkiego jeszcze i książek polskich nie było, bo rzadka to była wówczas pensya prywatna, w której się znajdowało jakie kilkanaście tomów klasyków polskich, wprawdzie

nie zakazanych, ale także bardzo źle widzianych przez profesorów, którzy po takich pensyach od czasu do czasu robili rewizye. Ale młodzież umie sobie radzić na wszystko.

Kiedyśmy jaką zakazaną książkę dostali — a wszystko było zakazane, co wychodziło na emigracyi, — tośmy z niej zdarli kartkę tytułową, a przylepili inną, zdartą z którego z klasyków polskich, tak, że po wierzchu była to niby „Jagiellonida“ albo Felińskiego „Barbara“, a wewnątrz „Pan Tadeusz“ lub „Dziady“. Kiedy więc prefekt albo profesor przyszedł ze swoją nieproszoną wizytą i przypadkiem spostrzegł taki egzemplarz, bo i tośmy jeszcze jak najstaranniej chowali, to nie znając tekstu dzieł romantycznych, uwierzył wymownemu młodzikowi, że to jest jakiś klasyk polski i tylko lekko skarcił go za to, że drogi czas traci na czytanie takich książek, z których się nie można niczego nauczyć. Z tego powodu sztuka introligatorska tak się wówczas zagościła była pomiędzy studentami, że niektórzy z nich bardzo ładne pudełka kleili — a studenci samborscy i przemyscy nabyli nawet pewnej sławy w tem rzemiośle, bo robili duże szkatułki z podwójnemi dnami, w których odpisy najbardziej zakazanych poezyi chowano. Jakoż odpisy chodziły gęsto pomiędzy młodzieżą, a druki były rzadkością wielką. Te odpisy robiły po domach prywatnych panienki, a po konwiktach i stancyach studenci. My w naszym dominikańskim konwikcie, który choć nie był utrzymywany przez księży, był urządzony po klasztornemu, kiedyśmy jaką nową książkę dostali, wymykiwaliśmy się w nocy ze wspólnej sypialni do klasy, gdzie nam korepetycye da-

wano, i tam zasiadaliśmy przy świeczce łojowej, jeden dyktował a inni pisali. Tak przepisując, czasem jeden utwór po kilka razy, ci, co mieli lepsze głowy, wyuczali się go na pamięć, skąd poszło, że krótsze utwory, jak ballady Mickiewicza i pieśni Pola i Gosławskiego prawie każdy z nas mógł deklamować z pamięci. Dzisiaj jest także młodzież, zakazanych książek już nie ma, a są profesorowie Polacy: ale Pol należy do starych gratów, jest poetą ciasnego serca, bo śpiewał tylko o „ziemi naszej“ — można się założyć, że na stu akademików, ledwie jeden się znajdzie, co wie, że żył jakiś Gosławski na świecie.

W taki sam sposób szerzył się patryotyzm także i po wsiach: najczynniejszymi jego apostołami były kobiety, ale zapalonych mężczyzn także nie brakło, zwłaszcza z tej generacyi, którzy albo sami w Listopadowem powstaniu służyli, albo też szczerze żałowali, że w niem nie byli czynni, bo wtedy jeszcze broni udźwignąć nie mogli. Propagandę tę prowadzili głównie emigranci, kryjący się w kraju i emisaryusze, przyjeżdżający z Francyi, których było daleko więcej, niżeli ich dziś można wyliczyć, a którzy wszyscy, niektórzy z nich wcale na własną rękę wiązali sprzysiężenia i spiski. O tych spiskach ówczesnych wyszło do dziś dnia już kilka pamiętników i opracowań, z których można o nich powziąć dosyć dokładne wyobrażenie. Znajdują się tam wprawdzie niektóre szczegóły, które mógłbym sprostować, ale tego nie zrobię, bo to, co o nich wtedy i później się dowiedziałem, miałem tylko z drugiej lub trzeciej ręki, a więc byłoby to może także nie całkiem pewne. Jednak powinienem ostrzedz tych, którzy kiedyś zechcą pisać tych spisków historyę, że cały ten

materyał drukowany, pisemny i ustny, jaki zdołają zgromadzić, będzie zawsze bardzo niepewnej wartości, bo rzeczy te, które się działy niejako pod ziemią, a w których wyobraźnia odgrywała rolę niezmiernie ważną, już wówczas wyglądały w rzeczywistości całkiem inaczej, niżeli się to współczesnym zdawało — a dziś, zdaleka, mogą łatwo się stać materyałem do czystych fantasmagoryi. Ze sto spisków, o których mi później z takim zapałem wspominał Goszczyński, gdyby im się można zbliska przypatrzyć, zredukowałyby się bezwątpienia do kilku — a reszta były to tylko schadzki i pogadanki, z których zapewne coś się miało wywiązać, ale w rzeczywistości nic się nie wywiązało.

Chcąc trzeźwo te rzeczy osądzić, nie należy o tem zapominać, że tajemniczość była główną sprężyną i cechą wszystkich robót ówczesnych — a żeby tę tajemniczość zachować, ażeby wiarę obudzić, że coś wielkiego się dzieje, o co tym konspiratorom przedewszystkiem chodziło, trzeba było koniecznie tworzyć odpowiednie temu celowi pozory: to też się ich natworzyło, umyślnie i nieumyślnie, czasem w dobrej, ale czasem także w złej wierze — a potem wszystko to przeszło w tradycyę, a z niej w pamiętniki i w opracowania. Nie chcę tu wcale ubliżać tym ludziom, bo patryotyzmowi i poświęceniu, których obojga im nikt nie odmówi, należy wiele przebaczyć, ale to muszę powiedzieć, że największa część tych rzekomych sprzysiężeń nabrała z ich własnej przyczyny bez porównania więcej znaczenia i wagi, niżeli ich miały w rzeczywistości. Później zaś tym urojeniom dały niejako sankcyę aresztowania i wydawane wyroki, jedne i drugie po prostu po-

tworne, bo niejednego z ówczesnej młodzieży trzymano przez lat kilka w więzieniu za zakazaną książkę lub odpis jakiegoś patryotycznego artykułu, albo za kilka słów, które gdzieś niebacznie powiedział, — co uważano za propagandę, za przewiezienie emisaryusza z dworu do dworu lub przechowanie kilkunastu sztuk broni, co przedstawiano jako przygotowania do rewolucyi — a komu dowiedziono, że parę razy był obecnym przy schadzkach, na których był także jakiś emigrant, tego już obwiniano o należenie do spisku i skazywano nieraz na kilka lub kilkanaście lat kajdan w fortecy.

Niektórym też coś się w ich własnych głowach roiło, co wcale nie istniało w rzeczywistości, a potem sami uwierzyli w te urojenia i opowiadali je jako fakta, których byli świadkami. Pamiętnym twórcą tego rodzaju urojeń był niejaki Roliński, uwięziony za partyzantkę, który takich zeznań na śledztwie porobił tak wiele, że z nich ośmset arkuszy spisano: były tam jak najdokładniej opowiedziane historye rozmaitych tajnych towarzystw i spisków w kraju i na emigracyi, z wymienieniem miejsc, schadzek lub zjazdów i nazwisk osób, które w nich brały udział, a potem się pokazało, że w tem wszystkiem ani jednego słowa prawdy nie było. Owoż takich Rolińskich było także i na wolności bardzo wielu, którzy tylko czcze urojenia roznosili około siebie, jedni świadomie dla propagandy, drudzy dla nadania sobie pewnego znaczenia, a kiedy i oni i ich przyjaciele dostali się do więzienia, to już wtedy wszyscy musieli tworzyć najrozmaitsze pozory, aby siebie oczyścić albo przynajmniej zmniejszyć swą winę.

Z tego powodu, mówiąc o historycznych materyałach do owych czasów, muszę tu dodać, że najmniej wiarygodnym a zarazem najniebezpieczniejszym materyałem są książki na podstawie sądowych lub policyjnych aktów pisane, jak Sachera-Massocha „*Polnische Revolutionen*“ i Barona Sali „*Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846*“. Na nieprzyjaznej tendencyi tych autorów, która z góry ich wiarogodność podaje w podejrzenie, każdy się pozna; ale ponieważ pierwszy z nich był dyrektorem policyi a drugi szefem gabinetu arcyksięcia Ferdynanda d'Este, a obydwa z urzędowych raportów i aktów śledczych czerpali, więc nieprzezorny historyk mógłby być łatwo zdania, że to są źródła, przynajmniej co do faktów, nazwisk i dat, godne uwagi i wiary. A tymczasem obydwie te książki są zbiorem najwierutniejszych kłamstw — i to kłamstw dwojakiego rodzaju, jednych, opartych na fałszywych zeznaniach osób uwięzionych, a drugich wyjętych z raportów obwodowych starostów i sędziów śledczych, którym także chodziło o nadanie sobie pewnego znaczenia a którzy przeto popisali rzeczy takie, że często w nich się zaledwie jakiś cień prawdy znajduje. Że ci autorowie faktom, nam dobrze znanym, ponadawali inne znaczenie i że to wszystko, co się da ująć w cyfry, podnieśli lub obniżyli do niezgodnych z prawdą rozmiarów, to się da jeszcze wytłómaczyć tendencyą: ale że często w sposób po prostu potworny pomięszali role osób działających, a nieraz nawet poprzekręcali lub zgoła fałszywe popodawali nazwiska, to dowodzi niesłychanego niedbalstwa, a zatem idzie, że książki te, zwłaszcza pokoleniom późniejszym, kiedy tradycye tych czasów już całkiem zaginą, nie

będą nawet mogły służyć za wskazówki, gdzie czego szukać, bo są tak pisane, jak jakieś powieści o Chinach z tych czasów, kiedy jeszcze statków parowych i telegrafów nie było.

Mnie tutaj wszakże wcale nie chodzi o historyę owej epoki, która zresztą tylko o tyle byłaby zajmującą, o ileby historyk ówczesnych, tak umysłem, jak charakterem, wcale niezwykłych ludzi malował, bo te spiski ówczesne były do siebie, jak dwie krople wody podobne; mnie chodzi tylko o ducha, jaki wówczas panował. Owóż co do ducha, muszę podnieść przedewszystkiem, bo to jest rzecz bardzo ważna, że wówczas zasady demokratyczne i arystokratyczne, mianowicie tu w kraju, nie dzieliły tak ludzi od siebie i nie tworzyły wcale walczących z sobą prądów odrębnych, jak się to dzisiaj dzieje w Galicyi. Propaganda patryotyczna szła wprawdzie i wówczas dwiema drogami, które z dwóch ognisk odrębnych wychodziły z Paryża: jedna z nich wybiegała z hotelu Lambert i trafiała do najzamożniejszych obywateli i rodzin arystokratycznych, a druga od świeżo co związanego, chociaż jeszcze się wciąż reorganizującego Towarzystwa demokratycznego i trafiała do średniej szlachty, do uczącej się młodzieży, a po części także do mieszczan. Prócz tego byli jeszcze emisaryusze — woluntaryusze — i było ich wielu, którzy nie mieli żadnych listów wierzytelnych od żadnego z ognisk powyższych w Paryżu i z własnego natchnienia, najczęściej o głodzie i chłodzie przekradali się do Galicyi, aby tutaj prowadzić propagandę patryotyczną albo też stąd w tym samym celu przeprawiać się na Wołyń i Litwę, bo zapał patryotyczny był wówczas pomiędzy nami tak wielki,

jak zapał religijny we Francyi, podczas wojen krzyżowych i byli ludzie Chrystusowego serca i idealnej czystości duszy, którzy wiedzieli, że sami Polski nie zbawią a chcieli tylko zginąć za Polskę. Wobec takiego wzniosłego patryotyzmu, który się tak wysoko podnosił nad ziemię a którego przykładów było bardzo wiele, każdy podział na jakieś stronnictwa wydawał się niesłychanie głupią płaskością, a ktoby na seryo o stronnictwach był mówił, byłby sobie zasłużył na powszechną pogardę.

Emisaryusze, wysłani z hotelu Lambert, strzegli się tego i wtedy nie było wcale mowy o Czartoryszczyźnie. Emisaryusze demokratyczni mniej byli ostrożni i usiłowali działać w imieniu zasad polityczno-społecznych, które im były właściwe, ale dyskusye o tem toczyły się tam gdzieś w sferach wyższych, pomiędzy wtajemniczonymi kierownikami tej propagandy — a ogółowi szlachty i uczącej się młodzieży o tych zasadach nic nie mówiono. Potwierdza to także i Wiesiołowski w swojej broszurze „Ustęp z moich wspomnień“, napisanej w roku 1860 z mego natchnienia, na stronie 76. Cała propaganda w celu wywołania partyzantki była prowadzona w imieniu Polski a nie pod sztandarem tych albo owych zasad polityczno-społecznych.

Ta partyzantka z roku 1833, o której dziś także panują bardzo niejasne wyobrażenia, mogła była przybrać całkiem inne rozmiary, bo wówczas wszystko było po temu. Była ona takim samym szałonym pomysłem, jak powstanie z roku 1863, ale wyrozumowanych powodów, o ile przy tego rodzaju przedsiębiorstwach w ogóle o rozumowanych powodach może być mowa, miała daleko więcej. Zdanie

to może się dzisiaj wydawać dowolnem, ale tak nie jest, bo jest ono opartem na faktach. Albowiem wtedy Listopadowe powstanie, które dopiero przed dwoma laty upadło i całą Europę poruszyło za nami, było jeszcze w świeżej pamięci, parlamenty francuski i angielski, jeszcze się wciąż zajmowały sprawą polską, opinia publiczna w Niemczech stała w całości po naszej stronie, cały Zachód europejski był podminowany sprzysiężeniami, celem tych sprzysiężeń było wywalczenie wolności dla ludów, a myśmy byli w ich oczach tej wolności bohaterami; w kraju zaś było podówczas, nie dwa, jak to utrzymują pisarze niemieccy, ale około dwunastu tysięcy emigrantów, było więcej niż drugie tyle krajowej młodzieży, którzy z przeszłorocznej kampanii wrócili, a na emigracyi mieliśmy walecznych i zdolnych sztabsoficerów i generałów daleko więcej, niżeli do prowadzenia takiego powstania było potrzeba. Mieliśmy zatem wyćwiczony żywioł wojskowy wraz z dowódcami i mieliśmy sympatyę rządów i ludów za sobą, zaczem mogliśmy liczyć nietylko na poparcie moralne, ale także na ułatwienia w sprowadzaniu broni a nawet na pomoc pieniężną — czego wszystkiego w roku 1863 nie było.

Ale pomysł ten został wykonany jak można najgorzej. Naprzód postawiono na jego czele pułkownika Zaliwskiego, który nie był człowiekiem takiej miary, ażeby mógł cały kraj porwać za sobą. O Zaliwskim szły wieści, datujące jeszcze z czasów powstania, że był zawsze konspiratorem na własną rękę i intrygantem, a do tego jeszcze i bardzo miernych zdolności wojskowych; nakrywał go, ile mógł, swojem głośnem i sympatycznem imieniem

Wincenty Zyszkiewicz, ale niewiele to pomagało tej sprawie, bo imię szefa nie miało tej siły pociągającej.

Prócz tego Zaliwski i emisaryusze, otaczający go zbliska, popełniali ciągle ten błąd, iż w swoich styczności ach z tą szlachtą, która mogła masy młodzieży pociągnąć za sobą, wysuwali zanadto naprzód swoje zasady demokratyczno-rewolucyjne, które już wtedy były tak stylizowane, że mocno trąciły rewowolucyą socyalną. Stąd poszło, że Zaliwski już w Galicyi środkowej, pomiędzy zamożniejszą szlachtą tylko bardzo słabe znalazł oparcie. W właściwej Galicyi wschodniej, gdzie między szlachtą było dużo awanturniczych żywiołów, wprawdzie mniej ludzi, ale za to daleko więcej pieniędzy i koni, było niemało ochoty do takich podjazdowych wypraw na Moskwę, ale tam jeszcze więcej się chwiano, bo zawsze, kto więcej ma do stracenia, ten więcej się zastanawia, nim postawi na szalę losu swoje zdrowie i mienie. Tu opowiem fakt, który jest trochę śliski do ogłoszenia go drukiem, ale który inaczej zginąłby w niepamięci, a bardzo dobitnie określa, dla czego Galicya wschodnia w partyzantce żadnego nie wzięła udziału.

Zimą roku 1832 pomiędzy młodzieżą szlachecką, przepędzającą karnawał we Lwowie, bardzo mocno agitowano kwestyę tych wypraw i była chwila, w której się zdawało, że Zaliwski z Zyszkiewiczem przeważą i porwą młodzież za sobą; ale że starsi odradzali, więc opinie się między sobą dzieliły. W celu powzięcia nareszcie jakiegoś postanowienia, za przewodem Zyszkiewicza zwołano zjazd do Zboisk, wsi, leżącej pod samym Lwowem, w której był pa-

łac obszerny, mogący pomieścić paręset osób. Szlachta zjechała się tłumnie, było przeszło sto osób — i usposobienie dla partyzantki było nawet bardzo przychylne, bo jak z jednej strony świeżo co przybyłego na gubernatora do Lwowa arcyksięcia Ferdynanda d'Este, pobitego niegdyś przez Polaków, o którym też pieśń spiewano: „Arcyksiąże Ferdynandzie, co to ci się stało, żeś tak uciekł z Warszawy w same Boże Ciało“, miano za człowieka bardzo miękiej energii, tak znowu z drugiej liczono na to na pewno, że jak zaczniemy bić Moskwę w Lubelskiem, które niedawno-co należało do Austryi, to rząd będzie się temu przypatrywał spokojnie i nie zechce przeszkadzać. Wniosek to był logiczny, bo zawsze tak było.

Szlachta zgromadzona w jednej z sal pałacu poobsiadała kanapy i krzesła popod ścianami, inni przed nimi stali i rozmawiali półgłosem, oczekując w poważnym nastroju przybycia Zyszkiewicza, a może i Zaliwskiego. Ale był już jeden emisaryusz: nazwiska jego nie pomnę, ale słyszałem od świadków naocznych, że był to człowiek młody, niskiego wzrostu, z gęstą brodą i mocno kudłaty. Zdaje się, że jeszcze nie znał nikogo, bo stał oparty o fortepian i przypatrywał się błędnymi oczyma zgromadzonym osobom. Nereusz Hoszowski, który ani siedzieć przy próżnym stole, ani szeptać nie lubił, także oparł się o fortepian i przypatrywał się z pod oka emisaryuszowi, chcąc zapewne naprzód odgadnąć, co tam w nim siedzi. To fiksowanie znudziło emisaryusza, zaczem obrócił się do niego i zapytał go *de but en blanc*:

— A pan dobrodziej do którego stronnictwa należy, do arystokracyi czy do demokracyi?

Hoszowski, nietylko zuchwale odważny, ale także całkiem niezwykłej przytomności umysłu, a zarazem zawsze pełen ironii, zrozumiał odrazu całą niedorzeczność pytania tego, spojrzał z uśmiechem na niego i spytał na odwrót:

— A pan?

Zrobiła się cisza, bo rozumiano, że już się dyskusya o partyzantkę zaczyna. Emisaryusz mu odpowiedział:

— Ja jestem adjutantem pana Zaliwskiego i naturalnie jestem demokratą.

Na to Hoszowski spojrzał z góry na niego i powiedział mu w nos:

— A więc panie demokrato...

Poczem wziął za kapelusz i zaraz odjechał, zostawiwszy w sali śmiech homeryczny po sobie.

W chwilę potem Zyszkiewicz, a podobno i Zaliwski przyjechał i narady trwały przez kilka godzin, ale szlachta, wprowadzona przez Hoszowskiego na ślad, że partyzantka ma się organizować, nie w imię Polski, tylko pod komendą jakiegoś demokratycznego stronnictwa, usunęła się od niej i nie wzięła w niej żadnego udziału. Nawet Kutas-Komorowski, któremu ta zamierzona wyprawa w Lubelskie uśmiechała się daleko więcej, niż wszystkim innym, stanął odtąd okoniem przeciwko Zaliwskiemu i wszystkich od niej odmawiał, zalecając cierpliwość i obiecując, że niebawem się to daleko lepiej urządzi. Hoszowski, we dwadzieścia lat później, sam nieraz mi opowiadał tę scenę i zwykle w końcu dodawał:

— Ja w mojem burzliwem życiu tylko tę jedną położyłem zasługę, że-m Galicyę od udziału w partyzantce ochronił, bo może być, że wziąwszy się do-

brze do rzeczy, bylibyśmy trochę Moskali nabili i możeby o nas po parlamentach dużo gadano, ale byłoby to kosztowało dużo krwi i pieniędzy, a bez żadnej dla nas korzyści. Ale nie wiele pracy mnie to kosztowało, bo powiedziałem tylko: *Ein rechtes Wort zur rechten Zeit* i to wystarczyło, ażeby szlachtę przekonać, że ta partyzantka nie była przedsiębiorstwem, ani całej emigracyi, ani nawet całego stronnictwa demokratycznego, tylko pewnej frakcyi tego stronnictwa, na której czele stanął Zaliwski, pociągnąwszy kilku emisaryuszów za sobą i nakrywszy się Zyszkiewiczem.

Historyk nie potrzebuje powtarzać powyższego zdarzenia dosłownie, nie byłoby mu to zresztą wcale do twarzy, ale z niego poweźmie główną przyczynę, dla której partyzantka pozostała płodem poronionym w samym zarodzie, chociaż wtedy było do takiej wojny daleko więcej żywiołów, niżeli w roku 1863. Kiedym w roku 1855 odwiedził Lelewela w Brukseli i mówiłem z nim o tem, czerstwy jeszcze natenczas staruszek powiedział mi o partyzantce swoje zdanie w tych słowach:

— Przedsiębiorstwo to się nie udało dla tego, że wtedy Towarzystwo demokratyczne, jeszcze niezorganizowane, nie mogło mu nadać jednolitej i energicznej dyrekcyi, było to zatem jeszcze zawcześnie: a kiedy, w kilka lat potem Towarzystwo demokratyczne już było dobrze zorganizowane, wówczas znów było zapóźno, bo wtedy nasi wojskowi już się porozlatywali na cztery wiatry, sympatye ludów już dla nas się ochłodziły, a zarazem i czynność rządów się obudziła i stawiała nam wszędzie przeszkody.

Partyzantka skończyła się na kilku nic nieznaczących wyprawach, złożonych tylko z kilkunastu a czasem i kilku ludzi, które też zaraz pobito. Rząd austryacki o tych wyprawach nic naprzód nie wiedział, aresztowania zaczęły się dopiero potem, a mianowicie w kwietniu roku 1833 — a jeszcze i wtedy aresztowano na ślepo, na ladajaką denuncyacyę, albo wskutek odbytej rewizyi, przy której przypadkiem coś znaleziono. Rząd nie znał wcale przywódców i głównych uczestników tego ruchu narodowego. Wincenty Zyszkiewicz za regularnym paszportem wyjechał z kraju, Zaliwskiego schwytano tylko przypadkiem, ludzi bardzo czynnych w tym czasie pozostawiono na wolności, bo o nich nic nie wiedziano, a natomiast poaresztowano wielu takich, którzy z partyzantką nie mieli nic do czynienia. Więzienia u Karmelitów były wtedy i przez trzy lata następne napełnione po same brzegi; siedziało w nich sto kilkadziesiąt osób, z więźniami obchodzono się nielitościwie i nadzwyczajnie surowo, duszono ich w samotności, w kaźniach wilgotnych, z zamkniętemi oknami, żywiono haniebnie, niektórych bito kijami — a oprócz tego po miastach i po wsiach odprawiano rewizye, przy których działy się rzeczy oburzające.

Jednak prześladowania nie przytłumiały wcale rozbudzonego ducha i nie tamowały bynajmniej propagandy patryotycznej, owszem przeciwnie, każda wieść o nowem aresztowaniu albo odbytej rewizyi stawała się jakoby świeżym powiewem wiatru na tlejące zarzewie i wywoływała świeże objawy uczuć patryotycznych. Ani aresztowania, ani nawet mąk żadnych nikt wtedy się nie bał, sprawiały one wtedy wrażenie jak najzupełniej przeciwne. Pomiędzy mło-

dzieżą zaczął się budzić fanatyzm i rzadki to był naówczas młodzieniec, któryby więzienia i męki nie pragnął, bo takie było uczucie powszechne pomiędzy młodzieżą — i to pomiędzy młodzieżą obojej płci, — że trzeba przynajmniej cierpieć za Polskę, jeżeli jej zbawić nie można.

Obok tego uczucia natury czysto ewanielicznej, objawiało się także i oburzenie przeciwko tym Niemcom, którzy stojąc na czele wszechwładnej podówczas biurokracyi, byli właściwymi autorami tych prześladowań. Byli to ojcowie dzisiejszych Krausów, Plenerów, Kalchbergów, którzy w związku z szefami biurokracyi wiedeńskiej, na której czele stał stary książę Metternich, a która obok korony, a często nawet wbrew więcej ludzkim uczuciom panującej familii, rządziła podówczas Austryą, była rzeczywistą potęgą i w której rządowym systemie leżał wyrozumowany cel przedstawiania Galicyi, jako zrewolucyonizowanej prowincyi, którą można utrzymać przy Austryi tylko uciskiem i germanizacyą. Mieli oni licznych pomocników w obwodowych starostwach, prezesach sądów i sędziach śledczych, którym przyznawali władzę prawie dyskrecyonalną, a zarazem w całej armii urzędników administracyjnych. Ale pomiędzy tymi urzędnikami często znajdowali się ludzie, którzy choć także Niemcy i pewnie wierni tronowi, podzielali oburzenie nasze przeciwko tym biurokratom-satrapom i dawali nam tego uczucia dowody, często nawet z narażeniem się na niełaskę u swych przełożonych. Pomnę, że kiedy Konstantego Słotwińskiego, dyrektora Zakładu Ossolińskich, za przedrukowanie w Zakładzie książek zakazanych, skazano na kilkanaście lat fortecy i odczytano mu wyrok na

rusztowaniu, wystawionem przed Karmelitami, nazajutrz nasz gimnazyalny profesor, (żałuję, że nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska), zaczął swoją prelekcyę od tego, iż wywołał jego syna Stanisława przed ławki i w obecności nas wszystkich miał do niego przemowę, w której go zapewniał, że nieszczęście, jakie spotkało jego ojca, nie będzie miało żadnego wpływu, ani na sympatyę, jaką on ma dla syna, ani na przyszłe jego stanowisko, jakie zajmie w swem społeczeństwie. Myśmy tej przemowy na razie nie rozumieli, bo profesor obwijał swoje słowa w bawełnę, dopiero w kilka dni potem, kiedyśmy się dowiedzieli, że on musiał się z tej przemowy usprawiedliwiać przed władzą szkolną, pojęliśmy jej właściwe znaczenie i odtąd mieliśmy dla niego szczery szacunek.

Takich profesorów i urzędników było więcej, tak w stolicy, jak na prowincyi. Jak który Niemiec ożenił się z Polką, to ten już z pewnością przepadł dla rządu, bo żona wzięła go za łeb i musiał tak tańcować, jak ona mu grała. Za pomocą takich Niemców wiele się rzeczy ukryło i niejeden emisaryusz wymknął się w czas przed obławą, a niektórzy z nich nawet sami należeli do spisków. Ale były i matki Niemki, które wychowywały swe dzieci po polsku — i z nich to potem wyszło wielu patryotów polskich z niemieckiemi nazwiskami, którzy lubo nie mieli w swych żyłach ani jednej kropli krwi polskiej, poświęcali z zapałem dla Polski swoje zdrowie i mienie.

Ten idealny patryotyzm, którego znamieniem były ofiara i poswięcenie się, a głównem hasłem trzymanie się z sobą, tak się wówczas rozszerzył

pomiędzy młodzieżą, że nietylko zajmował przedewszystkiem jej umysły i serca, ale ją nawet czasem porywał do demonstracyj — a demonstracye nie były wówczas taką konwencyonalną formalnością, jak dzisiaj, bo trzeba było za nie głowy nadstawiać. Mimo to miano do nich odwagę. Na pogrzebie generała Szeptyckiego, zdaje mi się w roku 1836, młodzież biła się z policyantami, obdarła trumnę, komu się płatek aksamitu albo kawałek galonu nie dostał, ten odłamywał gałązkę z drzew na cmentarzu rosnących, a potem wszyscy wracali do miasta grupami, śpiewając pieśni żałobne. Kiedy się dowiedziano, że Ulatowskiego, który umarł w szpitalu więziennym, rząd kazał pochować w nocy, a jego trumnę zanieśli aresztanci w kajdanach, bez księdza, na cmentarz, pomiędzy szkolną młodzieżą zapanowało takie oburzenie, iż postanowiono jego trumnę odkopać i zanieść w tryumfie do bernardyńskiego kościoła — a tylko starsi, co mieli patryotyczną powagę, powstrzymali wykonanie tego postanowienia. Kiedy na rusztowaniu przed sądem kryminalnym obok karmelickiego więzienia miano czytać wyroki politycznym skazańcom, studenci zawsze dzień naprzód o tem wiedzieli, podczas czytania wyroków ulica i plac Halicki były nabite młodzieżą a klasy stały próżne natenczas, zaś ci studenci, co mimo to poszli do szkoły, nabrali się za to niemało szturchańców. Kiedy dnia 29 listopada roku 1837 rozrzucono w teatrze z galeryi patryotyczne wiersze przeciwko Kriegowi i baronowi Langenau, na którem to przedstawieniu byłem w loży p. Aleksandra Fredry, poczem odbyto bardzo dużo rewizyi, to ten fakt sprawił na młodzież prawie odu-

rzające wrażenie, bo zaraz nazajutrz rozeszły się wieści, że lada dzień rewolucya wybuchnie i pozbędziemy się Niemców na zawsze. Tak lada drobny wypadek naówczas, przechodząc z ust do ust i rosnąc za każdem nowem opowiadaniem, stawał się środkiem agitacyjnym pomiędzy młodzieżą, działając zarówno na jej serce, jak na imaginacyę — a ta okoliczność, że nietylko patryoci, ale także i sfery rządowe otaczały się jak największą tajemniczością, sprawiała to, żeśmy żyli jak gdyby w jakimś świecie zaczarowanym, w którym było daleko więcej widziadeł, niżeli rzeczywistości.

Wszystko to wówczas, gdy uczucia patryotyczne były już rozbudzone, działo się niby samo z siebie: ale byli agitatorowie, którzy prowadzili umyślnie propagandę pomiędzy młodzieżą i tworzyli do tego celu coraz to nowe środki agitacyjne — i były domy, które się stały niejako kuźniami propagandy patryotycznej.

Takich domów było wiele, tak na prowincyi, jak i po miastach a przedewszystkiem we Lwowie. Po takich domach od rana do nocy nie zajmowano się niczem innem, jak tylko zakazanemi książkami, ich ukrywaniem i przepisywaniem, wiadomościami o emigrantach i odbywanych rewizyach, o aresztowaniach i śledztwach i utrzymywaniem stosunków pomiędzy więźniami a ich krewnymi, pozostającymi na świecie — i robiono to z takim zapałem i poświęceniem, jak gdyby na tem wyłącznie polegał cały cel życia człowieka, a wszystko inne było tylko czczą bladością i już samo zaniedbywanie tych obowiązków karygodnym występkiem. Nie mogąc nigdy sam wychodzić do miasta, o tych patryotycznych domach tylko

od drugich słyszałem, ale jeden z nich przecież sam z bliska poznałem i jeszcze dzisiaj dosyć dobrze pamiętam.

Był to dom niejakiej pani R., damy już w wieku podeszłej, ale pełnej staroświeckiej powagi, form bardzo wykwintnych w obejściu i bardzo szlachetnych rysów twarzy, na której jeszcze było widać ślady dawnej piękności. Nie wymieniam jej całego nazwiska, bo może jeszcze gdzie żyją jej wnuki i są lojalnymi „austryakami, mówiącymi po polsku“, zaczemby im było nie zupełnie przyjemnem, dowiedzieć się, jak nielojalne rzeczy się działy w domu ich babki. Dama ta miała swój własny pałacyk pod górą Wronowskiego, stojący tak odludnie, że na kilkaset kroków dokoła nie było żadnego mieszkalnego domostwa, a pałacyk sam, do którego się dochodziło przez długą aleję, a potem przez bramę murowaną i dość zapuszczoną, tonął w ogrodach, ale także tak zapuszczonych, że wyglądały jak lasek. Czy to był dawny pałac samegoż Wronowskiego, po nim nabyty, czy inny, tegom nigdy nie wiedział na pewno, pomnę tylko, że naprzeciw niego, na tym samym dziedzińcu, stał drugi taki pałacyk, wtedy już prawie w ruinie, bo na jego murach obok zapadniętego dachu, rosły gęste krzewiny i okna były pozaklejane papierem, w tej ruinie zaś mieszkał jakiś starzec z długą białą brodą i w długiej kapocie, do proroka ze starego testamentu podobny. Jak wówczas wszystko, co się podawało ku temu, otaczano pewnym urokiem, tak i o tym starcu opowiadano, że za młodu był klerykiem, a potem sekretarzem czy sługą księdza Hugona Kołłątaja i był czynnym przy ówczesnem wieszaniu w Warszawie, następnie siedział z nim w Ołо-

muńcu w więzieniu i później już go nie odstąpił do śmierci, po roku zaś 1812 dostał się do Wronowskich na rezydenta. Słyszałem sam tego starca, opowiadającego te rzeczy; siadywał latem na kłodzie wywróconego drzewa obok swojej ruiny i opowiadał wymownie i płynnie, ale z jego opowiadań pozostało mi w pamięci tylko ogólne wrażenie z tych czasów i wyraźniejsze cokolwiek rysy niektórych figur, a mianowicie Kossakowskiego, Ankwicza, księcia prymasa, króla, tak jak on je pojmował.

Pałacyk zamieszkany przez ową damę, był obszerny i mimo otaczających go ruin i leśnych zapustów, dobrze utrzymany. Na dole były kuchnie, spiżarnie, pralnie i mieszkania dla sług, do których z tyłu były przymurowane wozownie i stajnie. Na pierwszem piątrze były pokoje mieszkalne; a między niemi salon bardzo obszerny i umeblowany po staroświecku, ale bardzo dostatnio. Zaś na drugiem piętrze, już podobno pod dachem, było dużo małych pokoików, utrzymywanych ubogo, ale dość przyzwoicie, niby dla gości.

Dama ta była wdową po majorze czy pułkowniku z wojsk napoleońskich, którego kapelusz, mundur i szpadę, przechowywano jako pamiątkę i pokazywano ciekawym. Miała z tego męża cztery córki, z których najstarsza bardzo okazała blondynka, była już wówczas panną cokolwiek przekwitłą, inne już także dorosłe, lecz wszystkie pod względem nauki wychowane bardzo starannie. Był to dom trochę dziwnego kroju: od godziny drugiej do czwartej lub piątej stało zazwyczaj w dziedzińcu po kilka galonowych powozów, bywali tam zatem ludzie z wyższego towarzystwa, z których pamiętam Wo-

ronieckich, Łosiów, Romanowskich i jakiegoś austryackiego generała, który się nazywał Warenetzky, ale się do Woronieckich przypytał, — wszakże wieczorami już tam całkiem inne towarzystwo bywało, sami literaci, emigranci, emisaryusze i najrozmaitszego rodzaju spiskowcy. Zaś w tych małych pokoikach na drugiem piątrze zawsze po kilku emigrantów mieszkało, tam były składy zakazanych książek i tam panny z kawalerami patryotyczne wiersze przepisywały, które potem przez młodzież szkolną roznoszono po mieście. Jaka tylko nowa książka wyszła na emigracyi, tam można ją było znaleźć z pewnością — a ktokolwiek jakiś wiersz patryotyczny napisał, to przedewszystkiem tam go zanosił, gdzie go zaraz czytano, deklamowano a czasem przy fortepianie spiewano.

Mój ojciec zaprowadził mnie także do tego domu, ale kiedyśmy wyszli i byliśmy już na ulicy, powiedział do mnie te słowa: — Musiałem cię tu zaprowadzić, bo to nasi krewni, byliby się na mnie pogniewali, gdybym był tego nie zrobił — a to nie żarty mieć pięć bab przeciwko sobie: ale ty nie potrzebujesz tu bywać, bo to nie dla studenta kompania, zresztą i twoja babka bardzo by się na to chmurzyła.

Były tam tedy jakieś familijne nieporozumienia z dawniejszych czasów, o co nie było trudno, bo moja babka miała swoje zdania o ludziach i stała przy nich, jak mąż wykuty z żelaza. Jakoż ja byłbym się trzymał ojcowskiej instrukcyi, ale Różycki się kochał w jednej z panienek i zawsze mnie tam wodził ze sobą, zapewne dlatego, ażeby w razie jakich rewizyi

i inkwizycyi mógł mną usprawiedliwić swoje stosunki z tym domem.

W tym tedy domu widywałem prawie wszystkie znakomitości owoczesnego świata literackiego i konspiracyjnego. Z nich stoją mi jeszcze do dziś dnia w pamięci: Józef Dunin-Borkowski, poeta i tłómacz poezyi greckich, główny przewodnik ówczesnej literatury, niezmiernie popularny, brunet o bladej twarzy, z brodą i długiemi włosami — Dominik Magnuszewski, mały, blondyn, kaszlący i słabowity — kolosalnego wzrostu August Bielowski i ułańskiej zamaszystości Maurycy Gosławski, August Wysocki, najpopularniejszy z adwokatów ówczesnych i powszechnie wielbiony mecenas literatury, Nereusz Hoszowski, który pomimo swojej opozycyi przeciwko partyzantce do wszystkich ówczesnych robót patryotycznych należał, Kutas Komorowski, nieunikniony wszędzie, gdzie się coś knuło, Kazimierz Dzieduszycki, bardzo młody naówczas, ale już żołnierz z listopadowego powstania i gorący protektor wszystkiego, co mu się zdawało dobrem i pożytecznem, Marcin Zamoyski w kontuszu, Ryszard, Hermann, obydwa Chrząstowscy, krewni tego domu — emisaryusze Goszczyński, Henryk Dmochowski, Leon Zaleski i Napoleon Nowicki — a wreszcie Kasper Cięglewicz, wysoki brunet, z ogolonemi wąsami i przyciętemi faworytami, nadzwyczajnie wówczas podobny do cesarza Franciszka I., którego wielki portret olejny wisiał nad kanapą w salonie.

Bywał tam także i Pol — i pomnę to dobrze, że go na tych zebraniach uważano i traktowano jako człowieka wyższego od wszystkich. Kiedy wszedł, robiła się cisza, każdy chciał słyszeć, co powie, a każde jego słowo brzmiało jakgdyby wyrocznia.

I ci i owi brali go na stronę i rozmawiali z nim półgłosem — a potem rozchodziła się wieść po salonie, że to lub owo się stało lub stanie się niebawem. Od niego rozchodziły się rozmaite wskazówki i hasła. Kiedy dziś czytam w jego biografiach, że go wysełano do zabranych krajów, ażeby przed partyzantką ostrzegał, to nie mogę temu na żaden sposób wierzyć: bo najpierw Pol jeździł na Wołyń, na Podole i na Ukrainę już po partyzantce — a potem, żył wtedy w jaknajbliższych stosunkach ze wszystkimi apostołami patryotyzmu, który to patryotyzm, jak to już wyżej wspomniałem, wtedy jeszcze nie miał cechy wyłącznie demokratycznej. Agitacya demokratyczna stanęła przeciwko Polowi i on się przeciw niej burzył dopiero o wiele później, jak to opowiem poniżej: wówczas był on z tą propagandą w najlepszej zgodzie a nawet bardzo często jej służył za sztandar. Na tych wieczorach czasem coś deklamował, zazwyczaj ustępy z „Pieśni o ziemi naszej“ albo z „Obrazów z życia i podróży“, wówczas jeszcze nie drukowanych — a wtedy zachwycano się i panował nastrój bardzo poważny, ale często także opowiadano rzeczy zabawne, a Hoszowski i Komorowski rozweselali swoimi dowcipami zebranie. Nieraz i Pol coś dowcipnego powiedział, bo wówczas zwykle był pełen humoru, a potem te dowcipy zachowywano w pamięci.

Na tych zebraniach bywały także kobiety, gorące patryotki, sfanatyzowane ideą męczeństwa, chociaż niektóre z nich mówiły językiem prowincyonalnym, z bardzo mocnym rusińskim akcentem. Jednego wieczora Pol rozmawiał przy kanapie z temi damami, był wtedy nastrojony bardzo smutno, była jakaś nie-

pomyślna wiadomość. Coś się tam nie po szwie rozpruło, Pol narzekał na ten świat tegoczesny i powiedział, że w tem położeniu życie się przykrzy i śmierć byłaby lepsza.

Na to jakaś zacna Rusinka rzekła do niego:

— Jakto? Pan taki młody i jużby pan chciał umarnąć?

— Miałbym umarnąć — odpowiedział jej Pol, — To już wolałbym umrznąć, przynajmniej byłoby krócej.

Wszyscy się śmiali — a potem już nie mówiono o tych jakichś smutkach przemijających, bo wtedy jeszcze pesymizmu nie znano i lada wesołe słowo wystarczało, ażeby zachmurzone umysły rozjaśnić.

Później ten dom zniknął mi zupełnie z oczu, słyszałem tylko, że owa dama umarła, majątek się rozszedł, panny powychodziły za mąż, ale podobno nie tak, jakby sobie tego była życzyła matka. Na górze Wronowskiego wzniosła się cytadela, a z tego pałacyku zapewne ani ślad nie pozostał. Obrazy te minęły jak sen, jeszcze się tylko cienie odbijają jak „Fata-morgana“ w pamięci starców, ale dzisiejsze pokolenie nawet i od tych cieniów odwraca oczy, jak gdyby się sromały tych czasów i ludzi....

V.

Z końcem szkolnego roku 1838, mój ojciec przyszedł do przekonania, że to wychowanie we Lwowie miało pewne niedogodności. Studenci zdawali wprawdzie bardzo dobrze egzamina, bo zresztą i nie wiele od nich wymagano, ale zanadto się zajmowali propagandą patryotyczną, więzieniami, śledztwami i konspiracyami. Wpływ tej propagandy na młodzież miał swoją dobrą stronę, bo zniewalał ją do pilnowania nauk i moralnego prowadzenia się, ale obok tego zaszczepiał w nią opozycyę przeciwko władzom szkolnym dlatego, że były niemieckie, w dalszej konsekwencyi opozycye przeciwko każdej władzy, a w końcu rozbudzał w niej fanatyczne pragnienie takiej lepszej przyszłości, które mogło się ziścić tylko za pomocą zbrojnego powstania, skąd wynikała pogarda dla każdej takiej pracy, która miała na celu tylko stopniową poprawę teraźniejszości. I to było dobrze, żeśmy się z zapałem uczyli polskiego języka i literatury, ale ta ostatnia nauka była także jednostronną, bośmy czytywali tylko utwory romantyczne, a przeto mniej więcej rewolucyjne, zaś lekcye naszej literatury dawniejszej nie miały dla nas żadnego powabu, bo wedle pojęć rozszerzanych pomiędzy nami przez propagatorów, były to stare graty, które jako nieodpowiednie duchowi czasu nie miały żadnej wartości.

Ojciec mój, chcąc tej jednostronności zaradzić, usiłował mnie czem innem zatrudnić — i tak, będąc w trzeciej klasie gimnazyalnej, brałem z Władysławem Drohojowskim i Ignacym Cywińskim lekcye języka angielskiego, a z braćmi Pinińskimi języka włoskiego, coś tam z tego zostało, chociaż trzeba to było późniejszemi czasy dopełniać: ale obok tych wszystkich lekcyi głowy nasze przecież przedewszystkiem były zajęte odbywanemi rewizyami, aresztowaniami i opowiadanemi szeptem wieściami o tem, co się działo na śledztwach.

Mój ojciec, widząc że we Lwowie nie masz na to ratunku, na rok następny przeniósł mnie do Przemyśla. Rzekomym powodem tego przeniesienia była ta okoliczność, że tam na parę lat przedtem zamieszkali Wolscy, Duninowie herbu Łabędź, nasi krewni, którzy wyprzedawszy swe wioski nad Sanem, czy nad Wisłoką i zakupiwszy dwa domy w Przemyślu, tam osiedli, a nie mając własnych dzieci, chcieli mnie mieć koniecznie u siebie. Było mi także stamtąd bliżej do domu. W istocie rzeczy, ojcu chodziło o to, ażeby mnie usunąć z pod wpływów tej propagandy konspiracyjnej i dlatego przeniósł mnie do Przemyśla, ale właśnie tak się zdarzyło, że tam wpadłem z deszczu pod rynnę.

Ta rodzina Wolskich składała się z dwóch córek i ich bardzo starego ojca, albo dziada. Starsza z tych córek, już nie pierwszej młodości, poszła była za niejakiego Wagnera, ale był to taki Wagner, co nawet nie umiał rozmówić się po niemiecku i nieraz mi mawiał: Ci Niemcy mają jakąś taką mowę, że sam dyabeł jej nie rozumie, tere-fere, szweinbruder, nie wiedzieć co; kiedy muszę ich słuchać, to tak uszy

szczurzę, że mi wyłażą ze łba, a nigdy się nie mogę połapać, czego właściwie chcą.

Ten Wagner był to szlachcic polski, herbu Lew, miał familijne papiery, sięgające do XVI. wieku, w których wciąż grzebał, był spokrewniony z Łaszowskimi i Zarembami, do których wciąż jeździł i ich u siebie przyjmował, był patryotą a nawet sam służył w wojsku francusko-polskiem i dopiero z pod Lipska powrócił. Kiedym się spostrzegł, że jakoś nietęgą ma głowę i swoje wyprawy wojenne opowiada bez ładu i składu i raz powiedziałem to ojcu, to ojciec mi odpowiedział: Bo on służył przy furgonach i od Moskwy do Lipska był w wielkich opałach, a pod Lipskiem go znowu rozbito, więc on jeszcze i teraz jest w rejteradzie i szuka ciągle swoich furgonów, a nie może ich znaleźć.

Wszakże stary Wolski jeszcze w większej był rejteradzie. Był on tak stary, że całą szyję miał porośniętą jakoby mchem białym a nawet i uszy miał kosmate; w migdałowym, mocno szamerowanym żupanie i w białej czapce rogatej, w butach czerwonych i z trzciną o gałce złoconej, rano i popołudniu chodził wciąż po kościołach i po klasztorach i wiedział wszystko dokładnie, co się tam działo — a wieczorami opowiadał jakieś wspomnienia ze swego życia, które wszakże żadnego związku nie miały. Kiedym go raz zapytał: ile lat sobie liczy, to machnął na to ręką i odpowiedział mi: A któż to może dziś wiedzieć? Moja metryka już dawno zbutwiała. Ale ja mam już pewnie ze trzysta lat, bo przecież byłem na wyprawie pod Wiedniem.

Musiałem rękę przyłożyć do ust, aby się w głos nie roześmiać — a kiedym mu zrobił uwagę,

że gdyby tylko miał dwieście lat, to takżeby był mógł być pod Wiedniem, to on mi mówił: Ale bo ja już przedtem tam byłem, a byłem i potem, bo przecieżeśmy pod Austerlitz tak Niemców wybili, że i swoich pludrów nie mogli pozbierać. Zgoła w tym starcu już świadomości siebie samego nie było — a ja już wtedy zadawałem sobie pytanie: Gdzie się jego dusza podziała i z czem on się pokaże na zmartwychwstaniu? Jakoż powiedziałem raz ojcu: Jak Wagner i Wolski swojego czasu przyjdą do nieba, a św. Piotr ich się zapyta, skąd przychodzą i czem się bawili za życia, to oni jemu takich głupstw nagadają, że pewnie ich za drzwi wyrzuci, a może jeszcze im się i po łbach oberwie kluczami. Ojciec się śmiał i powiedział mi na to: Św. Piotr ma swoje rejestra i niepotrzebuje się pytać nikogo, co robił, ale widujesz tutaj tylu gwardyanów i prowincyałów, spytaj się o to, a oni ci wytłumaczą, jak to tam będzie.

Jakoż tak było w istocie. Obydwie kobiety były bardzo ukształcone, były u nich książki i nuty a nawet dzienniki i naturalnie wszystkie pisma zakazane, ale ponieważ i Wagner i Wolski mieli po kilku przodków w jezuickiem zakonie i chowały się u nich religijne tradycye, więc w ich domu dużo zakonników bywało i napatrzyłem się tam niemało bernardynów i kapucynów, reformatów i franciszkanów, którzy mnie nieraz brali na egzamin i kazali mi z sobą mówić po łacinie. Wszyscy zdolniejsi studenci mówili wówczas po łacinie, naturalnie łaciną kuchenną, ale niektórzy z nich nauczyli się dobrze tego języka — a ja w roku następnym napisałem *ex propria deligentia* łacińską rozprawę o Cyceronie,

która sobie zasłużyła na wyjątkową pochwałę mego profesora Janowskiego i prefekta Merwartha i którą w klasie głośno czytano, co mi się też niebawem potem bardzo przydało, bo przyczyniło się do uwolnienia mnie od więzienia.

Przemyśl, jedno z najstarożytniejszych miast Rusi czerwonej, wyglądało podówczas, nie można powiedzieć, jak Wilno, ale przynajmniej jak Krzemieniec, bo obok dwóch katedr biskupich i wielu klasztorów, szkoły w niem górowały nad wszystkiem. Było tam liceum z fakultetem teologicznym i były dwa seminarya, a przeto całe miasto było studentami nabite. Wiele rodzin szlacheckich tam mieszkało dla wychowania dzieci i były domy profesorów i mieszczan, które czasem po kilkunastu studentów trzymały na stancyi. W godzinach wolnych od klas był na ulicach wielki ruch, ale spotykało się tylko księży, zakonników i uczącą się młodzież. Młodzież dawała ton miastu i tworzyła pewnego ducha, do którego się wszyscy stosowali. Duch ten był gorąco patryotyczny i mocno opozycyjny i widać go było nawet po rozmaitych objawach zewnętrznych. Tak studenci co wiosny wymyślali sobie jakieś kaszkieciki nowego kroju, które wszyscy nosili: w roku w roku 1840 te kaszkieciki były tak skrojone, że denko było czworograniaste, a kaszkiecik niby do ułańskiego czaka podobny, ale ponieważ władze szkolne nie byłyby nam pozwoliły nosić czapek czworograniastych, więc denko było tak zrobione, że jedna jego połowa na dół opadała i było widać tylko dwa rożki, dopiero kiedy student się znalazł za miastem, zdejmował kaszkiet, machnął nim w powietrzu, a wtedy robił się z niego kaszkiecik ułański.

Po tymże roku zaprowadzili studenci modę czamarek z szarego żaglowego płótna robionych, które nazywano kitlami i które wszyscy nosili, tak, że byli jak gdyby umundurowani. Takie kitle nosili również przyjaciele studentów w mieście i po wsiach sąsiednich, i uważano to niby za oznakę patryotyzmu. Wagner mnie zaraz tak umundurował i sam także ubrał się w kitlę, bo uważał za rzecz stosowną rozszerzać ducha patryotycznego własnym przykładem, a takie umundurowanie młodzieży bardzo mu się podobało, ale ruszył przytem swoim własnym konceptem, z czego wyniknęła mała dekonfitura. Jako dawny wojskowy a jeszcze do tego służący przy intendanturze, a przeto znający się na mundurach, zauważał, że takie szare kitle szarem płótnem podbite są zanadto jednostajne i nie robią żadnego efektu a oprócz tego, gdzie są mundury, tam powinny być rangi, tutaj rang nie ma, ale jest szlachta, której się jakaś ranga, a przeto jakaś dystynkcya należy, zaczem i moją i swoją kitlę kazał podbić karmazynową podszewką. Kiedym się w takiej kitli w szkole pokazał, zrazu studenci tem się bawili i byli tacy, którzy od swych opiekunów zażądali także karmazynowych podszewek, ale niebawem inni zauważali, że to jest arystokracya, i zaczęli mnie za to tak prześladować, że musiałem kazać wypruć karmazynową podszewkę i zastąpić ją szarą. A ponieważ ta myśl wyszła od Wagnera i on swoją kitlę wciąż nosił, więc studenci zaczęli i jego nagabywać przez okna, a w końcu napisali do niego list bezimienny, w którym mu zagrozili, że jeżeli swojej karmazynowej podszewki nie wypruje, to oni jemu szyby wybiją. Wagner wypruł swoją podszewkę, ale za-

miast się oburzyć na to, znalazł, że jest duch w tej młodzieży, z któregoby można coś zrobić, tylkoby go trzeba wziąć w karby, bo bez subordynacyi nie można żadnej porządnej akcyi rozpocząć. Zaczem począł nosić się z myślą zorganizowania szkolnej młodzieży w kompanie i bataliony i gdyby nauczyła się musztry i subordynacyi, to potem możnaby nią wybić Niemców z pomiędzy siebie, których i tak jest niewiele. Pomnę, że raz tę myśl wykładał w salonie swej żony w obecności reformatów i kapucynów, ale jego żona, kobieta wyniosła, rozumna i bardzo przystojna, która go też trzymała w ryzach, chociaż go nigdy nie brała na seryo, tym razem sfukała go za to, mówiąc: — Obaczycie państwo, że my któregoś rana się zbudzimy i dowiemy się, że Wagnera Niemcy w nocy porwali i wywieźli na Szpilberg, czego mu się nawet podobno bardzo zachciewa, bo on i tak nieraz wstaje przed świtem i idzie patrzeć, jak naszych skazanych więźniów tędy przewożą do fortec.

I to była prawda, bo Wagner, który mieszkał ze mną i z moim nauczycielem, późniejszym księdzem Liskowackim, w domku mniejszym, oddzielonym stajniami i ogrodami od większego i okazalszego, w którym mieszkała jego rodzina, nieraz mnie budził przed świtem i brał mnie z sobą — a wtedy szliśmy do mostu krytego na Sanie, gdzieśmy już zastawali innych studentów i gdzie ukryci za filarami, kiedy wieziono skazanych więźniów pomiędzy bagnetami na wozach otwartych, wołaliśmy do nich: „Jeszcze Polska nie zginęła! nie bójcie się! my z wami!“ — Były to sceny z „Dziadów“, które i tutaj się powtarzały, a myśmy ich świadkami i współ-

czynnikami. Pomiędzy studentami było wówczas spisków bez liku, jeżeli to można nazwać spiskami. Były to bowiem tylko kółka młodzieży, które się z sobą trzymały w celu czytania zakazanych książek, przyczem także i patryotyczne pieśni śpiewano. Tych książek, najczęściej przepisywanych, mieliśmy dosyć, ale czytaliśmy także i inne i pomnę, że wtedy „Przyjaciel ludu“, „Poeta i świat“ Kraszewskiego, „Die Ruinen“ Volneya i romanse Tszschockego, były pomiędzy nami bardzo rozpowszechnione. Lecz były także i spiski, do których należeli starsi studenci i żołnierze z pułku Mazzuchelli, stojącego załogą w Przemyślu. Jako nie należący do nich, nie umiem nic dokładniejszego o nich powiedzieć, ale pamiętam dobrze dzień 18 grudnia roku 1839, kiedy student Justyn Begejowicz wykonał skrytobójczy zamach na komisarza policyi Gutha, którego wtedy z Krakowa przeniesiono do Przemyśla.

Begejowicz był ze mną w jednej klasie. Był on o parę lat starszy od nas, zaczem słuszniejszy od wszystkich, silnie zbudowany, ciemny blondyn o twarzy rumianej i świeżej, zawsze poważny i w obyczajach surowy, chodził w brunatnym kubraku z chłopskiego sukna uszytym, jaki i inni studenci w zimie zamiast kitli nosili, nie był lubionym pomiędzy nami, bo był zanadto surowym, ale go pewien urok otaczał, bo szła wieść o nim, że należy do spisków. Postanowiono gdzieś w górze, że Gutha zamordować należy, wybrano trzech kandydatów do tego, pociągnięto losy, Begejowicz wyciągnął los i zamach wykonał. Był także w tej samej klasie Jan Zacharyasiewicz, dziś głośny powieściopisarz i ozdoba naszej literatury, a mój serdeczny przyjaciel od

ławy szkolnej do dnia dzisiejszego, niebawem potem także uwięziony i na fortecę skazany, ale on wtedy losu nie ciągnął, jak to Henryk Bogdański czynił i obok wielu innych niedokładności w swoim Pamiętniku nieopatrznie napisał. Zacharyasiewicz miał wtedy lat piętnaście, był szczupły, i nie bardzo silny na zdrowiu i tak samo jak ja, o tym zamierzonym zamachu wcale nie wiedział.

Jakkolwiek Begejowicz tylko z lekka dziubnął Gutha niewielkim nożem i Niemiec tylko się mocno przestraszył, a zresztą nic mu się nie stało, wypadek ten zrobił w mieście ogromne wrażenie, o co zresztą sami Niemcy się postarali, bo poszedł po nich strach tak wielki, że wieczorami nawet nie śmieli się pokazywać na ulicach. Zaś okoliczność ta, że Begejowicz się wymknął tak zręcznie z tej kamienicy, w której zamach wykonał, że najmniejszego śladu nie zostawił po sobie i Niemcy nie mieli nawet najciemniejszego poczucia, kogo mają o ten zamach obwiniać, nadała temu wypadkowi ową przerażającą grozę, która z tajemniczości się rodzi, imaginacyę rozpala i maluje w umysłach zazwyczaj nawet takie widziadła, które w rzeczywistości wcale nie istnieją. Toż wówczas, kiedy z jednej strony duch ogromnie się podniósł w młodzieży i ich przyjaciołach i mówiono sobie z cicha, że lada dzień wybuchnie zbrojne powstanie, Niemcom zaczęły się trząść wnętrzności ze strachu, bo także przewidywali, że się na jakąś rewolucyę zanosi, która zaczyna wojować krótkimi nożami, co bardzo jest nieprzyjemnem.

Niemcy coś przewidywali, ale nic nie wiedzieli — i tymi środkami, jakimi rozporządzali, byliby

sie nigdy niczego nie dowiedzieli, bo ci starsi, którzy należeli do spisków, byli to ludzie pewnie do najwyższego stopnia sfanatyzowani i na wszystkie męki gotowi, a nieletnia młodzież była tylko pełną tego patryotyzmu, który ówczesna propaganda w nią zaszczepiła, ale o właściwych spiskach nic nie wiedziała. Wszelako Niemcom przyszedł w pomoc przypadek. Któryś z wtajemniczonych, cywilny albo wojskowy, bo tego się nigdy potem nie dowiedziano, czy to ze strachu przed karą, czy też z wyrozumowanej obawy, aby kraj cały nie popadł w nieszczęście, któreby z nierozmyślnego wybuchu było musiało wyniknąć, wykrył wszystko, co wiedział, ówczesnemu staroście Czeczowi — a wtedy jednego dnia, nagle i niespodziewanie, zaczęły się tłumne aresztowania, tak między wojskowymi, jak między szkolną młodzieżą.

Pamiętam dobrze tę chwilę, bo był to prawdziwy dzień sądny, który zresztą trwał cały tydzień, gdzie nikt nawet nie śmiał pokazać się na ulicy, bo przez wszystkie ulice przeciągały tylko wojskowe patrole z najeżonymi bagnetami, a między niemi w środku jakiś student lub inny człowiek cywilny często ze związanemi sznurem rękami. W wielu domach nie jedzono przez te dnie wcale a to nietylko z przerażenia, ale także dlatego, że służący się bali wychodzić na miasto dla zakupna wiktuałów. Przez kilka nocy nikt w całem mieście oka nie zmrużył, modlono się i jęczano, kobiety się zanosiły od płaczu i mdlały, inne obłegały drzwi starosty, komisarzy i inkwizytorów, których rząd przysłał ze Lwowa, ażeby uwięzionych swych krewnych wyprosić albo przynajmniej widzieć się z nimi, bo roznosiły

się wieści po mieście, że ich biją i męczą, a niektórych z nich już wcale pozabijano. Zgoła płacz, jęk i lament i niewysłowiona rozpacz po całem mieście, bo prawie nie było polskiego domu, z któregoby kogoś nie porwano i nie powleczono do więzień.

Naaresztowano wówczas tak wiele ludzi, iż nie miano ich gdzie pomieścić, bo w Przemyślu kryminału nie było. Aresztowanych wojskowych przykuwano łańcuchami do ich łóżek w koszarach, cywilnych pakowano do policyjnego aresztu, studentów do klas, które opróżniono do tego celu, a oprócz tego murowano na prędce w dziedzińcu jakiegoś klasztoru, wdłuż otaczającego go muru, małe kazienki, co najwięcej na jeden sążeń długie i szerokie. Nieraz aresztowano kogoś za jakieś słowo, powiedziane niebacznie. Pomnę, że jednego wieczora, o samym zmroku, kiedy murarze już skończyli swoją dzienną robotę, poszło nas kilku do tego klasztoru, który leżał na samym wstępie lwowskiego traktu, ażeby te kazienki obaczyć — a że nam się zdawało, że tam nie masz nikogo, wleźliśmy w ten dziedziniec i opatrywaliśmy zbliska te mury. Był z nami o kilka lat starszy odemnie H. Nowakowski, ten wścibił głowę do takiej kazienki, a widząc błoto na podłodze i mury świeże ciekące wilgocią, zawołał głośno: „Niechże ich dyabli wezmą, a ktoby im w takich chlewach wysiedział“... Ledwie tych słów domówił, jakiś policyant wyskoczył z za muru i cap go za kołnierz, poczem zaraz go obskoczyli żołnierze i zaprowadzili do kozy. Nowakowskiego wtedy wypuszczono nazajutrz, dopiero później znowu go uwięziono, poczem jako należący do spisków kilka lat się w więzieniu przesiedział.

Po wyjściu z więzienia zajął pewne stanowisko w dziennikarstwie i w literaturze, w roku 1861 wziąłem go na gospodarza do administracyi dziennika *Głos*, a po powstaniu poszedł na emigracyę i przez Konstantynopol przyjechał do Paryża. Zastawszy mnie w Paryżu, a nie mogąc zrazu znaleść pomieszczenia, mieszkał u mnie na rue Chaptal przez jakie pół roku, a że wtedy emigracya zrobiła sobie z tego mego mieszkania, jakoby koszary, nieraz w popołudniowych godzinach nią były nabite wszystkie pokoje i przypominano sobie najrozmaitsze historye z przeszłości, więc i Nowakowski rad opowiadał to swoje uwięzienie, przyczem nas zawsze zapewniał, że chociaż później przechodził z Niemcami bardzo twarde koleje losu, przecież nigdy się tak nie przestraszył jak wtedy, bo kiedy go ów policyant zacapił za kołnierz i zaraz żołnierzami otoczył, to mu się zdawało, że się ziemia pod nim zapadla i że zaraz go będą wieszać na tym samym dziedzińcu.

Ponieważ dostatecznych więzień nie było, więc takim studentom, na których były podejrzenia, ale dowodów nie było, albo dawano *Hausarest*, albo też zażądano od ich opiekunów, ażeby dali za nich zaręczenie, że nie uciekną. Ten ostatni wypadek także i mnie spotkał. Wszyscy wówczas głowy potracili, ale ja miałem tyle przytomności umysłu, żem pchnął z tą wiadomością umyślnego posłańca do ojca — a pomógł mi do tego ten sam Tadeusz Strzelecki, o którym już wspomniałem powyżej, a który się właśnie znalazł w Przemyślu.

Mój ojciec, u którego byłem okiem w głowie, natychmiast rozstawionemi końmi przyjechał — a chociaż go zapewniłem, żem nie należał do żadnego

spisku, postanowił mnie wydobyć z tego warunkowego aresztu i zabrać z sobą do domu. W tym celu zaprowadził mnie sam do starosty. Kawaler Czecz v. Lindenwald była to figura, bo ci starostowie ówcześni byli to prawdziwi satrapowie, a nawet ich nazywano baszami, mieli zaś władzę prawie dyskrecyonalną, a Czecz nawet jeszcze pomiędzy nimi zajmował stanowisko bardzo wybitne, ale mój ojciec znał go od lat przeszło dwudziestu, kiedy Czecz był jeszcze „conzepts-praktykantem“ albo komisarzem, żył z nim w dobrych stosunkach a nawet, jak mi się zdaje, mówili sobie: ty bo Czecz był człowiekiem dobrego wychowania i rad żył ze szlachtą. Przyjął nas zatem w swoim prywatnym salonie, bardzo uprzejmie i bez uprzedzenia.

Nie był to zresztą człowiek zły, z własnej inicyatywy nie prześladował nikogo, wypełniał tylko sumiennie swój urząd; komu mógł pomódz, to pomógł chętnie, tylko nosił się górnie. Jakbym go jeszcze dziś widział: trochę więcej niżeli średniego wzrostu, brunet, otyły, o twarzy cokolwiek pełnej, tego dnia we fraku i białej chustce na szyi, wyszedł do nas z krótką fajką z wielkim bursztynem, siadł z nami na kanapie i z ojcem długo i bardzo wesoło rozmawiał. Ale co do uwolnienia mnie prosił o parę dni czasu, bo wtedy jak mówił, sprawy te były już w rękach komisyi śledczej, a ta komisya była niezawisłą od niego. Sędzia śledczy, który stał na czele tej komisyi, a którego nazwisko wypadło mi z pamięci, był także mojemu ojcu znajomy, bo mojej matce dawał niegdyś przed laty lekcye włoskiego języka, a mój ojciec przywiózł nawet do niego list od niej; ale mimo to wszystko, były trudności, któ-

re trwały dni kilka. Dopiero kiedy Sanowski i Mervarth, nagradzając mnie za moją łacinę, wdali się za mną, wydano mnie ojcu na słowo, że mnie na każde powołanie do Przemyśla dostawi.

Było to w drugiej połowie czerwca. Ojciec, na wezwanie cyrkularnego urzędu, byłby mnie z pewnością dostawił, ale do Węgier, bo przez całe to lato stało parę koni z nasmarowanym wózkiem na Majdanie, o ćwierć mili od naszego dworu odległym, a we dworze był człowiek, który na widok kreisdragona byłby mnie przeprowadził na Majdan, skąd za godzinę byłbym dojechał do Węgier; na Węgrzech, gdzie mój ojciec miał bliskich przyjaciół, był także dom umówiony, któryby mnie był przyjął u siebie; ale nie przyszło do tego, nie zażądano mego wydania, tylko potem egzamin musiałem zdawać prywatnie, pod dyrekcyą księdza Żegestowskiego, który w tym celu jeździł ze mną do Przemyśla. Opowiadam te szczególiki dlatego, że dokładnie malują, w jakich warunkach myśmy nasze studya odbywali w tych czasach, tak niepodobnych do sytuacyi dzisiejszej.

Po wakacyach ojciec mój postanowił nie dawać mnie już do Przemyśla, tylko pod opiekę księdza Żegestowskiego, bo sam wtedy był chory, do szóstej klasy wysłał mnie do Sambora. W Samborze nie chciano mnie przyjąć, studenci przemyscy mieli tam bardzo złą reputacyę, zażądano jakichś świadectw osobnych, za któremi musieliśmy znów jechać do Przemyśla, ale mnie nakoniec przyjęli. W Samborze nie było wtedy żadnych pensyi, ani konwiktów, zaczem ksiądz Żegestowski znalazł dom dla mnie, w którym mnie pomieścił, dom bardzo

przyzwoity, ale w którym nie było nic polskiego. Była to rodzina szwajcarska, nazwiskiem Herring: on sam, człowiek małego wzrostu i już siwiejący, ale bardzo uczony, był podobno syndykiem miasta, ona, kobieta piękna i nadzwyczajnie wyniosła, po której widać było na pierwszy rzut oka, że pochodziła z jakiejś arystokratycznej rodziny, niezmiernie oczytana i w muzyce biegła, rządziła domem po dyktatorsku; prócz tego były dwie czy trzy córeczki, które ona sama wychowywała, tak, że ich dom wyglądał jak konwikt panieński. W tym domu mówiono tylko po francusku i po niemiecku i przez cały dzień Boży grano na fortepianie, na gitarze i harfie. I tam także nie dostałem się łatwo, oglądano mnie i wypytywano przez parę dni, ale nareszcie przyjęto. Herringowie mieszkali w osobnym dworku, leżącym na wielkim placu, niedaleko kościoła, przed którym były sztachety a z tyłu ogród; mnie dano pokój, leżący w samym środku z oknami, wychodzącemi na ogród. Byłem sam i tam już nie miałem przy sobie żadnego nauczyciela, tyko ksiądz Ocharski, katecheta, przychodził do mnie dwa razy na tydzień i dawał mi korepetycye przedmiotów szkolnych a zarazem religii; ksiądz Żegestowski dał mi księdza dlatego, że Herringowie byli protestanci, więc żebym się między nimi nie zlutrzył.

Prócz niego miałem jeszcze drugiego dochodzącego nauczyciela, który czytał ze mną w głos książki francuskie i dawał mi lekcye języka włoskiego, ale była to także figura, jakich dzisiaj już nie ma. Był to Rusin, nazywał się Hermanowicz. Będąc w r. 1797 na teologii w Wiedniu, uciekł z seminaryum i poszedł do legionów polskich we Włoszech, robił

kampanię ówczesną — a potem służył bez przerwy w wojskach francusko-polskich, aż do wzięcia Warszawy w roku 1831, zaczem sobie liczył trzydzieści pięć lat służby wojskowej i niezmiernie z tego był dumnym, bo według jego zdania nie było takiego drugiego w całej armii konstantynowskiej. Przez cały czas swojej służby, zdaje mi się, że był zawsze tylko podoficerem, a oficerem został dopiero w listopadowem powstaniu, ale miał kilka krzyżów i na tem było mu dosyć.

Był to człowiek już wówczas przeszło sześćdziesięcio-letni, dość słuszny wzrostem, zbudowany niezmiernie barczysto, łysy jak bundz, ale miał wąsy okrutne, wyczernione i zakręcone do góry, ubierał się w surdut bronzowy poniżej kolan z szerokiemi rabatami, krojem żołnierskim i w czapkę rogatą z daszkiem krojem ułańskim, zawsze był przy ostrogach i zawsze z pałką ogromną, żelazem okutą, z długim rzemykiem, który obwijał o rękę. Wieczorami w niedzielę i święta miał zwyczaj pociągnąć sobie — a wtedy, wracając do domu, szedł rynkiem krokiem żołnierskim, wywijał pałką, i klął głośno na żydów i Niemców, ale nie miał za to nigdy żadnych nieprzyjemności, bo nikt się nie śmiał zbliżyć do niego. Mówił bardzo płynnie po francusku, po włosku i po hiszpańsku, choć nie bez błędów, z gramatyki mało wykładał, tylko za pomocą konwersacyi, a w swoich konwersacyach opowiadał chłopcom swoje kampanije a pannom awantury miłosne, ale miał zawsze lekcyj więcej, niżeli mógł im nastarczyć, bo wtedy w całym Samborze, prócz niego, nie było żadnego innego nauczyciela języków obcych.

Sambor jest od Przemyśla tylko o ośm mil odległy, ale był tam wówczas świat całkiem inny. Naprzód miasto to było wtedy niezmiernie zniemczone. Oprócz zwykłych władz obwodowych, które wtedy nazywano politycznemi, był tam sąd kryminalny i jeszcze jakieś władze administracyjne dla salin i dóbr koronnych, których było bardzo wiele w tym obwodzie. Miasto było zatem nabite Niemcami i żydami, tak że ubogie mieszczaństwo krajowe wobec nich zupełnie znikało i nawet nigdzie go widać nie było. Po domach drobniejszych mieszczan i niższych oficyalistów rządowych mówiono wprawdzie po polsku, ale takim zruszczonym, a zarazem zniemczonym językiem, że uszy bolały słuchać tego śpiewania. W całym Samborze nie było ani jednego domu szlacheckiego a nawet, ile pamiętam, ani jednej takiej rodziny, w którejby się chowały tradycye polskie. Na starego Hermanowicza patrzano, jak na jakiegoś upiora z czasów, których już nikt nie pamiętał. Studentów było bez porównania mniej, niż w Przemyślu, bo było tam tylko gimnazyum — a i ci byli to po największej części synowie ruskich księży, urzędników rządowych i małych mieszczan, bądź miejscowych, bądź też z pobliskich miasteczek. Studenci mówili pomiędzy sobą po niemiecku, po rusińsku a nawet żargonem niemiecko-żydowskim, bo i żydów było niemało; mówili także po polsku, ale polskiego ducha w nich nie było. Przed czterema czy pięciu laty był i tu jakiś spisek, a raczej tylko coś, co Niemcy potem nazwali spiskiem: byłoto zawiązane przez Cięglewicza i Michała Popiela i miało na sobie charakter polsko-rusiński. Nastąpiły aresztowania, ale z tej propagandy wówczas już między

studentami żyło tylko jakieś ciemne wspomnienie, bo tych studentów, którzy swojego czasu do tego czegoś należeli, już wtedy w gimnazyum nie było. Pomiędzy moimi ówczesnymi współuczniami nawet wcale zdolniejszej młodzieży nie było: jakoż jedynym z nich, o ile pomnę, który później wybił się na wierzch, był Mikołaj Zyblikiewicz, wymowny poseł na sejmach, prezydent miasta Krakowa a nawet na chwilę, w braku innego kandydata, Marszałek Sejmu. Zyblikiewicz, we dwadzieścia i trzydzieści lat potem, rozwinął w sobie pewne adwokackie zdolności i niezwyczajną a często nawet zbyteczną energię, ale wtedy był to mały Mikołajek w kożuszku, ubogi syn kuśnierza z Nowego miasta, cichy, spokojny i dobry kolega, jeden z pilniejszych uczniów, ale żyjący tylko z synami ruskich księży, mówiący z nimi po rusku i nic zajmujący się wcale polskiemi rzeczami.

Przybywszy tam z Przemyśla, gdzie było tyle polskiego ruchu i gdzie w moich oczach stało się tyle tragicznych, a tak głęboko wzruszających wypadków, niesłychanie nudno mi było w tem rusińsko-niemieckiem mieście. Miałem to uczucie, jakobym był na wygnaniu i niezmiernie duszno mi było. Rozbudzony umysł młodzieńczy łaknął codziennie jakiegoś zajmującego żeru, do którego już był przyzwyczajony, a tu nie było nawet z kim się rozmówić o rzeczach polskich, któremiby się można było rozczulić, a jeśli się jaka dostała ukradkiem, to i te trzeba było dawać, bo prefekt z profesorami robił często rewizye po mieszkaniach studentów i zabierał każdą książkę polską z sobą, którą, chociażby była niewinną otrzymało się napowrót dopiero w kilka tygodni. Jedyną biblioteką polską wówczas w tem mieście był zbiór

książek polskich skonfiskowanych w kancelaryi Prefekta. Musiałem wówczas czytywać stare romanse niemieckie a i to także tylko ukradkiem, bo profesorowie konfiskowali wszystkie książki, które niestały w bezpośrednim stosunku z przedmiotami wykładanymi w szkole.

Ten niezwyczajny rygor zaprowadzono zapewne wskutek spisków dopiero co odkrytych w Przemyślu i aresztowań jeszcze ciągle w całym kraju trwających, ale był to rygor nieznośny, bo prefekt miał nawet swoją policyę i wiedział, co który z studentów robi po za szkołą — a za najmniejszą rzecz, która się prefektowi nie podobała, zaraz brano studenta na śledztwo dyscyplinarne a potem albo mu dano „Hausarest“, albo go zamykano na kilka godzin do karceresu; była to zaś kara najmniejsza, jeżeli komu w obec dwóch klas zgromadzonych dano admonicyę publiczną, chociaż i to było bardzo nieprzyjemnem. Zgoła ta władza szkolna była podówczas policyą, a zarazem i sądem kryminalnym — a przeto niezmiernie ciężyła na umysłach cokolwiek żywszej młodzieży.

Mnie pobyt w tem gimnazyum samborskiem stał się już w kilka miesięcy nieznośnym. Raz z tego powodu, że przedtem byłem w okrzyczanym naówczas z powodu spisków Przemyślu i że zapewne tamtejsze władze szkolne przysłały za mną do Sambora sekretnie niekorzystne świadectwa — a powtóre, dlatego, żem często gromadził u siebie co zdolniejszych kolegów i deklamowałem im z pamięci poezye polskie, aby w nich trochę lepszego ducha obudzić, miano mnie szczególnie na pieńku i dawano mi admonicye. Później, raz za tego rodzaju deklamacye

a drugi raz za to, żem pojechał na bal do jakiegoś szlachcica w sąsiedztwo, nie mając na to pozwolenia od prefekta, zamknięto mnie na trzy godziny do kozy. Nie były to kary bardzo dotkliwe, ale mnie niezmiernie nudziły — a to nietylko dlatego, że mojem zdaniem były niesprawiedliwe, ale także z tego powodu, iż z takiego postępowania władz szkolnych wnosiłem, jak tam niepoczciwie musiało być w sercach, a zarazem, jak ciemno w głowach tych ludzi, którzy mieli mnie uczyć rozumu.

Miałem wprawdzie protektora w jednym z moich profesorów. Był nim niejaki Linzbauer, człowiek jeszcze młody, wysoki tłusty, bardzo dobrego serca, kochający się w pięknej literaturze, sam wiersze piszący, a zarazem zwolennik idei liberalnych. Był to Niemiec, nie umiejący ani słowa po polsku, ale ożenił się z Polką, jeżeli się nie mylę, z domu Żórawską, a jego żona, maleńka, ale bardzo żywa i bardzo ładna szatynka, tak go ścisnęła w swoje miłościwe objęcia, że zrobiła go liberalnym nawet w życiu praktycznem, co u liberałów niemieckich nie zawsze idzie w parze z ich liberalnemi teoryami, a zarazem i przyjacielem Polaków. Ten tedy Linzbauer bardzo mnie lubił, często do siebie zapraszał i czytywał ze mną Goethego i Szyllera, dając mi objaśnienia o ich znaczeniu i wpływie na literaturę niemiecką — a ja mu za to objaśniałem gramatykę polską, której z miłości dla żony pilnie się uczył. Protegował on mnie, o ile mógł, wobec władz szkolnych, ale niewiele mógł, bo on sam był u nich podejrzany, tak o sympatye polskie, jak i o liberalizm, i tylko tem się utrzymywał na swem stanowisku, że był od nich wszystkich uczeńszym i miał rzeczywiste

ukształcenie, którego oni nie mieli. Jakoż nie trudno było mi spostrzedz, że i to mu szkodziło, że mnie i kilku innych studentów polskich u siebie przyjmował, a przeto delikatność nam nakazywała nie nadużywać jego dobroci.

Jedyną zatem rozrywką dla mnie był stary Hermanowicz, który mi opowiadał rozmaite historye z czasów legionów i wojen napoleońskich, ale i on się z czasem wyczerpał. Albowiem za kilka miesięcy umiałem już wszystkie bitwy na pamięć, od Trebii aż do Waterloo, o ile on umiał mi je opowiedzieć, i znałem jego wszystkie anegdoty żołnierskie: jak Dąbrowski z początku nie był przez polskich żołnierzy lubiany, bo mówił po polsku z mocnym akcentem niemieckim, jak Chłopicki dał Murzynkowi Jablonowskiemu w papę przy kartach i wybił z nim się potem w palasze, jak Rzymkiewicz, według niego najwaleczniejszy generał polski, kiedy go Napoleon wyprawił, ażeby uspokoił jakieś małe miasteczko włoskie, które się wciąż buntowało, uspokoił je fundamentalnie i zdając raport Napoleonowi, powiedział mu tylko jedno słowo po łacinie: *Pacificavi* — a potem się pokazało, że on otoczył to miasteczko dokoła i wyrznął wszystkich mieszkańców do nogi... i takich anegdot do końca. Żałuję, żem wówczas nie spisywał tych jego powieści, bo kiedym w kilkanaście lat później słuchał Chłopickiego, opowiadającego takim samym stylem żołnierskim te czasy, tom się przekonał, że Hermanowicz, chociaż czasem mylił się w szczegółach, doskonale oddawał ducha, jaki między ówczesnem naszem żołnierstwem panował — a tego ducha niełatwo później ktoś wyrozumie i schwyci, kto nie ma przed sobą nic więcej

prócz książek. Jednak w przeciągu zimy, jak powiedziałem powyżej, i Hermanowicz już mi wszystko powiedział, co wiedział — i pozostały mi nudy.

Jakoż pod wiosnę, więcej z nudów, niżeli w jakimś świadomym celu, napisałem makaronizmami ze wszystkich mi znanych języków, bo tak mi łatwiej było, dobierać rymy, wiersz satyryczny na wszystkich moich kolegów i zakończyłem go apostrofą, że powinni wbrew władzom szkolnym obudzić w sobie narodowego ducha i żyć życiem polskiem. Była to dziecinna robota i nie było w niej żadnego jadu przeciwko nikomu, ale Niemcy zrobili z tego wielką historyę i dali mi *Hausarest* na ośm dni. Tego aresztu nie zachowałem, spadła rewizya, potem sąd nowy — i musiałem przez cztery czwartki odsiadywać po trzy godziny w areszcie szkolnym. Ale kiedy się te areszty skończyły, napisałem drugą satyrę, tym razem na profesorów, po niemiecku i po łacinie, aby mnie dobrze zrozumieli, a chociaż byłem ostrożnym i mój rękopism zniszczyłem, a puściłem w obieg tylko odpisy, robione przez panny, których pisma nie znano, profesorowie już tylko mnie się trzymali i zrobili z tego jeszcze większą historyę. Śledztwa trwały przez parę tygodni, nic mi nie dowiedziono, ale pomimo to jednej niedzieli, po nabożeństwie, zawołali mnie do kancelaryi prefekta i przeczytali mi jakiś protokół: nie wiem już, co tam w tym protokole popisali, ale sens był taki, że mnie relegowano.

Postępowanie moje było bez wątpienia naganne, rad się do tego przyznaję: ale muszę zrobić uwagę, że winne temu były ówczesne szkoły, które nietylko się nie liczyły z temperamentem młodzieży, nietylko

że nie dawały nam dostatecznego umysłowego zajęcia, ale nadto swoim bezmyślnym rygorem i prześladowaniem za lada wybryk dziecinny, same się przyczyniały do podniecania tego zasadniczego przeciwko wszystkim władzom oporu, który wówczas tak czynnie rozszerzała zorganizowana propaganda patryotyczna. Cokolwiekbądź daje to dosyć jasne wyobrażenie o tem, czem były te nasze szkoły natenczas i dlaczego tak wiele młodzieży nie mogło w nich wytrzymać do końca. Niemieckiego i łacińskiego języka i trochę greczyzny uczono dobrze, ale na tem kończyła się cała ich wartość: wszystkie inne wykłady były karykaturą nauki — a obok tego nie dopuszczano systematycznie swobodnego rozwoju żadnego talentu, gnębiono nielitościwie każdy wolniejszy ruch myśli, a po którymkolwiek studencie poznano, że miał trochę więcej rozgarnienia, niż inni, ten już był podejrzany, nie spuszczano go z oka, prześladowano go wszelkiemi możliwemi środkami i w końcu, prędzej lub później, lecz zawsze coś znaleziono, aby mu dalsze kształcenie się uniemożebnić. Jakoż w tym roku, tak przedemną, jak po mnie, relegowano wielu innych studentów a jeżeli dobrze pamiętam, to wszystkich, którzy tam się przenieśli z Przemyśla.

Był to dlą mnie wypadek smutny, z tego względu, iż rozumiałem, że tem zmartwię rodziców. Jednak kiedym w maju przyjechał do domu, ojciec się tylko z lekka zachmurzył i powiedział mi całkiem spokojnie: Jużci z tymi Niemcami wyżyć niełatwo, ale pisać wiersze na profesorów, to i w polskich szkołach nie wolno. Nie wiem nawet, jak się to stało, że cię za to nie odwieziono do Karmelitów do Lwowa, bo siedzą tam tacy, co także nie więcej zbroili.

Ale co teraz z tobą mam zrobić, tego sam nie wiem. Zdaje mi się, że nic pozostaje mi nic innego, jak zawieść cię do Wiednia albo Pragi, ale że nie wiem dokładnie, jak to tam jest w tamtejszych szkołach, więc muszę się o tem zainformować...

Jakkolwiek ojciec niby się tem nie zmartwił, jednak zawsze przykro mi to było, żem mu przysporzył kłopotów, jakoż postanowiłem kontynuować studya szóstej klasy pod przewodem ks. Żegestowskiego, abym przynajmniej na przyszły rok mógł zdać tę klasę *cum eminentia*. To postanowienie wykonałem: ale obok tego niepomału rad byłem tak długim wakacyom. Pół dnia na koniu albo na polowaniu, a druga połowa na biciu się w pałasze, strzelaniu do celu i innych gimnastycznych ćwiczeniach z emigrantami, których u nas nigdy nie brakło, to mi było nie tylko bardzo na rękę, ale przyczyniało się także do rozwoju sił fizycznych, a zarazem do wyrobienia sobie wytrwałych nerwów, co mi się w mojem życiu późniejszem, gdzie trzeba było niejedną próbę zdrowia wytrzymać, nieraz bardzo przydało.

Przedsiębraliśmy wówczas częstokroć dalekie wyprawy na Połoniny i przepędzaliśmy tam po kilka dni, nocując przy wielkich ogniskach pod namiotami, zbudowanemi z gałęzi. Polowaliśmy na tych wyniosłych pastwiskach na sarny i jelenie, a w niższych strefach na dziki, co było nieraz bardzo zabawnem, zwłaszcza kiedyśmy wytropili maciorę z małemi świnkami, które nasi parobcy nieraz żywcem łapali. Bardzo często spotykaliśmy także niedźwiedzia, aleśmy tylko jednego zabili — a i tego tylko przypadkiem.

Chłop myśliwy, który był z nami, kiedyśmy o zachodzie słońca do naszego koczowiska wracali, zapędził się w las za jarząbkami, i wlazł w jakąś gęstwinę buków karłowatych, gdzie jakby w altanie, obok ciekącego źródełka ze skały, niedźwiedź miał swe legowisko. Chłop, patrząc po drzewach, śpiącego na ziemi niedźwiedzia nie spostrzegł, ale niedźwiedź go spostrzegł, zerwał się, przyparł go do gęstwiny, przez którą on nie mógł się przedrzeć, a porwawszy w łapy jakiś odziomek, który miał przy swem legowisku, zaczął go tak nim okładać, że i człowiek lepiejby nie potrafił. Na krzyk chłopa pobiegliśmy mu na pomoc i bylibyśmy łatwo poskromili niedźwiedzia, bo było nas kilkunastu, ale emigrant, nazwiskiem Żarski, powstrzymał nas o jakie czterdzieści kroków i sam do niedźwiedzia z swej dubeltówki wymierzył. Z tego powodu chłop wziął jeszcze o kilka buków więcej, ale Żarski strzelił tak celnie, że niedźwiedź dostał kulę w sam łeb, koło ucha, od której też się zaraz przewrócił. Chłopa wysmarowaliśmy okowitą, którąśmy mieli ze sobą, ale niewiele mu to pomogło, bo nazajutrz i zabitego niedźwiedzia i jego okrytego guzami musieliśmy znieść na noszach do wsi, a stamtąd odwieźliśmy ich wozem do dworu.

W dnie słotne czytywaliśmy emigracyjne dzienniki i książki, których tutaj mieliśmy podostatkiem, lecz częściej szliśmy do wielkiej stodoły i strzelaliśmy tam z pistoletów do tarczy. I to także się na coś przydało, bo kiedym w roku 1855 raz poszedł na strzelnicę w Paryżu, która i dziś jeszcze istnieje na *Avenue d'Antin*, tom wpakował dwadzieścia pięć

kul w karton jedną na drugą i ani jedna mi nie chybiła.

Dziwne są czasem na tym świecie spotkania: na tej strzelnicy były wówczas tylko trzy takie kartony, zawieszone na ścianie z wypisanemi na brzegach nazwiskami strzelców: jeden z nich był Aleksandra Dumasa syna, drugi Olesia Fredry a trzeci mój. Literatura wówczas nawet i na strzelnicach szła górą...

Takie to były moje ówczesne wakacye, ale nie były to jeszcze ostatnie, bo później było ich więcej.

VI.

Czuję to sam, że piszę więcej o sobie, niżeli o Polu: ale to nie może inaczej być, jak skoro postanowiłem opisać te czasy tylko o tyle, o ile sam je widziałem i doświadczyłem ich na samym sobie. Zresztą moja rodzina i ja nie stanowiliśmy wcale wyjątków, bo wszędzie wówczas działo się mniej więcej to samo. We wszystkich rodzinach rdzennie polskich, w których żyły tradycye dawnej niezawisłości i fantazyi szlacheckiej, czy te rodziny były zamożniejsze, czy też uboższe, synowie szli do szkół publicznych z zamiarem wyuczenia się czegoś i zajęcia jakiegoś stanowiska na podstawie nabytej nauki, ale ci z tych, a drudzy z innych powodów nie mogli w ówczesnych szkołach dotrwać do końca: ojcowie nasi nie umieli sobie z nami dać rady a najczęściej i nie bardzo kusili się o to, bo sami to czuli, że z tymi Niemcami, którzy umyślnie temu przeszkadzali, ażeby Polacy obsiadali urzędy publiczne, niepodobna było dojść do dobrego porozumienia — a tak kończyło się na tem, że z bardzo małymi wyjątkami wszyscy, prędzej lub później, wracali na zagon ojczysty. Nawet ci, mianowicie z rodzin zamożniejszych, którzy skończyli prawo i weszli do urzędów, nie wytrwali w nich długo, bo mimo usposobienia, u nich zazwyczaj bardzo spokojnego, przecież nie

mogli się nagiąć do ducha i obyczajów tej biurokracyi, która nibyto liberalna w zasadach, ale despotyczna w praktyce, posługująca się kościelnemi władzami do swoich celów, ale w swem wnętrzu gruntownie niereligijna, a zresztą przejęta do szpiku kości najbrutalniejszym materyalizmem, na wszystkich drogach i wszelkimi środkami wytężała swe siły ku zgnębieniu naszej narodowości.

Zamiar mojego ojca wysłania mnie do Wiednia albo do Pragi zaczął się chwiać a w sierpniu skończyło się na tem, że postanowił dla skończenia szóstej klasy zawieść mnie do Tarnowa; jednak do tego postanowienia przyczyniła się najwięcej ta okoliczność, że miał tam wuja, a mego wujecznego dziada, który właśnie mało co przedtem owdowiał, nie miał własnych dzieci, a posiadał dość znaczny majątek.

Ten mój dziad wujeczny, pan Jan Demboróg-Bylczyński, bylato także jedna z tych zasuszonych mumii XVIII. wieku, które wówczas jeszcze się tu i ówdzie błąkały po świecie. Urodził się około roku 1758, za młodu trochę porucznikował, ale więcej tańcował po Warszawie, należąc do tej eleganckiej młodzieży, którą zwano perukarzami, a która była pełna uwielbienia dla Stanisława Augusta.

Podczas czteroletniego sejmu zamieszkał w Lublinie, gdzie przez lat kilka prowadził jakieś procesy. Po ostatnim rozbiorze przeniósł się na galicyjskie Podole, gdzie jakieś ziemie zakupił, a przytem prowadził życie pełne roztargnienia i przygód. Z owego czasu została o nim anegdota, że wygrał od Turkułła wieś w karty, ale ponieważ i wówczas niechętnie się przyznawano do takich lekkomyślności, więc rozpuszczono wieść, że zamienił tę wieś za trzy

charty. Jakiś przygodny poeta, korzystając z rymu karty i charty, zrobił na to wiersz, tak dla Turkulla, jak i dla niego, nie bardzo grzeczny, ale tego wiersza nigdy nie mogłem dostać od niego, powiadał tylko, że jakiś organista go pisał, co może służył za lokaja u Naruszewicza albo u Trembeckiego. Około tego czasu ożenił się z Baronówną Roth, Niemką, a siostrą gubernatorowej Gaisruckowej i wtedy osiadł stale we Lwowie; wówczas i przez wiele lat potem mieszkał w najętym przez siebie pałacu Potockich, przypierającym plecyma do kryminału karmelickiego, i tam dom taki prowadził, że w nim, jak mój ojciec powiadał, zazwyczaj dopiero wschodzące słońce gasiło świece: ale pod owe czasy, cały Lwów takie prowadził życie, że gdyby je dziś opisać prawdziwie, toby wyglądało jak bajki z tysiąca nocy i jednej. Na krótki czas przed listopadowem powstaniem przeniósł się do Tarnowa, gdzie miał obszerny dworek na któremś przedmieściu, a w okolicy jakieś wioski pokupił, zaś na innych kapitały swe poumieszczał. W roku 1840 żona mu umarła, ale on, pomimo lat ośmdziesięciu z okładem, zamiast dożyć reszty życia spokojnie, najął duże mieszkanie na pierwszem piętrze przy rynku, umeblował je po kawalersku, posprowadzał sobie suknie i batystowe koszule z Wiednia, gościom wrota na ścieżaj otworzył i zaczął znowu prowadzić dom taki, że w nim podobno czasem także dopiero słońce świece gasiło. Jego majątek, wedle ludzkich obliczeń, byłby i tak musiał spaść na nas i naszych krewnych, bo ojciec mój żył zawsze z nim w dobrej komitywie, ale zaszła taka okoliczność, że on zaraz po śmierci swej żony zaproponował był memu ojcu, abyśmy mienie

nasze razem zlali, zakupili jaki duży majątek i razem mieszkali; ale moja babka a jego siostra sprzeciwiła się temu, bo miała uprzedzenie przeciwko jego obyczajom, więcej cudzoziomskim, niż polskim i powiadała, że on nam ten wspólny dom do góry nogami przewróci. Zaczem chodziło naprzód o to, aby się na nas o tę odmowę nie pogniewał, a potem o to, iż rozumiano, że mając mnie blisko siebie i nie chcąc mi dawać złego przykładu, będzie się mitygował — i dlatego oddano mnie do Tarnowa. Jednak mój ojciec był tak ostrożnym, że mnie nie ulokował u niego, tylko u adwokata czy syndyka miasta Rudrofa, także przy rynku, obok biskupiego pałacu, gdzie miałem mieszkanie, wikt, usługę i wszystko co trzeba, zaś u niego miałem tylko pokój osobny, gdzie mogłem czytać i pisać i zazwyczaj jadałem u niego.

Był to wówczas staruszek niewielkiego wzrostu, cały ogolony, w ciemno kasztanowatej peruce, zawsze bardzo starannie ubrany, zawsze w białej chustce na szyi a przy obiedzie w kolorowym fraku, z mnóstwem pierścieni na palcach i błyszczących breloków przy zegarku, ze złotą tabakierką w jednej a również złotą bonbonierką w drugiej kieszeni, woniejący piżmem z daleka; zawsze pełen grzeczności w swym stylu i niby bardzo poważny, ale niezmiernie gadatliwy i zawsze pełen konceptów, jednak najczęściej pomimowolnych, bo był w niektórych momentach komicznym anachronizmem w tym czasie. Miał ukształcenie odpowiednie swojej epoce. Ale tylko po koniec klasyków stanisławowskich, bo o Koźmianie już mówił, że jest to poeta pełen dobrego smaku, po którym się należy wielkich dzieł spodzie-

wać: czytywał dzieła filozoficzne po łacinie, ale Wolter był bogiem dla niego, zaś nowsza literatura była mu tak niezrozumiałą, jak gdyby była pisaną po chińsku. Raz, kiedy zaszedł do mego pokoju i obaczył Mickiewicza i Goszczyńskiego na stole, dał mi reprymendę, mówiąc: — A co czytasz? Żaden przyzwoity człowiek nie powinien brać tego do ręki. To są wybryki młodych ludzi źle wychowanych, a kto to czyta, postępuje tak samo, jak gdyby poszedł tańcować do jakiejś szynkowni z lokajami i kucharkami. Zgoła w tej kwestyi nie było z nim żadnej dyskusyi, wszakże miał tyle taktu, że kiedy u niego o tej literaturze mówiono, nie sprzeczał się i nie usiłował nikogo przekonać, zachowując swoje opinie dla siebie: jednak dla Pola miał pewne uważanie, ale i to tylko dlatego, że Pol był wysoko cenionym u książąt Sanguszków. Natomiast wszakże opowiadał bardzo ciekawe rzeczy z czasów Stanisława Augusta, a mianowicie te tysiące drobnych szczegółów i szczególików, które tak namacalnie malują ówczesne życie, a których tak trudno doszukać się w książkach.

Jakoż com wiedział z ustnego podania o owoczesnym świecie frakowym, tegom się po największej części dowiedział od niego — a co chciałem wiedzieć o ludziach chodzących w kontuszach, to mi opowiadała jego siostra a moja babka: ale nie trzeba było pytać ani jego o świat kontuszowy, ani jej o towarzystwo frakowe, bo wtedy nie wychodziła z ich ust bezstronna prawda, tylko satyra. Tak jeszcze pomiędzy temi ostatniemi zabytkami XVIII. wieku żyła ta dwoistość uczuć, zapatrywań się i prądów duchowych, którą z jenialną trafnością poglądu odmalował Rzewuski w swym „Listopadzie“ — a te uczucia były

tak silne, że często nawet pomiędzy rodzeństwem rozbudzały chłody i niedowierzania.

U mego dziada bywała wówczas cała szlachta tarnowska i poznałem tam wtedy wszystkich Konopków, Bobrowskich, Rogalińskich, Stojowskich, Jordanów, Dąbskich, Romerów, Broniewskich, Wiesiołowskich, Rejów, Tyszkiewiczów, Niemyskich, Wojciechowskich, Brodzkich i tylu innych, bo żaden z nich, będąc w Tarnowie, jego domu nie ominął. Na obiedzie, o godzinie pierwszej, zawsze po kilka osób bywało, bo miał kuchnię wyborną i dobrą piwnicę, popołudniu po kilkanaście osób schodziło się na konwersacyę, wieczorem kolacya, a po kolacyi grano w karty, przyczem wszakże już nie bywałem, bo ta rozrywka nigdy mnie nie nęciła. Mój dziad gniewał się za to na mnie i chciał mnie przynajmniej wista nauczyć, ale i to mu się nie udało; nauczyłem się wprawdzie tej gry, ale gralem zawsze haniebnie, bo trzymając karty w ręku, zawsze o czem innem myślałem, za co otrzymywałem od mego partnera wymówki, które nieraz wcale do komplimentów nie były podobne. Na zgromadzeniach popołudniowych bywał także i Pol, który wówczas prawie mieszkał w Gumniskach i jak powiadano, pomiędzy książętami Sanguszkami robił dział majątkowy.

Owo więc wówczas, jednego dnia, wśród gwaru w salonie, Pol wziął mnie na stronę i spytał: czy nie masz tutaj jakiego spokojnego kąta, gdziebyśmy się mogli spokojnie rozmówić? Zaprowadziłem go do mego pokoju. Znalazłszy się tam na osobności, Pol, będąc tego dnia bardzo zamyślony i jakby czemsiś zakłopotany, rzekł do mnie:

— Chciałem z panem pogadać, bo radbym się dowiedzieć, co wy studenci robicie? Pol mówił mi wtenczas pan, bo jużem był mocno w górę wystrzelił i byłem prawie tego wzrostu, co teraz, a nie miałem jeszcze tych lat, w których pomiędzy przyjaciółmi znika kilkunastoletnia różnica wieku. Zadziwiony cokolwiek tem zapytaniem, odpowiedziałem mu żartobliwie:

— Robimy to, co zwykle robią studenci, chodzimy do szkoły, a czasem poza szkołę.

— Otóż to źle, — powiada mi Pol, — że po za szkołę chodzicie a nie wiedzieć, czem tam się bawicie. Tam Wiesiołowski bywa pomiędzy wami?

— Jużci bywa, — odpowiedziałem mu na to, — a nawet i do mnie czasem zachodzi, ale mnie z Franciszkiem Wiesiołowskim, zresztą i z Michałem, łączą bliższe stosunki, bo nasi ojcowie znają się od bardzo dawnych czasów a mój ojciec mi nawet zalecił, ażebym z nimi, ile razy ich spotkam w Tarnowie, dobrą przyjaźń zachował.

— To bardzo dobrze, — rzekł Pol, — przeciwko temu nie byłoby nic do zarzucenia, bo to ród starożytny a i ludzie poczciwi, ale Franciszek spiski wiąże pomiędzy wami, a to jest rzecz niesumienna. — Być może, — odpowiedziałem mu na to, — że są spiski pomiędzy młodzieżą, ale ponieważ ja do nich nie należę, więc nie umiem o nich nic powiedzieć. O Wiesiołowskim wiem tylko tyle, że przez niego i jego przyjaciół dostajemy książki polskie, którychbyśmy inaczej nie mieli. Widzi pan Wincenty, co ich tu jest, wszystkie dostałem od niego.

Na stole leżało kilkadziesiąt książek, broszurek i emigracyjnych dzienników, które w tym pokoju

dlatego trzymałem, że tam były bezpieczniejsze, niż u mnie. Pol wstał i rzucił okiem na te druki, a niektóre z nich palcem potrącił z niechęcią i rzekł:

— Dziad pański będzie miał się z pyszna, jak tu kiedy spadnie rewizya. Mniejsza o to, on się tam jakoś wykręci, ale ja tu widzę takie rzeczy, których młodzież czytać nie powinna, bo to jest zaraza. To tylko do rozdwojenia prowadzi, a kto nas rozdwaja, ten zbrodnię popełnia, zbrodnię nie do przebaczenia...

Nie wiedziałem, dlaczego Pol był tak zirytowany, alem się zaraz dowiedział, bo po chwili mówił dalej:

— Wiesiołowski był wczoraj w Gumniskach i takie rzeczy tam gadał, że mnie włosy na głowie stawały, choć wiedział, gdzie jest „Wszystko dla ludu i wszystko przez lud“, to jest jego zasada. Tym ludziom się wszystko we łbach poprzewracało...

Tu muszę wspomnieć, że propaganda, którą od roku 1832 prowadzono w Galicyi, w szerszych kołach dopiero wtedy przybrała jawnie charakter demokratyczny. Czy katechizm demokratyczny i „Prawdy żywotne“ były już wtedy drukowane w obiegu, tego nie pamiętam dokładnie, ale zasady, w tych broszurach wypowiedziane, można było czytać na każdej kartce dzienników emigracyjnych i poznańskich i były one przedmiotem dyskusyi niejako publicznej, mianowicie w Tarnowskiem, gdzie dzięki równie odważnej, jak energicznej ruchliwości Wiesiołowskich, Chrząstowskich i wielu innych, propaganda emigracyjna miała swoje główne ognisko i gdzie szlachta, mająca więcej temperamentu a może i ukształcenia, niżeli we wschodniej Galicyi, zajmowała się bardzo żywo temi sprawami. Cokolwiekbądź, ja wówczas

po raz pierwszy słyszałem dwie zasady postawione jasno i z sobą walczące, jedna „Wszystko dla ludu i wszystko przez lud“, a druga: „Wszystko dla ludu a nie przez lud“: Pol był wyznawcą tej drugiej zasady, uważał pierwszą za niebezpieczną i zgubną i dlatego się tak zirytował, kiedy usłyszał Wiesiołowskiego, prelegującego w Gumniskach swe przekonania, na mocy których spodziewał się zbawienia Polski wyłącznie przez lud.

Pol jednak miał jeszcze wtedy i inne powody do nieufności przeciwko tej propagandzie, bo spytał mnie potem:

— Ale tam także i Goslar bywa pomiędzy wami, ten idzie jeszcze dalej jak Wiesiołowski, cóż on wam gada?

— Goslar — powiedziałem mu na to — wykłada nam filozofię podług Libelta i Trentowskiego.

— Piękna to musi być filozofia! — zawołał Pol, — to komunista; on wiąże kółka pomiędzy wami, burzy was przeciw szlachcie, uczy was teoryi komunistycznych i wszechwładztwa ludu, a obok tego wojuje jeszcze listami bezimiennymi, bronią bardzo szlachetną, nie ma co mówić...

Ponieważ o Goslarze w pamiętnikach i opracowaniach tych czasów spotykam tylko nieliczne wspomnienia, a była to postać rysów całkiem odrębnych, jakich wówczas było bardzo niewiele, a może nawet żadnej zupełnie do niego podobnej, więc go tutaj dokładniej opiszę.

Julian Goslar był synem niemieckich kolonistów z Rzeszowskiego obwodu i musiał się rodzić przed rokiem 1820, bo wtedy miał już lat dwadzieścia kilka. Był trochę mniej niżeli średniego wzrostu, ale krępy

i silny, jasny blondyn, pełnej rumianej twarzy z dużemi i wypukłemi, niebieskiemi oczyma, które zdawały się być bez żadnego wyrazu i wyglądały jak szklane. Ubierał się zwykle w ciemny surdut poniżej kolan i chustkę niedbale okręconą około szyi i wyglądał, jak rzemieślniczy czeladnik, niby nie ubogi, ale zaniedbany w ubiorze. Ale w tej niepokaźnej postaci był niezwyczajny duch i charakter. Był on komunistą najczystszej wody i rewolucyonistą *quand même*, według dzisiejszej terminologii należałoby go nazwać anarchistą, ale był fanatykiem swoich idei, jak najzupełniej bezinteresownym dla siebie, cierpiał głód, biedę, znosił niesłychane, nadludzkie trudy, był zawsze gotów na wszystkie męki i na śmierć w tem przekonaniu, że to jest jego obowiązkiem i że tem jak najlepiej służy ludzkości. Nie miał przytem żadnej zgoła osobistej ambicyi, nigdy niczego nie pragnął dla siebie, nie marzył o żadnem stanowisku, ani nawet o żadnej roli, którąby mógł odegrać, choćby tylko w świecie konspiracyjnym, był zawsze sługą sług, a jak jakiejś misyi dopełnił, którą mu dano, albo na własną rękę przedsięwziął, zawsze potem znikał bez wieści. Miał dosyć szerokie ukształcenie książkowe, ale płytkie i powierzchowne; rwał się czasem do literatury i napisał był we dwa lata później historyę literatury niemieckiej, którą dał Edwardowi Dembowskiemu do przejrzenia, a której rękopism o ośmdziesięciu arkuszach i ja widziałem u Wiesiołowskiego, ale Dembowski mu poradził i słusznie, aby ją rzucił do pieca; umiał dobrze po niemiecku i nieźle po łacinie, ale najlepiej znał język ludowy, polski i ruski, i mówił niemi tak doskonale, że kiedy się przebierał za chłopa i nocował po cha-

tach, to nigdyby go nikt nie poznał, że pod tą siermięgą kryje się człek ukształcony. Obok tego był niezmiernie wymownym, mógł mówić przez parę godzin bez przerwy i zająknienia, ale mówił tylko wtedy, gdy widział, że go słuchano, zaś w ożywionych dyskusyach i sporach nigdy nie brał udziału.

Goslar zapisał się wówczas do szóstej klasy w Tarnowie, był zatem moim kolegą. Właściwych spisków pomiędzy nami nie wiązał, tylko tworzył kółka, składające się z pięciu lub sześciu kolegów i na ich zebraniach, jak to już wspomniałem powyżej, wykładał filozofię po polsku.

Ile te wykłady były warte, wówczas sądzić nie mogłem, pamiętam jednak, że oprócz języka, nie było w nich nic polskiego, a była tylko mowa o prawach człowieka, o usamowolnieniu wiejskiego ludu i uszczęśliwieniu ludzkości za pomocą wiecznych rewolucyj aż do takiego czasu, w którym znikną ostatnie ślady jakiejkolwiek nierówności pomiędzy ludźmi. Zapału i uniesienia w tych jego wykładach nie było, ale natomiast ciętość i upór, a jako niewzruszony podkład to zalecenie, że człowiek każdy, czujący powołanie po temu, powinien te zasady pomiędzy ludem rozszerzać, a to bez względu na więzienia, na męki a choćby na śmierć, bo im więcej ofiar padnie dla tej sprawy, tem prędzej cel osiągniętym zostanie. Było coś apostolskiego w tym człowieku, a tem była jego niewruszona wiara w swoje zasady — i to mu dawało pewien urok, wówczas pomiędzy młodzieżą, a później wszędzie, gdzie się pokazał.

Goslar tego roku pod koniec wiosny zemknął z Tarnowa: zapewne się coś pokazało na niego, bo i nas władze szkolne wypytywały, czyli jakie kore-

petycye nam dawał. On zaś od tego czasu puścił się na propagandę po wsiach i po miastach prowincyonalnych środkowej Galicyi, a połączony z kilkoma emisaryuszami może nie zupełnie, ale mniej więcej tych samych przekonań i celów, poduszczał chłopów, aby przestali odrabiać pańszczyznę i przygotowywali się do zbrojnego powstania. Pisywał także odezwy w tym duchu, które bądź sam, bądź przez spropagowanych przez siebie pokątnych pisarzy i urzędniczków po wsiach i po miasteczkach rozrzucał. Odezwy te dostawały się czasem do rąk szlachty, chociaż nie dla niej były pisane, ale pomiędzy nią tylko gdzieniegdzie obudzały protestacyę lub oburzenie; w sferach tych, które się nazywały patryotycznemi, a przeto i same zajmowały się propagandą, albo jej pomagały, nie widziano w nich żadnego niebezpieczeństwa z tego powodu, że były przyjęte duchem komunistycznym: tam, co było rewolucyjne, to było patryotyczne. Odezwy te dostawały się także do władz administracyjnych, które sprawowały policyę, tam o nie podejrzywano Goslara, jakoż kazano go śledzić i rozesłano za nim listy gończe: w przeciągu następujących czterech lat nawet po kilka razy schwytano, ale że nie wiedziano na razie, kogo aresztowano i trzeba było o to korespondować z drugiemi władzami, on zawsze tymczasem uciekł im.

Ostatnich kilka miesięcy przed powstaniem roku 1846 przepędził w Sanockiem — i on to właściwie miał poruszyć wszystkie wsie w okolicach Brzozowa, przyjść na ich czele do Wzdowa, gdzie miał się zebrać oddział powstańczy, i pójść z nim razem na Sanok. Schwytany przez chłopów, został przez nich zbity niemiłosiernie — i byłby pewnie

przez nich zabity, gdyby nie to, że udał umarłego i mimo mąk, które mu chłopi już po tej rzekomej śmierci zadawali, tak mężnie wytrwał w tej roli, że jako trupa przywieźli go do Sanoka. W Sanoku nie siedział razem z nami, tylko w jakimś miejskim areszcie w przyziemiach — i tam już był pod murem taką jamę wygrzebał, że nazajutrz byłby nią umknął: ale go w nocy przy tem grzebaniu złapano i odwieziono do Lwowa. We Lwowie siedział w kaźni, sąsiadującej ze mną u Karmelitów i propagował wśród złodziejów, którzy z nim razem siedzieli, zawiadamiając mnie codziennie za pomocą pukania o postępach, jakie jego uczniowie w dawanych im naukach robili. W roku 1848 został razem z nami amnestyowany.

W tymże roku pod jesień zjawił się u mnie w Bereźnicy. Przez cały tydzień siedział spokojnie, widocznie krył się, ale nie długo wytrzymał. W najbliższą niedzielę, czy jakieś święto, poszedł na mszę do cerkwi, modlił się niby bardzo przykładnie, ale po mszy wyszedł pierwszy, wylazł na kamień, leżący w dziedzińcu przed cerkwią i zaczął mówić jakgdyby jakieś kazanie. Wychodzący z cerkwi chłopi i baby zgromadzili się koło niego i słuchali go z wielką uwagą, ale po chwili jakiś chłop krzyknął do niego z tłumu:

— A co to ty jaki misyonarz czy biskup, żebyś tu prawił kazanie? — On mówił dalej. Wszakże niebawem wyszedłem ja z księdzem z cerkwi i namówiliśmy go, aby dał pokój, bo mógłby jakie zaburzenie wywołać.

Tę noc jeszcze przenocował w oficynie, ale nazajutrz o świcie zniknął bez pożegnania.

Przez jakiś czas potem go nie widziałem, wiem tylko, że z końcem tegoż roku schwytano go w Styryi albo gdzieś w tamtych stronach, za rewolucyjną propagandę skazano go na śmierć, ale w roku 1849 znowu amnestyowano.

W roku 1850, kiedy mieszkałem w teatrze Skarbka we Lwowie, znowu zjawił się u mnie i prosił mnie, abym go przez jakiś czas przechował u siebie.

Powiedział mi, że ma paszport na takie a takie nazwisko i jest niby lokajem Niemcem, idącym za służbą, zaproponował mi zatem, abym go przyjął niby jako drugiego lokaja i mówił z nim tylko po niemiecku; tym sposobem łatwo się u mnie ukryje i nie narazi mnie na żadne niebezpieczeństwo. Jakkolwiek niebezpieczeństwo było, a nawet wcale nie małe, jednak trudno było odmówić. Wszelako nie wziąłem go na lokaja, bo tego nie było potrzeba, albowiem obok mego mieszkania miałem mały pokoik z osobnym wyjściem, gdzie miałem skład książek i sofę do spania i gdzie przed nim i po nim inni się przechowywali; tam go zatem ulokowałem, niby pisarza do przepisywania. Tam siedział przez trzy tygodnie, czytając i pisząc po całych dniach a tylko wieczorem wychodząc na miasto. Wychodził zwykle, kiedy publiczność szła do teatru, a wracał, kiedy się przedstawienie skończyło, a tak niespostrzeżenie się przez tłumy przeciskał. Nie powiadał mi nigdy, co robił we Lwowie, bo wiedział, że jego roboty byłbym mu nie pochwalił, tylko czasem się zniecierpliwił a wtedy mi mówił, że powinien być teraz na Szlązku, gdzie na niego czekają, ale tymczasem tutaj coś bardzo ważnego ma do czynienia. Po trzech tygodniach jednego wieczora wyszedł i więcej nie wrócił.

W następnym roku został uwięziony w Wadowickiem albo na Szlązku. Jego ówczesna sprawa stała się głośną, bo powciągał w nią w Krakowskiem nawet osoby takie, które miały bardzo wysokie, tak rodowe jak majątkowe znaczenie. Jakim sposobem osoby takie, które prócz tego miały sto razy więcej ukształcenia od niego, mogły podówczas, kiedy już wszystkie rewolucye w całej Europie były stłumione, wejść z nim w jakieś konspiracyjne stosunki, to pozostało na wieczne czasy zagadką: musiał on jednak mieć zręczność wcale niezwykłą, skoro umiał pozyskiwać dla swoich celów nawet ludzi takich, którzy pod każdym względem o tyle wyżej stali od niego. Uwięziony podówczas i na śmierć skazany, ponieważ to już był trzeci wyrok śmierci wydany w przeciągu lat pięciu na niego, został stracony na szubienicy w Wiedniu z początkiem roku 1852.

Goslar był jednym z najdoskonalszych typów owoczesnego emisaryusza, ale tylko z pewnego punktu widzenia, to jest pod względem bezwarunkowego i fanatycznego poświęcenia się tej sprawie, której służył, pod innemi względami różnił się od nich: kiedy bowiem prawie wszyscy inni emisaryusze byli gorącymi patryotami i przedewszystkiem służyli sprawie polskiej, u niego patryotyzm polski stał w drugim rzędzie a w pierwszym sprawa całej ludzkości. Nie umiał on nawet historyi polskiej i nie znał pomiędzy narodowościami żadnej różnicy, a tych, którzy marzyli tylko o wyjarzmieniu Polski, uważał za ludzi ciasnego serca i ograniczonego umysłu. Zaczem jako zjawisko społeczne wyprzedził u nas o lat pięćdziesiąt rozwój idei społeczno-rewolucyjnych, bo dopiero dziś byłby znalazł także

i u nas współwyznawców i zwolenników. Wówczas w szerszych kołach patryotycznych nie rozumiano go wcale, ale co gorsza, nie starano się nawet go zrozumieć i trafnie osądzić — a chociaż tu i ówdzie spostrzegano z niechęcią, że jego ideje trącą cokolwiek socyalizmem i komunizmem, to mu to przebaczano dla jego zasadniczej i nieprzepartej rewolucyjności, którą, jak to już wspomniałem powyżej, brano za jedno i to samo z patryotyzmem.

Określiłem tutaj dokładnie Goslara, bo będę musiał jeszcze niejednokrotnie potrącić o niego poniżej — a teraz wracam do Pola.

Owóż więc Pol, czy to że miał dokładniejsze informacye od innych, czy też wiedziony swą intuicyą bardzo często szczęśliwą, już wówczas uważał Goslara za bardzo szkodliwego człowieka. Czy go już wtedy znał osobiście, czy tylko słyszał o nim od innych emisaryuszów, którzy radzi go podnosili jako młodego człowieka, pełnego nadziei, tego mi nie powiedział, ale to pomnę, że gwałtownie przeciwko niemu wybuchnął i zawołał:

— Goslary! Goslary! to prawdziwa trucizna, która nas daleko gorzej roztacza, niżeli Moskale i Niemcy. Powiadam panu, że nie masz jednej kropli krwi pod sercem, którejbym dla Polski nie przelał. Jak czas przyjdzie po temu, obydwa pójdziemy. Ale to nie Goslary zbawią Ojczyznę...

Później się cokolwiek lepiej wyjaśni, dlaczego Pol tak szczególnie wziął Goslara na oko; tutaj przywodzę tę scenę tylko dlatego, ażeby powiedzieć, że Pol dopiero od owego czasu, a mianowicie od owych aresztowań na wielką skalę w roku 1841 i od tej chwili, kiedy się rewolucyjnej propagandzie w roku

1842 z bliska przypatrzył w Tarnowie, zaczął z niechęcią i z niedowierzaniem patrzeć na spiski ówczesne i niecierpliwić się tem, że ta propaganda zaczęła brać kierunek stanowczo rewolucyjny, a zarazem przybierać znamiona, że dąży nietylko do insurekcyi narodowej, ale zarazem do przewrotów społecznych.

Gdyby jego „Kiliński“ do tego czasu nie był już napisany, to byłby go Pol po roku 1842 prawdopodobnie nie pisał, a przynajmniej byłby z pewnością niektóre miejsca z niego wykreślił, ale nie przedtem, bo aż do owego czasu ani propagandy patryotycznej, której sam najgorętszym był apostołem, ani narodowej insurrekcyi, którą pochwalał w przeszłości i przewidywał na przyszłość, nie uważał za zbrodnię, a dopiero wtedy, kiedy ta propaganda się skoncentrowała w Tarnowskiem, dojrzał niebezpieczeństwa, jakiemi groziła krajowi.

Tarnów był w owych czasach i aż do roku 1846 jednem z miast najwięcej ożywionych w zachodniej Galicyi. Kraków, nie mieszczący w sobie rewolucyjnych żywiołów, a nadto przyciśnięty ścisłym policyjnym dozorem trzech mocarstw zaborczych, dawał tylko chwilami przytułek emisaryuszom i propagatorom, a sam się zachowywał spokojnie: życie patryotyczne koncentrowało się wtedy w Tarnowie. Nie brakowało także wybryków. Hotel krakowski, który podobno istnieje do dziś dnia, był wówczas zawsze nabity szlachtą, tak okoliczną, jak i z obwodów Rzeszowskiego, Bocheńskiego, Jasielskiego, Sandeckiego a po części i Sanockiego: jedzono nad miarę, pito na umor, a przedewszystkiem grywano w karty — a gra ta tak się wówczas rozpanoszyła, że przegrywano nawet majątki. Miejscowi bankierzy,

niejaki Herzberg, podobno kupiec korzenny, ale zarazem bankier, pokątni pisarze, procesowicze, niesumienni dzierżawcy i inni tego rodzaju lichwiarze, pobogacili się wtenczas, pożyczając szlachcie pieniądze, a później po rzezi i po zniesieniu pańszczyzny, pozabierali wiele szlacheckich majątków. Kiedym we dwa i trzy lata później parę razy przejeżdżał przez Tarnów, opowiadano mi tam o takich orgjach, o jakich się słyszy tylko po największych miastach europejskich. Zgoła wrzało tam wtedy takie hulaszcze życie, jakgdyby wszyscy byli przejęci przeczuciem, że niebawem jakaś katastrofa nastąpi i że to są ostatnie dni Pompei. Takie zachowanie się szlachty dostarczało nie mało argumentów niesumiennym agitatorom do poduszczania niespokojnej i nierozmyślnej młodzieży przeciwko tej warstwie społecznej w duchu idei demagogicznych, ale znów z drugiej strony takie usposobienie umysłów szlachty, która stawiała majątki na kartę a w każdym razie przejmowała się materyalnie, czyniło ją także skłonną do tem łatwiejszego przyjmowania idei rewolucyjnych, po których kazano jej się spodziewać zmiany na lepsze. Toż okoliczność ta była nie główną, ale jedną z głównych przyczyn, dla których zarzewie spisku, dążącego wprost do zbrojnego powstania, rzucone na trzy lata później przez Dembowskiego, Heltmanna, Wiśniowskiego i Mazurkiewicza, tak łatwo się przyjęło w tych rozhulanych obwodach, a natrafiło na opór w Galicyi wschodniej, gdzie szlachta nie była tak lekkomyślną.

Kiedy mój ojciec w zapusty do Tarnowa przyjechał, ażeby jaki tydzień ze mną przepędzić, i ten ruch z bliska obaczył, a zarazem spostrzegł, że u mego

dziada także się odbywają kolacye i partye, które późno w noc trwają, to chociaż się sam lubiał w dobrem towarzystwie rozerwać, zalecił mi w sposób bardzo stanowczy, abym tu tylko w dzień przychodził a wieczory spędzał w mojem mieszkaniu, gdzie w salonie pani Rudrofowej, kobiety wykwintnego ukształcenia, odbywały się prawie codziennie literackie i muzykalne zebrania. Nietrudno mi było zastósować się do tego zalecenia, bo gwarliwe zgromadzenia wieczorne u mego dziada nie miały żadnego uroku, a nawet i on sam tylko wtedy mnie zatrzymywał u siebie, kiedy nie było nikogo i kiedy mi kazał czytać głośno Krasickiego lub Trembeckiego, przyczem mi często coś opowiadał o ówczesnej Warszawie, zaczynając zawsze od słów: Bo trzeba ci wiedzieć, jak to wtedy było...

Jednak i jego karciane wieczory niedługo trwały. Wkrótce po Wielkiejnocy zaproszono nas obydwóch na jakieś wesele, czy imieniny, zdaje mi się, że do Zwiernika, leżącego niedaleko Tuchowa, do jakiegoś szlachcica, z którym on żył w bliskiej przyjaźni. Już na parę tygodni przedtem przygotowywał się na tę fetę, dobierając złote guziki i wisiorki dla mnie i dla siebie i rozmaite biżuterye, których miał wielkie mnóstwo jak w sklepie, dla panien na podarunki. Na to wesele ubrał mnie we frak fioletowy z takimże aksamitnym kołnierzem i z metalowymi guzikami, ale obszytymi w jakiegoś rodzaju krepę, kamizelkę z różowego aksamitu i takąż atłasową krawatę i w spodnie jasne *gris perle*, stosował się w tem do ówczesnej mody, bo wtedy czarne ubrania jeszcze nie były rozpowszechnione, a fraki noszono w najrozmaitszych kolorach.

Żałuję, że Goslar mnie w tym kostyumie nie widział, bo byłby był stracił do mnie zaufanie na zawsze i nie byłby później szukał u mnie schronienia, co mnie potem we Lwowie, chociaż się nie dowiedziano na pewno, że to był Goslar, naraziło na niemałe przykrości. Pojechaliśmy tedy na to wesele i podczas kiedy młodzież bawiła się tańcem przez całą noc, mój dziad przesiedział aż do białego dnia przy kartach. Wracaliśmy niewyspani i staruszek się trochę zaziębił. Od tego czasu już nie wychodził z pokoju i mało u siebie przyjmował. Jednego dnia wszakże, kiedym rano po szkole przyszedł do niego, nie zastałem go w domu. Wyszedł w czas rano ze swoim kamerdynerem a inni służący nie wiedzieli, gdzie poszedł, sam zaś, wróciwszy, także tego mi nie powiedział. Dopiero w parę dni potem dowiedziałem się od kamerdynera, że onego dnia był w katedrze, gdzie się spowiadał i przyjął przenajśw. Sakrament, a potem był z wizytą u księdza Wojtarowicza, ówczesnego biskupa. Dowiedziałem się także, że odtąd co rana, kiedy ja byłem w szkole, jakiś ksiądz odwiedzał go i zawsze odchodził, nim mogłem wrócić ze szkoły. Raz zapytałem go o to, ale dał mi wymijającą odpowiedź: widocznie krył się z tem przedemną, uważając tę skruchę za słabość charakteru, do której nie chciał się przyznawać przed ludźmi. Takie dziwne słabostki miewali ci ludzie, co się wychowywali pod wpływem wolteryanizmu: ale byli to jeszcze mniej zatwardziali poganie, niżeli materyaliści dzisiejsi, co się każą grzebać cywilnie. Wreszcie, z początkiem maja, jednego dnia wstał wcześnie od obiadu i powiedział do mnie: Dokończ sobie spokojnie obiad, ja się trochę przedrzemię,

bo mnie sen zbiera... Z tem poszedł do swego sypialnego pokoju, ubrał się w szlafrok, zdjął perukę i włożył białą szlafmycę na głowę, położył się na łóżku, na pikowanej kołdrze z zielonego atłasu, i zasnął. Ale jak wtedy zasnął sobie szczęśliwie. tak spi do dziś dnia, na Tarnowskim cmentarzu.

Żył szczęśliwie, wesoło i długo, i śmierć miał szczęśliwą, zwłaszcza że na czas przedtem, z zupełną świadomością siebie a więc z przekonania, pogodził się z Bogiem. Ale po jego śmierci całkiem niespodziewane porobiły się awantury, o których także tu wspomnę, bo i to tamte czasy maluje. Zaraz popołudniu, kiedy wieść o jego śmierci się rozeszła po mieście, wpadli pewni ludzie do jego mieszkania, którzy przedtem u niego bywali, i zaczęli buszować po jego papierach, przyczem tyle tych papierów nadarli, że je w koszach wynosili do kuchni i tam palili. Zaprotestowałem przeciwko temu, ale jeden z nich odpowiedział mi sucho, a nawet niegrzecznie, że to do mnie nie należy. Nie mając doświadczenia w tych rzeczach i nie wiedząc, co robić, prawie tylko instynktem wiedziony, pobiegłem do komornika, ale komornik, nazwiskiem Wisłocki, wyjechał był właśnie w kilkudniową podróż po wioskach. Poszedłem do biskupa po radę a biskup kazał mi wysłać sztafetę do ojca. Ojciec przyjechał, ale dopiero we trzy dni, tak, że tylko mógł jeszcze być na jego pogrzebie. Chociaż się dowiedział odemnie, jak ci panowie pogospodarowali w jego papierach, nie przedsięwziął przeciwko nim żadnych kroków sądowych, bo nie chciał wywoływać kryminalnych procesów. Bawił przez kilkanaście dni w Tarnowie i wyjechał z nadzieją, że tę sukcesyę po swoim wuju jeszcze wyratuje, ale

ta nadzieja go później zawiodła. Albowiem ta część jego ruchomego majątku, którą porozpożyczał na słowo honoru albo na proste rewersy, skutkiem owego podarcia papierów naturalnie przepadła, zaś do tego, co miał w nieruchomościach, na hipotekach, a oprócz tego w klejnotach i srebrach a było tego bardzo dużo, bo miał dziewięć cetnarów samych sreber stołowych, zgłosił się jakiś baron Roth, który był wówczas starostą gdzieś na Morawach i wywiódł się jako jego syn, wprawdzie przedślubny, ale przez niego przyznany. Z tego wywiązał się proces, ale ażeby wówczas wygrać proces przeciwko staroście, potrzeba było być co najmniej gubernatorem, zaczem mój ojciec po dwóch czy trzech latach wdał się w jakieś układy, ale i to podobno bez skutku, bo we cztery lata potem rzeź nastąpiła, myśmy dostali się do więzienia a Niemcy tak wzięli górę nad nami, iż wątpię bardzo, aby się byli chcieli wdawać w jakiekolwiek układy.

Również skutkiem owego darcia papierów mój ojciec wziął mnie od Rudrofa, a natomiast, zapewne *in signum jurisdictionis*, ulokował mnie w pomieszkaniu nieboszczyka dziada. Odtąd bawiłem już tylko dwa miesiące w Tarnowie, ale ten czas dobrze pamiętam, bo wtenczas po raz pierwszy w mem życiu świat mi się przedstawił w postaci smutnej i brzydkiej. Naprzód, po raz pierwszy widziałem śmierć z bliska i już to samo mnie napełniło melancholią i smutkiem.

Również po raz pierwszy podówczas widziałem ludzi niby przyzwoitych i ukształconych a popełniających oczywistą zbrodnię, niszcząc książki, listy i kwity, które bez wątpienia stanowiły dowody ich

długów a zapewne i ich przyjaciół. Mnie się dotychczas zdawało, że kraść i rozbijać może tylko chłop prosty, nie mający żadnego ukształcenia, teraz zaś obaczyłem zbrodniarzy, którzy jak wszyscy ludzie dobrego towarzystwa chodzą we frakach i codziennie zmieniają koszulę. Czując się dotąd zupełnie bezpiecznym pomiędzy ludźmi dobrego wychowania, odtąd przy pomocy rozbudzonej wyobraźni zdawało mi się, jakobym był otoczony samymi złodziejami i oszustami. Do tego zbudzenia się uczuć pessymistycznych przyczyniła się wreszcie i ta okoliczność, że właśnie wtedy rozpoczęły się owe indagacye władz szkolnych z powodu ucieczki Goslara i Kółek, zawiązywanych pomiędzy studentami, tak przez niego, jak i przez innych emisaryuszów, i padło na mnie podejrzenie, jakoby odemnie rozchodziły się książki zakazane pomiędzy kolegów. To wszystko razem wziąwszy, spowodowało mnie do zamknięcia się w sobie i unikania stosunków z ludźmi, którzy kręcili się między studentami, a zarazem do usunięcia się od kółek studenckich. Jakkolwiek był to koniec wiosny i początek lata, siadywałem po całych dniach w domu i wtedy przeszedłem z większą uwagą co głośniejszych klasyków polskich, którzy w zupełnym komplecie znajdowali się pomiędzy książkami mojego dziada. Ze zdaniem egzaminów szóstej klasy skończyła się wreszcie ta moja dwumiesięczna niewola, ojciec przyjechał sam po mnie, aby mnie wziąć na wakacye — a po wakacyach odwiózł mnie na uniwersytet do Lwowa.

VII.

Przez te cztery lata, od roku 1838 do 1843, Lwów się zmienił cokolwiek.

Było to jeszcze zawsze miasto, że tak powiem, szlacheckie, bo szlachta przeważała w niem liczbą, majątkiem, znaczeniem i ukształceniem. Wszyscy zamożniejsi obywatele wschodniej Galicyi przepędzali większą część roku, a choćby tylko zimę, we Lwowie: wielu z nich miało tam własne pałacyki lub dworki, inni najęte roczne mieszkania, a oprócz tego jeszcze i domy zajezdne były przez całe zapusty a potem podczas kontraktów, wiejską szlachtą nabite. Dwór arcyksięcia Ferdynanda, ożywiony jeszcze podówczas zamieszkaniem młodego księcia Modeny we Lwowie, będący punktem centralnym salonowego życia, nadawał temu towarzystwu pewien ton, w którym mocno się przebijała dworszczyzna. Ta dworszczyzna miała na sobie nietylko charakter arystokratyczny, ale zaczęła wówczas także przybierać znamiona tej salonowej religijności, której chodzi przedewszystkiem o pozory katolickiej prawowierności, a która we wszystkich odłamach austryackiego dworu jest tradycyjną. Pod wpływem arcyksięcia i Jezuitów, którzy gęsto otaczali jego osobę i opiekowali się jego sumieniem, potworzyły się nawet domy, które pobudowały kaplice u siebie i w któ-

rych się na prywatne nabożeństwa lub konferencye zbierano, czego dotychczas we Lwowie nie było.

Szlachta, przemieszkująca we Lwowie, jeszcze dlatego się nie zniemczyła, jak to utrzymują niektórzy dzisiejsi pisarze: ale duch, który na nią wiał od arcyksiążęcych salonów a któremu ona chętnie się poddawała, był monarchiczny, absolutystyczny, arystokratyczny, upokostowany konwencyonalną religijnością i w gruncie rzeczy więcej austryacki, niż polski.

Może to nie było apostazyą, ani z uczucia, ani z przekonania, ale dla przypodobania się temu miniaturowemu dworowi, dla pozostania w łonie tego prądu, który wtedy wziął górę, dla dopełnienia warunków ówczesnej salonowości, unikano w tych sferach wszystkiego, co przypominało przeszłość patryotyczną i polską. Kontusze pokazywały się już tylko na paradnych otwarciach postulatowego Sejmu, a i tam wielu, którzy się dawniej nosili po polsku, poubierało się w mundur granatowy z epoletami i stosowany kapelusz. Na arcyksiążęcych salonach nikt się nie pokazywał w stroju polskim, nawet ci, którzy mieli legią honorową francuską, nie nosili jej oznak — a pomnę, że kiedy około tego czasu Leon Rzewuski przyszedł na bal do arcyksięcia w kontuszu, to uważano to za tak niezwyczajny wypadek, że o nim przez kilka tygodni mówiono, ale mu przebaczono ten wybryk, bo nie śmiano krytykować magnata, który swojem świetnem imieniem, swoją wyniosłą postacią i swojem ukształceniem, przenoszącem miarę przeciętną, wszystkim zaimponował.

Literatura polska nie miała do tych sfer prawie wcale przystępu, uważano ją jako niezmiernie

ubogą, pisaną w złym smaku, nie zajmującą i niegodną uwagi; czytano tylko francuskie romanse Aleksandra Dumasa, Balzac'a i pani George Sand i dyskutowano szczegóły w nich czytane z nadzwyczajnem zajęciem, przyczem nieraz można się było nasłuchać subtelności tak niesłychanie głupich, że się stawały dowcipne i pozostawały w pamięci słuchaczy. W tych sferach wychowała się wówczas warstwa młodzieży, którzy nie umieli nawet listu napisać po polsku, pisali także źle po francusku, ale literatury polskiej do tego stopnia nie znali, że jeden z nich raz się zapytał: *Qu'est ce que ça que Monsieur Mickiewicz?* co jednak obudziło głośny śmiech nawet w tem towarzystwie. Ta młodzież chodziła niby do szkół cokolwiek, zdawała egzamina prywatnie albo i nie zdawała, potem ją wyprawiano niby to na nauki, ale właściwie tylko na wojaż do Paryża, gdzie zazwyczaj bawiła dwa lata, wracała stamtąd z ogromną swadą w języku francuskim, a chociaż już po jej francuzczyźnie nietrudno było poznać, w jakich sferach tam żyła, wszystko było dobrze, żeniła się przyzwoicie i ile możności bogato i tonęła napowrót w tem samem gronie, z którego wyszła. Grono to wszakże nie miało żadnej idei, żadnego wyższego celu przed sobą: romansiki, intryżki, ploteczki, — jakaś dama, przybyła ze wsi, miała *une coiffure affreuse* na tej lub owej recepcyi, inna zanadto długo rozmawiała z arcyksięciem lub generałem, trzecia z jakiegoś balu gdzieś nagle zniknęła, ten albo ów kawaler sprowadził sobie suknie z Paryża a inny przyszedł na jakąś wizytę w tużurku, a nie w surducie zapinanym na dwa rzędy guzików, to było przedmiotem konwersacyi, jakie się

na samych zebraniach męskich i na wieczorach toczyły. Stąd wyrobił się w tem towarzystwie pewien ton tylko jemu właściwy, jakiego w żadnem innem polskiem mieście nie było, a zarazem pewna ekskluzywność, idąca do tego stopnia, że kto tam chciał być uważanym za swego, ten nie mógł się nawet przyznać do tego, że zna kogoś, który do tego grona nie należy. Był to sobie świat, a raczej światek, ani moralnie gorszy, ani obyczajowo więcej zepsuty, tylko więcej widoczny niż warstwy inne, i dlatego o nim tak wiele gadano, a nawet pisano, — ale był czczy i lekki, pełen najrozmaitszych śmieszności, a próżen uczuć patryotycznych. W tym świecie, jak się nie zajmowano literaturą polską, tak samo także nie miano żadnego zmysłu dla spraw narodowych: tam tylko głuche chodziły wieści o jakichś straszliwych ludziach, co przybywają z Paryża, włóczą się po kraju i namawiają młodzież do rewolucyi, ale opiekuńczy rząd ma na nich oko, chwyta ich i pakuje do kozy — a przeto nie ma się czego obawiać.

Wszelako w tej samej warstwie społecznej byli ludzie rozumni i ukształceni, nie rewolucyoniści i nie demokraci, ale szczerze kraj miłujący i zajmujący się jego sprawami, jak książę Henryk Lubomirski, przebywający często we Lwowie, książę Leon Sapieha, Aleksander Fredro, Kazimierz Krasicki, Wincenty Skrzyński, Kazimierz i Aleksander Stadniccy, Felicyan Laskowski, Gwalbert Pawlikowski, Antoni Mysłowski, Piotr Trzciński i wielu innych, którzy mieli oczy otwarte na wszystko i zdrowy sąd o tem, co się działo koło nich. Z inicyatywy księcia Leona Sapiehy, ucznia księcia Lubeckiego, ministra skarbu w Warszawie, a za ich współdziałaniem, założono

pod owe czasy Kasę oszczędności i Towarzystwo kredytowe, wyrabiano projekty do innych instytucyi podobnych i wytężano wszystkie siły ku temu, ażeby otrzymać pozwolenie od rządu do zniesienia poddaństwa i zrzeczenia się pańszczyzny w zamian albo za czynsze, albo za jakąś spłatę w długoletnich terminach. Tam panowało wtenczas żywe zaniepokojenie z powodu spisków i agitacyj patryotycznych, bo się obawiano, że te agitacye prędzej lub później doprowadzą do jakiegoś zbrojnego ruchu, a jak z jednej strony nie wierzono, ażeby taki ruch mógł się udać, tak z drugiej znów nie ufano ówczesnemu rządowi, widziano go bezsilnym i niezaradnym i podejrzywano go o to, że w razie wybuchu gotów jest nie tylko użyć Bóg wie jak krwawych środków represyjnych, lecz nadto jeszcze i potem Bóg wie na jak długie lata przygnieść kraj jeszcze daleko cięższą niewolą. Wprawdzie po tak licznych uwięzieniach, dokonanych w roku 1841, zdawało się zrazu, że wszystkich agitatorów już wyłowiono i że odtąd propaganda patryotyczno-rewolucyjna osłabnie, a może nawet na dłuższy czas całkiem ustanie: ale się w tem omylono, bo duch patryotyczny w kraju już był wtedy tak rozbudzony, że te aresztowania, chociaż tak liczne, były właśnie jakgdyby oliwą wylaną na ogień, wywołały one tylko powszechne oburzenie, liczba rodzin, dotkniętych prześladowaniem, bardzo znacznie się pomnożyła.

Kto dotąd o patryotyzmie mało co myślał, ten został przejęty nienawiścią ku Niemcom; duch oporu się po całym kraju rozszerzył, a już to samo zapewniało emisaryuszom jak najlepsze przyjęcie, którzy

też teraz jeszcze daleko liczniej przybywali do kraju, niż dotąd.

Wśród tego czasu podrosło także nowe pokolenie młodzieży szkolnej, które wychowane w duchu romantycznym, a przeto patryotycznym i rewolucyjnym, ożywiane ciągle publikacyami pełnemi wolnomyślnych idei, przekradającemi się teraz już nietylko z Paryża, ale także i z Księstwa, gdzie literatura polska silnie się rozwinęła, nie potrzebowało już wcale emisaryuszów, bo starsi mogli już funkcyonować jako nauczyciele młodszych. Wówczas zresztą literatura polska już i we Lwowie się wzmogła cokolwiek: „Dziennik mód paryzkich“ był niejako organem patryotycznych i liberalnych idei, kto umiał czytać pomiędzy wierszami, ten się i w „Rozmaitościach lwowskich“ postępowych idei doczytał i byli już miejscowi polscy pisarze, jak Bielowski, Borkowscy, Dzierzkowski, Wagilewicz, Szajnocha, którzy byli bardzo popularni pomiędzy młodzieżą, nie wspominając wcale o Polu, który był bogiem tego Olimpu, a którego każdy wiersz nowy rozchwytano, przepisywano i na każdem zebraniu młodzieży deklamowano. Toż kiedy wówczas przyjechałem do Lwowa, byłem prawie zdziwiony, do jakiego stopnia tamtejsza młodzież szkolna wyjarzmiła się z pod wpływów niemieckich i stała się polską i patryotyczną. Właściwych spisków, przynajmniej o ile wiem, pomiędzy nią wtedy nie było, ale były kółka odrębne, które ze sobą trzymały; kółka te różniły się pomiędzy sobą temperaturą uczuć patryotycznych, mniejszą lub większą skłonnością do pewnych gałęzi nauk i naturalnie sposobem życia i bycia po za szkołą według familijnych stosunków ich członków, ale

wszystkie były na wskróś przejęte duchem polskim, a niektóre z nich mniej albo więcej duchem rewolucyjnym.

Mój ojciec, będąc zdania, że młodemu człowiekowi, który już umie sam myśleć, należy zostawić jak najwięcej swobody, aby się rozwijał i kształcił wedle swoich wrodzonych popędów, a rodzice powinni tylko uważać, ażeby na bezdroża nie poszedł, przywiózłszy mnie do Lwowa, zostawił mi co do umieszczenia się zupełną swobodę. Przyjechał był wtedy z nami do Lwowa Ksawery Urbański, który był już na prawie, później bogaty, dziedzic na Haczowie, Odrzechowej i innych majątkach, wówczas zostający pod opieką mojego ojca. Ten, jako już obeznany z życiem studenckim, poradził mi, abym się ulokował tak samo jak on z jakim kolegą z tej samej klasy we własnem mieszkaniu, a stołował się w restauracyi, gdzie i on się stołuje. Jakoż zaraz mnie zaznajomił z Leopoldem Rossowskim, którego rodzice mieli także majątek w Sanockiem, a który razem ze mną zapisał się na pierwszy rok filozofii, zaczem najęliśmy sobie we dwóch dwa pokoiki w kamienicy narożnej na Pańskiej ulicy naprzeciwko tyłów bernardyńskiego kościoła, a mój ojciec dodał nam do usługi starego kamerdynera Rogowskiego, żołnierza z wojsk napoleońskich i z armii konstantynowskiej, który nam był lokajem, kucharzem, klucznikiem, bibliotekarzem, a często także mentorem.

Rossowski cokolwiek starszy odemnie, bo także gdzieś rok stracił po drodze, był typem doskonałego akademika, tak pod względem prowadzenia się i obyczajów, jak i pilności w naukach, a przytem miał ten samorodny pęd w sobie, który przy młodego

człowieka do osiągnięcia we wszystkiem najwyższej doskonałości. Za jego przewodem zabraliśmy bliską znajomość z profesorem filozofii Hanuschem, który później zostawił po sobie znakomite prace o mitologii słowiańskiej i z jego ówczesnym adyunktem Bratrankiem, późniejszym profesorem na uniwersytecie jagiellońskim, który się nauczył po polsku i także wiele dzieł zostawił po sobie, a między innemi dwie bardzo uwagi godne rozprawy o Polu. Hanusch, dawniej mnich w zakonie Norbertanów, a wtedy, chociaż człek świecki i jeszcze młody, jednak bardzo poważny i benedyktyńskiej pracowitości, lubił młodzież i chętnie ją gromadził około siebie po za szkołą, a że był zwolennikiem systemu Hegla, więc prowadził niejako ponad swe obowiązki propagandę tego systemu i jego zasad, dając im wszakże kierunek jeszcze o wiele wolnomyślniejszy od niego. Bratranek zaś był estetykiem, ale miał także w sobie niemało ducha apostolskiego i jeszcze więcej i częściej obcował z młodzieżą, niżeli Hanusch jako zwyczajny profesor.

U Hanuscha bywaliśmy czasem po szkole i miewaliśmy od niego książki filozoficzne, traktujące o logice i psychologii, które nam objaśniał, a potem starał się wyrozumieć, czyli i jakeśmy je pojęli; Bratranek zaś nas nawet w domu odwiedzał i wdawał się z nami w rozprawy o dziełach Goethego, lecz przedewszystkiem Szyllera i Jana Pawła Richtera, dla których entuzyastyczne miał uwielbienie. Bywał u nas jeszcze trzeci profesor, nazwiskiem Kuer, doktor medycyny, który, jak mi się zdaje, naturalną historyę wykładał: ten, bardzo jeszcze młody naówczas, był nam już nie profesorem, lecz przyja-

cielem, ale ta przyjaźń stała się później fatalną dla Rossowskiego.

Mając takich nauczycieli, wdrażaliśmy się powoli w nauki, które nam otwierały daleko szersze widoki w świecie wiedzy ogólnej, niżeli te, jakie nam dotąd mogli otworzyć profesorowie gimnazyalni, którzy sami chodzili w pętach szkolnego biurokratyzmu: ale pomimo to nie zaniedbywaliśmy także literatury polskiej. Pomnę, że wówczas, oprócz publikacyj poznańskich, w których rozprawy Libelta i Moraczewskiego bardzo żywo nas zajmowały, dostaliśmy nieznane nam dotąd „Pomniki historyi i literatury polskiej“ Michała Wiszniewskiego i tegoż samego autora pierwsze tomy „Historyi literatury polskiej“, a rzeczy te tak rozbudziły naszą ciekawość, żeśmy ciągle nad niemi siedzieli i niemal codziennie chodzili do Ossolińskich Zakładu, albo do Biblioteki uniwersyteckiej, ażeby sobie znalezione w nich wiadomości z innych książek dopełniać. Rossowski namiętnie chciwy nauki i wiedzy, tak się zagryzł w te studya, że nawet nauki szkolne zaniedbał.

Tymczasem w klasie potworzyły się frakcye, które przybrały pewien osobny niejako polityczny charakter i jako takie miały pewną odrębną notę u wyższych władz szkolnych, które po staremu się zajmowały policyą; było nas kilkunastu, którymi Hanusch szczególnie się opiekował, a Hanusch sam już wtedy nie bardzo dobrze był notowany w tej szkolnej komisyi; z tego powodu nazywano nas heglistami, libertynami i bezbożnikami — a za zbliżaniem się egzaminów z pierwszego półrocza, nietylko że nam prywatnie dawano admonicye, ale za-

częto nam zapowiadać, że będziemy ze wszystkich przedmiotów daleko ostrzej egzaminowani, niż wszyscy inni. Rossowski, we wszystkiem nadzwyczaj skromny, lecz obok tego pełen tej ambicyi, którą można było pochwalić, zawziął się wtedy i mnie za sobą pociągnął, aby zdać egzamina, nietylko dobrze, lecz świetnie — i przesiedzieliśmy wtedy nie wiem już wiele nocy do białego dnia nad szkolnemi skryptami. Mnie to jakoś nie zaszkodziło, ale on, słabszy na zdrowiu, mocno się zmęczył. Po ostatnim egzaminie, ponieważ pomimo zimy było ciepło natenczas, bo jakiś kometa przechodził, o którym powiadano, że ogonem dotyka ziemi, poszliśmy na Wysoki Zamek, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i Rossowski się trochę zaziębił. W nocy było mu źle, nazajutrz rano przed świtem prosił mnie, abym posłał po Kuera, Kuer wziął go w kuracyę, ale jako niedoświadczony, źle go kurował. Rossowski trzeciego dnia wieczór stracił przytomność, Kuer sam mi zaproponował, ażebym zwołał konsylium, w nocy śród ulewnego deszczu pojechałem do doktorów, około północy odbyło się konsylium, a doktorowie rozjechali się, zapewniwszy mnie, że to wprawdzie jest tyfus, a więc choroba niebezpieczna, ale młodość wszystko przemoże. Jednak kiedym wracał od bramy, do której odprowadziłem doktorów, stary Rogowski czekał już na mnie w sieni w czapce na głowie i powiada mi: Oto, panie, osły, a jeszcze do tego poganie, żeby dać człowiekowi umierać bez sakramentów, pójdę ja po księdza... I zaraz zniknął w otwartej bramie. Słowa te tak mnie przeraziły, żem sam stracił przytomność. Pobiegłem do chorego: otworzył na mnie swoje wielkie niebieskie oczy

i podał mi rękę ale już nie mógł słowa wymówić. Chciałem go pocieszyć, ale mnie płacz porwał tak silny, żem się musiał odwrócić od niego, aby go nie przerażać. Wszystkie drzwi stały otworem, bo w roztargnieniu zapomniałem je zamknąć. Niebawem dał się słyszeć dzwónek w podwórzu: głos tego dzwonka, po latach pięćdziesięciu, jeszcze dzisiaj mam w uchu. Ksiądz przyszedł, stary bernardyn z białemi włosami i dał mu absolucyę *in articulo mortis;* Rogowski i ja klęczeliśmy w kącie pokoju, kiedy ksiądz odmawiał modlitwy. Wśród tego czasu Rogowski, który się znał na modlitwach, dał mi jakiś znak ręką. Ksiądz, wychodząc z pokoju, zabrał mnie z sobą do sieni i tam mi dał naukę, że nie trzeba było czekać na konsylium doktorów, bo Boskie konsylium jest lepsze i nie kończy się śmiercią człowieka.

Kiedy wróciłem do pokoju, Rossowski już nie żył. Ostatnia modlitwa, którą ksiądz przy jego łóżku odmówił, była już modlitwą za umarłych. Zdawało się, jakgdyby chory czekał tylko na ten wiatyk, ażeby wydać ostatnie tchnienie ze siebie...

Z powodu tej śmierci doznałem głębokiego wstrząśnienia. Nie była to uczuciowość nerwowa, ale ból serdeczny i krwawy za przyjacielem, który był mi więcej niż bratem, a zarazem i przewodnikiem. Pod naciskiem tego niewymownego bolu, serce zaczęło się miotać w niecierpliwości, a młoda wyobraźnia zaczęła się rozigrywać. Pytałam siebie: gdzie jest sprawiedliwość na ziemi? Oto takiego młodzieńca, który dopiero się zaczął rozwijać i byłby pewnie zajaśniał niezwykłym blaskiem pomiędzy ludźmi, śmierć ścięła — i dlaczego? Oto dlatego, że

wszystkie siły wytężył, ażeby egzamina zdać świetnie i mimo prześladowania wyjść jako pierwszy z pomiędzy najlepszych? Kto tu rządzi tym światem, gdzie takie cnoty śmiercią się karzą? Dopiero przed kilku dniami wyszedł z tryumfem z ogniowej próby i zdało mu się, że świat zwyciężył — a dziś, cóż z niego zostało? Nic, tylko garść prochu. Gdzie jest to, co w nim żyło? Gdzie jego złote serce, gdzie umysł, obejmujący cały świat myśli, gdzie silna wola, panująca nad wszystkiemi myślami, gdzie ta nieprzeparta energia, która wszystkie przeszkody przemogła i poprowadziła go do zwycięztwa? A jeśli to wszystko jeszcze gdzieś żyje, gdzie to jest? Gdzieby to można odszukać, gdzie jego znaleźć, aby mu przynajmniej powiedzieć, jak serdeczny żal zostawił po sobie... Młody człowiek, któremu oczy na świat się zaczynały otwierać, chciałby wszystko wiedzieć od razu, a nie mając, ktoby mu wskazał, co można wiedzieć, a w co trzeba wierzyć, rozbija sobie głowy o najdziwaczniejsze pytania.

Pogrzeb Rossowskiego odbył się przy nadzwyczajnym napływie akademików i profesorów, bo było rzeczą powszechnie wiadomą, że ten młodzieniec umarł z natężenia przy nocnej pracy przed egzaminem. Byli nawet ludzie, którzy na to mruczeli, mówiąc, że Niemcy umyślnie zbyteczną pracą nas zabijają. Kondukt prowadził nasz profesor religii, nazwiskiem podobno Amtmann, który według naszego rozumienia, a może tylko uprzedzenia, najwięcej nas prześladował. Kiedym szedł za trumną, profesor Kuer zbliżył się do mnie, a widząc, że jestem tak zupełnie rozbity z żalu, usiłował mnie przekonać, że żałowanie za umarłymi jest dziecinnym zwyczajem,

a zarazem dowodem, jak ludzie w ogóle jeszcze mało są oświeceni. Śmierć jest faktem w naturze, który należy z taką samą rezygnacyą i obojętnością przyjmować, jak przyjmujemy dzień i noc, ciepło i zimno, deszcz i pogodę: jak ludzie za przewodem nauki swego czasu się przekonają, że po człowieku umarłym nic więcej zostać nie może, jak tylko garść prochu, a istnienie jakiejś duszy ludzkiej po śmierci ciała jest absolutną niemożliwością, a przeto największą niedorzecznością, to wtedy się także ze śmiercią oswoją i przestaną płakać za umarłymi. Ten Kuer niesłychanie mnie nudził natenczas, ja sam zacząłem w wątpliwości popadać i takbym pragnął był, aby mnie ktoś upewnił, że jest jakiś świat zagrobowy, w którym znajdujemy sprawiedliwość i te wszystkie nagrody, jakich nam tu odmówiono — a on wie pewnie, że nic nie masz za grobem, tylko noc czarna i cisza i nicość na wieki... Przecież po pogrzebie stary Michalewicz, profesor literatury polskiej, który niewielu miewał słuchaczy, ale nas liczył pomiędzy nimi, zlitował się nademną, wsiadł ze mną do powozu, zawiózł mnie do siebie, przez cały wieczór zatrzymał przy sobie i wyłożył mi naukę o nieśmiertelności duszy, w którą sam wierzył, co mnie przynajmniej na chwilę podniosło. Jeżeli się zdarzył jaki profesor Polak, to ten zazwyczaj, czy sam był mniej albo więcej gorliwym we wierze, przynajmniej miał wzgląd na chrześcijańskie wychowanie młodzieży: ale profesorowie Niemcy byli wszyscy ateuszami i co najwięcej przypuszczali tylko, jak Hoblocs, potrzebę religii państwowej.

Śmierć mego ukochanego Rossowskiego długo nie mogłem przeboleć, ale poruszyła ona we mnie

zarazem wiele myśli, których dotychczas nie miałem. Obudziła skłonność do rozmyślania nad zagadnieniami filozoficznemi a przytem zniewoliła mnie do głębszego zastanowienia się nad ówczesnym systemem szkolnym, który przedewszystkiem wydał mi się niedostatecznym, bo nie dozwalał swobodnego rozwoju przyrodzonych zdolności, a oprócz tego w dążności swej poprostu haniebnym, bo jego duch, nawskróś biurokratyczny, był w swoim gruncie ateistycznym a w swej naturze serwilistycznym, bałwochwalczo uwielbiającym ideę państwa, bez względu na to, czy to państwo odpowiada także potrzebom społeczeństwa, czy nie.

Ale młodość ma ten przywilej, że nie daje się opanować jednemu wrażeniu, tylko z równą czułością poddaje się dalszym wrażeniom, aż póki nie dożyje tej dojrzałości rozumu, w której wszystkie otrzymane wrażenia zsumuje i wyciągnie z nich jakiś mniej więcej już ustalony sposób zapatrywania się na świat i życie.

Po zniknięciu Rossowskiego zostało mi całe kółko innych kolegów, z którymiśmy żyli i wymieniali codziennie nasze uczucia i myśli. Po tylu latach nie mogę ich wszystkich pamiętać, pomnę tylko, że należeli do niego: Oswald Bartmański, późniejszy wice-prezydent namiestnictwa, Władysław Drohojowski, który później służył w dyplomacyi austryackiej i umarł młodo, dwóch braci Pinińskich, dwóch Romaszkanów, Ignacy Cywiński, Józef Nikorowicz, późniejszy dziedzic Zboisk pod Lwowem i kompozytor muzyki do pieśni Ujejskiego „Z dymem pożarów“, Alfred Majewski, Runge-Bojowski, Władysław Dybowski, zamęczony w r. 1846, Jan Bal, mój są-

siad w Sanockiem, który także młodo zszedł z tego świata — i wielu innych, nawet od nas o parę lat starszych, a między nimi i takich, którzy nie chodzili do szkół publicznych, tylko wychowywali się w domu, ale do nas się radzi garnęli dla zakazanych dzienników i książek, któreśmy zawsze miewali a o które niełatwo było natenczas.

Bal i Dybowski mieli bardzo obszerne mieszkanie przy Nowej ulicy, zaczem u nich najczęściej odbywały się nasze schadzki i te dysputy, od których nieraz szyby brzęczały w oknach a które często trwały do późnej nocy. Duch, który w tem kółku panował, był gorąco patryotyczny, ale z politycznego punktu widzenia rozsądny i umiarkowany a w każdym razie nie-rewolucyjny. Jeden tylko Dybowski, młodzieniec smukły, nadzwyczajnie przystojny i pełen ideałów jak piętnasto-letnia dziewczyna, był wbrew swojej idealnie pięknej postaci zewnętrznej rewolucyonistą z uczucia i przekonania: jakoż w roku 1846 wpadł gdzieś w Samborskiem, czy Stryjskiem w ręce jakichś zaciekłych Niemców, którzy chcąc z niego wydobyć jakieś zeznania, tak go nielitościwie i po barbarzyńsku męczyli, że dostał pomięszania zmysłów i umarł potem w więzieniu. Niech się tu jego pamięć zachowa, jako jednego z tych męczenników za Polskę, których nawet nazwiska zginęły w morzu zapomnienia...

Kwestya patryotyzmu, idea wyswobodzenia całej Polski w jej dawnych granicach, obowiązek poświęcenia się dla tej idei, nie ulegały pomiędzy nami żadnej dyskusyi, bo to się już samo przez się rozumiało i stanowiło nienaruszalną zasadę: dyskutuwaliśmy tylko środki, któremi do tego celu dążyć

należy, i pod tym względem byliśmy wszyscy jednego zdania, że nierozważne zerwanie się do zbrojnego powstania byłoby błędem niedarowanym, że przedewszystkiem należy się wzmocnić na siłach i że do tego wzmocnienia sił dojść możemy tylko przez uobywatelenie ludu i rozszerzenie oświaty. A ponieważ my, w naszem położeniu, nie mieliśmy z ludem żadnych styczności, więc zajmowaliśmy się wyłącznie tem, co się odnosiło do rozszerzania oświaty, ale oświaty, ile że młode umysły sięgają zazwycza daleko, w jej najobszerniejszem znaczeniu. Pod względem pojmowania zadań cywilizacyjnych, czysto z polskiego, czy też z ogólno-ludzkiego punktu widzenia. Poznańskie stało wówczas wyżej niż emigracya.

Wychodził tam wtenczas „Rok“, miesięcznik zapełniony zawsze rozprawami o kwestyach wyższego znaczenia; wychodziły inne pisma równie dobrze redagowane, jak „Przyjaciel ludu“, „Orędownik naukowy“ i „Dziennik domowy“; wydawano tam wreszcie, wszystkie dzieła Lelewela, Libelta, Trentowskiego, Moraczewskiego, Cieszkowskiego i wielu innych; zgoła panował tam bardzo ożywiony ruch literacki i naukowy, który się po całej Polsce rozszerzał. Nawet z Warszawy dochodziły nas pisma peryodyczne, redagowane jeżeli nie z bardzo szerokim, to przynajmniej z wyższym poglądem, jak „Przegląd naukowy“ Dembowskiego i Skimborowicza, „Biblioteka Warszawska“, „Ateneum“, „Tygodnik petersburgski“ i wiele innych, — podczas kiedy pisma emigracyjne kręciły się w ciasnem kółku propagandy demokratycznej a nawet demagogicznej, która wówczas do tego stopnia opanowała całą tamtejszą literaturę, że nawet prace niby historyczne, które tam

wychodziły, miały nie historyczną naukę, tylko tę propagandę na celu. Otrzymywaliśmy wprawdzie stamtąd prelekcye Mickiewicza o literaturze słowiańskiej, które otwierały szersze poglądy na cywilizacyę ogólną i obiegały pomiędzy nami nawet w odpisach tak, jak nasze skrypta akademickie, ale wtedy te prelekcye już ulegały wpływom Towianizmu — a Towianizm nie miał pomiędzy nami żadnego odgłosu, owszem, przeciwnie został osądzony od razu jako pożałowania godna aberracya umysłów emigracyi, mająca swe źródło w niecierpliwej tęsknocie za krajem.

Wszelako zdania i sądy tak o literaturze poznańskiej i emigracyjnej w ogóle, jak w szczególności o filozofii Trentowskiego, który wówczas dopiero co był wystąpił ze swoją niepomału dziwaczną „Chowanną“, jak o publistyce demokratycznej, a wreszcie o całej poezyi proroczej, bardzo się między nami dzieliły, i o to właśnie toczyły się między nami tak żywe dysputy, że od nich nieraz okna brzęczały. Od czasu do czasu zachodzili do nas ludzie starsi, ażeby na nas wpływ swój wywierać, a pomiędzy nimi zdarzył się nieraz ten i ów emisaryusz, którego nam zawsze Dybowski przyprowadzał, a który nam zwykle *ex cathedra* wykładał zasady rewolucyjne. Byli wprawdzie emisaryusze, którzy działali na własną rękę, mało się troszcząc o instrukcye, które przychodziły z Paryża, a raczej z Wersalu; ale wszyscy ważniejsi stali mniej więcej pod wpływem centralizacyi wersalskiej i działali w jej duchu. Centralizacya, w którą już wtedy biurokracya, a raczej doktrynerya silnie wtargnęła, nie była wprawdzie za wywołaniem zbrojnego powstania ani w jakimś danym terminie, ani

nawet w czasie najbliższym: owszem uznając sama, że kraj nie był jeszcze do rewolucyi przygotowanym, myślała wówczas o zakładaniu szkół wojskowych i politycznych; wywołanie powstania odkładała do czasów późniejszych, a tymczasem usiłowała tylko usposobić umysły w kraju w duchu demokratycznym, i rewolucyjnym: ale zawsze ostatnią myślą jej propagandy było zbrojne powstanie i to powstanie wyłącznie o własnych siłach przeciwko wszystkim trzem zaborowym mocarstwom od razu, a pod temi siłami, która usiłowała wytworzyć, rozumiała lud wiejski. Jakkolwiek byliśmy młodzi i mieliśmy tylko pretensyę do politycznego rozumu, a wyrozumowanego sądu o takich kwestyach jeszcześmy mieć nie mogli, jednak tę myśl zasadniczą centralizacyi uważaliśmy jako doktrynerską teoryę, której w żaden sposób zrealizować nie można. Zdanie nasze było raczej utworem instynktu, niż rezultatem kalkulującego rozumu, ale ten instynkt był trafny: albowiem znając lud wiejski, bośmy się wszyscy wychowali na wsi, nie mogliśmy przypuścić, ażeby ta ciemna masa, która nie miała nawet żadnej tradycyi o Polsce, dała się poruszyć do poświęcenia krwi swojej za Polskę. Zbrojne powstanie przeciwko trzem mocarstwom z kosami w rękach, bez żadnego zawiązku armii regularnej, bez armat, bez oficerów a zresztą i bez pieniędzy, wydawało nam się potem szaleństwem — a oprócz tego jakaś Rzeczpospolita czysto ludowa, po prostu chłopska, którąby rządzili emisaryusze i ich przyjaciele, nie odpowiadała wcale ani tym marzeniom o Polsce, jakieśmy nabyli z historyi. Ci emisaryusze, którzy do nas zachodzili, tracili swój czas napróżno, nawet lepiejby zrobili, gdyby byli nie przychodzili,

bo nietylko, że nas nie przekonali, ale jeszcze niektórzy z nich, tak w naukach, jak i w literaturze, nie bardzo biegli, odkrywali przed nami niechcący niektóre niecałkiem jasne strony tej propagandy, co niejednokrotnie nawet dla naszego patryotyzmu przynosiło cierpkie rozczarowania...

Pomiędzy innemi osobami, należącemi do literackiego świata, które nas odwiedzały, zachodził do nas także czasem i Pol, który rad się udzielał młodzieży, a to nietylko dlatego, że u niej znajdował zawsze entyzyastyczne przyjęcie, ale także w tym celu, ażeby na nią działać w tym duchu, jaki mu się zdawał jedynie zbawiennym dla Polski. Pol już był wtedy pełen obawy o to, ażeby niepowołani apostolowie nie bałamucili młodzieży i nie nabijali jej głów teoryami, zaczerpniętemi z rewolucyi francuskiej, ale zarazem i pełen podejrzenia, że to się dzieje istotnie dlatego, że ile razy się zjawił pomiędzy nami, to wprawdzie zawsze nas za to pochwalał, że się zajmujemy literaturą, ale też zawsze występował przeciwko tej literaturze ludowej, o której wtedy było tak wiele mowy, prawiąc wciąż na ten temat, że literatura, obejmując wszystko, z czego się składa życie narodu, powinna być narodową, a nietylko ludową, co nie ma sensu, bo to prowadzi tylko do rozdwojenia. Jednak jak Pol już wtedy był w jawnej opozycyi przeciwko tej literaturze, która miała tylko propagandę demokratyczną na celu, tak była już także opozycya przeciwko niemu i byli młodzi ludzie pomiędzy nami, z których pamiętam Maryana Sroczyńskiego i Karola Kaczkowskiego, obydwaj z bardzo otwartemi głowami, którzy wobec niego tej literatury demokratycznej bronili — a kiedy wy-

szedł, jego własne utwory a mianowicie ogłoszoną już wtedy „Podróż Benedykta Winnickiego do Nieświeża“ ostro krytykowali, utrzymując że zawarte w niej zapatrywania są ciasne, wyłącznie szlacheckie, przestarzałe, że nie licują z postępem czasu, a przeto są szkodliwe.

Ta opozycya przeciw Polowi wychodziła wówczas od Bielowskiego, który mieszkając stale we Lwowie, daleko częściej się stykał ze szkolną młodzieżą i działał na nią, w duchu rdzennie demokratycznym i postępowym, a przeto stanowczo przeciwnym wszelkim tradycyom szlacheckim, o ileby te tradycye chciał ktoś przedstawiać, jako czynnik żywotny na przyszłość. Urok Pola, jeszcze zawsze potężny pomiędzy szlachtą, zaczął już wtedy blednąć cokolwiek pomiędzy młodzieżą, która w znacznej części nie poprzestawała już na patryotyzmie w jego szerokiem i ogólnem znaczeniu, ale usiłowała mu nadać pewien ściślej określony polityczny charakter i pewną dążność społeczną.

Pomiędzy rozmaitemi kółkami młodzieży odbywały się także bezustanne dyskusye i spory o najrozmaitsze kwestye naukowe i literackie, społeczne i polityczne, bo wszystko żywo nas zajmowało. Lada artykuł w „Dzienniku mód paryskich“ albo w „Rozmaitościach“, lada nowa rozprawa Libelta albo Moraczewskiego, a cóż dopiero taki literacko-polityczny wypadek, jak „Mieszaniny obyczajowe“ Jarosza Bejły, wywoływały zaraz schadzki osobne i dysput bez końca. Ale to wszystko kręciło się w pewnem jakby zaczarowanem kole jednych i tych samych zagadnień, których nikt ostatecznie rozwiązać nie umiał; traciło się na tem niezmiernie wiele czasu, powtarzało

się wiecznie jedne i te same frazesy — a tymczasem właściwe nauki wcale nie postępowały. Tak lepsi profesorowie uniwersyteccy, mianowicie Bratranek i Hanusch, bo inni nie wchodzili wcale w naszą rachubę, jak wszyskie miesięczniki i tygodniki polskie, otwierały nam tylko widoki w krainę wiedzy i nauczały nas, że człowiek coś wiedzieć może, ale nie zaspakajały wcale naszej ciekawości, która chciała dowiedzieć się wszystkiego od razu — a nie mieliśmy pomiędzy sobą rozumnych i doświadczonych kierowników młodzieży, którzyby nas nauczyli, że każda nauka wymaga powolnej i długiej pracy a wiedza jest rezultatem nauki a nie rzeczą natchnienia. W braku takich kierowników, nasza własna zarozumiałość zajmowała ich miejsce a wtedy nam się zdawało, że tego wszystkiego, co nam nasi profesorowie przez cały rok wykładają, można się nauczyć za kilka tygodni, że zatem z nimi tylko czas napróżno tracimy i że ten czas moglibyśmy spożytkować całkiem inaczej, gdybyśmy nie musieli tracić po cztery godziny codziennie w szkole, albo gdybyśmy nasze studya odbywali na jakimś lepszym uniwersytecie, niż lwowski. Stąd poszło, że niecierpliwszym z naszych kolegów, zwłaszcza tym, którzy wiedzieli, że nie będą potrzebowali zarabiać na codzienny kawałek chleba, te uniwersyteckie studya się prędko znudziły — i podczas kiedy jedni z nich wracali poprostu na wieś, drudzy usiłowali kontynuować nauki gdzieś za granicą.

Przyjechawszy na wakacye, powiedziałem ojcu otwarcie, że nie mam wcale ochoty wracać na drugi rok filozofii do Lwowa i że chciałbym czegoś innego.

Ojciec rozmawiał ze mną o tem po kilka razy, a w końcu powiedział mi równie otwarcie:

— Gdybym wiedział, czego właściwie chcesz, to możebym mógł temu zaradzić, ale ty podobno sam nie wiesz, czego ci się zachciewa.

Odpowiedziałem ojcu:

— Może być, ale to wiem, że mi ciasno we Lwowie.

Potem prosiłem ojca, aby mnie wysłał do Paryża. Paryż był wówczas ideałem całego świata, ale dla nas Polaków, a mianowicie dla naszej generacyi, która się wychowała pod wpływem emigracyi i emisaryuszów, była to jakoby jakaś nasza narodowa świątynia, w której mieszkała Polska wolna i niepodległa ze wszystkimi swymi wieszczami i bohaterami. Dostać się do tej świątyni i widzieć na własne oczy tych wieszczów i bohaterów było to naszem najidealniejszem marzeniem, ale Paryż wydawał nam się tak gdzieś daleko, że to marzenie wieszało się nad nami jak sen niknący w obłokach i nigdy niedościgniony. Dobry mój ojciec nie odmówił mi natychmiast, zapewne dla tego, aby mnie nie zmartwić, ale zrobił mi uwagę, że pobyt w Paryżu jest zanadto kosztownym, a nawet i niebezpiecznym, że zatem trzeba nad tem się zastanowić. Mnie się zdawało, że jak ojca zapewnię, że będę tam żył jak najskromniej, nie drożej jak którykolwiek emigrant, to go przekonam — i jużem się ukołysał w nadziei, że po wakacyach poszle mnie do Paryża. Tymczasem ojciec powziął inne postanowienie i jednego dnia rzekł mi: — Nie, do Paryża nie można. Niepodobna mi brać takich wydatków na siebie, które nawet z góry się obliczyć nie da-

dzą, bo nie znamy tamtejszych stosunków, a potem tybyś tam wpadł w emigracyę i zamiast kontynuować nauki, utonąłbyś w polityce a polityka u nas nietylko chleba, ale ani nawet znaczenia nie daje.

Jednak jeżeli chcesz, to zgodzę się na to, abyś pojechał do Wiednia, albo do Pragi; tam przedewszystkiem koszta nie będą większe, jak we Lwowie i tam w razie potrzeby mógłbym do ciebie przyjechać.

Tak moje paryskie marzenia rozbiły się, jak bańka mydlana, a chociaż bardzo niechętnie, przyjąłem tę propozycyę, bo zawsze tam świat trochę szerszy, niżeli we Lwowie. U fechtmistrza Francuza znalazłem duży i jasny pokój z usługą i rannem śniadaniem za cenę słuszną, a stół w restauracyach drugiego rzędu był bardzo zdrowy i tani. Wiedeń był jeszcze wtedy fortecą i było w nim ciasno cokolwiek, ale ludzie byli bardzo poczciwi, grzeczni, usłużni i zawsze weseli. Arystokracya była wszystkiem, mieszczaństwo niczem, ale była pomiędzy wszystkiemi społecznemi warstwami pewna dobroduszność i familiarność, która zacierała różnice stanów i sprawiała, że życie, w którem górowała humanitarność, było znośnem dla wszystkich. W obyczajach panowała wielka swoboda, było może nawet cokolwiek swawoli, ale nie było wcale korrupcyi, a w interesach wogóle panowała wielka uczciwość, bo żydów jeszcze wtedy w samem mieście nie było; mieszkali oni na osobnem przedmieściu i mięszali się wprawdzie w interesa, ale na nie jeszcze tak przeważnego wpływu nie mieli, jak po roku 1848, odkąd nadano im obywatelstwo i zupełną swobodę. Zgoła było to

wówczas miasto bardzo uczciwe, wesołe i sympatyczne, o ile komuś w niem tylko chodziło o to, ażeby sobie żył wygodnie i dobrze.

Ale w tem wszystkiem, co wykraczało po za obręb życia prywatnego, było daleko więcej cieni, niż światła.. Naprzód w tej dobrodusznej i wesołej ludności panowała bardzo gruba ciemnota. Wszystkie nabytki wielkiej rewolucyi francuskiej, która zmieniła z gruntu podstawy więzi społecznej we Francyi i w Belgii, ta cała nowo-romantyczna literatura niemiecka, którą naukową i literacką *Sturm- und Drang-Periode* z końca XVIII. wieku przeniosła na pole polityki i zadań społecznych, były to rzeczy tutaj prawie całkiem nieznane — a jeżeli się gdzieś spotkało pojedyńczy numer zakazanego dziennika *Die Graenzboten*, albo jakiś tomik Heinego albo Boernego, to był to już wcale zachwycający wypadek. Zaś obok tej obojętności dla rzeczy publicznych, panowała jeszcze jakaś, dziwnie pokorna naiwność i o tem parciu ku osiągnieniu pewnych swobód politycznych, które już głośno szumiało w Niemczech zachodnich, nieraz słyszało się zdanie: to tam, gdzieindziej, ale nam o tem nie myśleć. Prawda że pod tym względem ciężyły nad tą ludnością biurokratyczne rządy Metternichowskie, jak dach ołowiany a Sedlnitzkiego policya była niezmiernie czujną i nieubłaganą, ale wina tej nieruchomej bierności przecież leżała w tych ludziach, którzy zanurzeni w wygodach materyalnego życia o wszystko inne wcale nie dbali.

Ówczesni studenci wiedeńscy jeszcze daleko mniej mi się podobali, niż ludność: byli to ludzie po

największej części źle wychowani, grubych obyczajów, zaniedbani w ubiorze choć niekoniecznie do tego ubóstwem zmuszeni, trawiący swoje wieczory w knajpach i na innych tego rodzaju rozrywkach, traktujący się wzajem, tak w szkole, jak po za szkołą bardzo grubymi wyrazami, czego wszystkiego myśmy we Lwowie wcale nie znali. Zaraz z początku musiałem się bić z nimi dwa razy w pałasze i to nie po burszowsku, tylko na gołe łby po polsku, w czem mi mentorował Nereusz Hoszowski, który wówczas przez parę zimowych miesięcy tam bawił. Jakkolwiek obydwie te bójki skończyły się na lekkich draśnięciach, jednak jakoś niebardzo im się to podobało, zaczem dali mi pokój, ale nie zrobiło mi to pomiędzy nimi przyjaciół. Byli wprawdzie wówczas na uniwersytecie synowie rodzin zamożnych, z którymi łatwiej dało się wyżyć; zapraszali mnie oni nawet do domu swoich rodziców lub opiekunów, w czem miałem trochę przyzwoitszej rozrywki; ale i tam się nie obchodziło bez pewnych kwasów, bo Polacy nie byli wówczas dobrze widziani w Wiedniu, miano nas za demokratów i konspiratorów niejako z profesyi, a chociaż kogo nie posądzono o demokracyę, to zawsze go miano za rewolucyonistę i nieprzebłaganego wroga świętego przymierza. Szlachta polska była pod tym względem nawet więcej podejrzaną niż demokracya, bo miano ją w Wiedniu za daleko bogatszą i potężniejszą, niżeli była w istocie. Prócz tego i grzeczność tych Niemców lepszego wychowania nie była mi sympatyczną, zdawała mi się być tylko pokostem, pod którym się kryła bezduszna sztywność niemiecka, w każdym zaś razie nie znalazłem w nich tych form towarzyskich, gładkich

a naturalnie swobodnych, jaką spotykamy u Francuzów i u nas.

Było wówczas trochę Polaków na studyach w Wiedniu, ale prawie wyłącznie tylko na medycynie, albo na prawie, było kilka domów polskich, ale do nich, jako studencik, nie miałem przystępu, zgoła czułem się tam dziwnie osamotniony; wykłady na uniwersytecie takie same, jak we Lwowie, studenci daleko niżej stojący pod każdym względem, niż u nas, ludność zupełnie mi obca, atmosfera niezmiernie duszna, brak książek polskich, brak wszelkiej wymiany myśli w tym duchu, który mnie przedewszystkiem zajmował, a do tego jeszcze to ciągłe uczucie, że jestem tu nieproszonym gościem pomiędzy obcymi, wszystko to razem obrzydziło mi Wiedeń do tego stopnia, że już około półrocznych egzaminów tylko o tem myślałem, jakby się stamtąd jaknajprędzej wydobyć. Wszakże ojciec sam przyszedł mi w pomoc, albowiem, przyjechawszy znów z wołami karmionymi na braże zimowej, zaraz to spostrzegł i bez żadnych długich dysput zabrał mnie z sobą do domu.

Z tego mego pobytu w Wiedniu została mi tylko lekka kresa na głowie, a oprócz tego ta korzyść, że pozabierałem tam znajomości z synami zamożnych rodzin, którzy potem pozostawali generałami, gubernatorami, ambasadorami i ministrami, a których przyjaźń mi się w późniejszem życiu czasem na coś przydała.

Ponieważ wiosna była bardzo wczesna w tym roku, a ojcu niebardzo pilno było do domu, więc począwszy od Żywca jechaliśmy etapami i zwiedziliśmy wzdłuż tatrzańskiego podgórza te wszystkie niegdyś

małopolskie miasteczka, gdzie wówczas żyło jeszcze tak wiele pamiątek z czasów naszej starodawnej świetności, co mi niewymownie rozradowało serce i dało prędko zapomnieć moją wiedeńską niewolę.

Tej wiosny oddał mi ojciec Bereźnicę w posiadanie i osadził mnie tam pod opieką mej babki.

KONIEC.

LP
K1149mo
Kaczkowski, Zygmunt
Mój pamiętnik z lat 1833-1843.
2.wyd.

DATE | NAME OF BORROWER.

REC. MON JUN 1
REC. MON JUN 20

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED